

EMILIE RICHARDS

ŚCIGANY

PROLOG

W różowym świetle zachodzącego dnia wieże strażnicze Zakładu Karnego w High Ridge sprawiały wrażenie wieżyczek baśniowego zamku. Mężczyzna z naszywką Petersen 94729, przymocowaną nad kieszenią roboczej koszuli khaki, wiedział swoje. High Ridge nie było ani zamkiem, ani tym bardziej scenerią baśni. Było piekłem, po prostu i zwyczajnie piekłem, w którym skazani próbowali przechytryć lub udobruchać diabła albo umierali w daremnym trudzie.

Więzień 94729 był pojętym uczniem. Trzy miesiące pobytu w High Ridge nauczyły go wszystkiego, co niezbędne. Problem w tym, że nauczył się zbyt wiele, a czasami bezpieczniej jest nic nie wiedzieć, niż wiedzieć za dużo.

Obserwował strażników opuszczających wartę na dwóch najbliższych wieżach. Zakończył się więzienny dzień pracy, było po kolacji i pewnie też dobiegło końca wieczorne odliczanie więźniów. A zatem po tej stronie rozległego kompleksu High Ridge nie pozostał już nikt, kogo by trzeba pilnować, przynajmniej oficjalnie.

Odgłos kroków postawił wysokiego jasnowłosego więźnia w stan pogotowia.

- Niech cię szlag trafi, Josiahu Gallagherze - zaklął głośno.

Wsunął jedną rękę do kieszeni, drugą przejechał po starannie utrzymanej brodzie, którą chlubił się w więzieniu, gdzie ogoleni na zero mężczyźni stanowili regułę. Broda świadczyła o jego wysokiej pozycji w High Ridge, pozycji, którą mógł stracić, gdyby się w porę nie zorientował.

- Gadasz do siebie, Petersen? - Żujący gumę strażnik przystanął, oparł się o framugę drzwi i z zainteresowaniem spoglądał na Carla Petersena, gdy ten wracał do komputera od okna, które wychodziło na zagajnik niskich sosen i przystrzyżonych cisów.

Także ten krajobraz za oknem stanowił część baśniowej iluzji. Drzewa i żywopłoty maskowały czterometrowy mur, nie mówiąc już o grubym kolczastym drucie nad nim, czy o drugim żywopłocie tuż za drutami.

- Odwal się, Cooney. Przeszkadzasz mi - mruknął ze złością więzień.

Strażnik zachichotał dobrodusznie. Jim Cooney był jednym z nielicznych dobrodusznych facetów w High Ridge. Jego szef, naczelnik więzienia kapitan Roger Shaw, do takich nie należał.

- Muszę popracować - powiedział Petersen.

- Trudno, wiesz przecież, że nie mogę stąd odejść. Kapitan Shaw dosyć cię lubi, ale tutaj, na miejscu, nie zaś tęskniącego za skokiem we wrzosa.

Carl Petersen kolejny raz przeklął w duchu Gallaghera. Josiah Gallagher zostawił go tutaj, żeby zgnął. Gallagher, jego zaufany przyjaciel, który właśnie udowodnił, że nikomu - ale to nikomu - nie można ufać. Nigdy.

Kiedy Petersen nie odpowiadał, Cooney zachichotał po raz drugi.

- Co do mnie, to nie uważam, żebyś miał w sobie krew rączego zająca. Nie uciekniesz. Jesteś zbyt ucywilizowany, ot co. Takie jest moje zdanie. Zbyt wykształcony. Daję słowo, że jeszcze nigdy nie widziałem wykształconego zająca.

Petersen zakręcił się na fotelu. Fotel, podobnie jak wszystko w biurze naczelnika więzienia, był wytworem nowoczesnej technologii.

- Nigdy tego nie skończę, jeśli nie przestaniesz gadać. Nie słyszałeś, że masz mi dzisiaj podać wykwinny posiłek? Pieczony kurczak i świeże szparagi?

- Pierwsze słyszę, że tym się żywią zające. - Wzrok Cooney'a powędrował po pokoju. Zadowolony, że wszystko jest w porządku, ruszył po tacę przyniesioną pół godziny temu z kuchni.

- Tylko nie zapomnij odgrzać tego w mikrofalówce - zawołał Petersen.

Gdy strażnik zniknął, Carl błyskawicznie poderwał się z fotela. Wyszarpnął z kieszeni srebrny nóż do otwierania listów z inicjałami naczelnika i odkręcił ostatnią śrubę skrzynki klimatyzacyjnej, zakrywającej dolną połowę jedyne nie zakratowanego okna. Następnie podszedł do drzwi i przywarł plecami do ściany. Nie musiał długo czekać.

- Salceson i rzepa, i niestety nic więcej! - zawołał Cooney, wchodząc do pokoju. - Nie potrzeba żadnej mikrofalówki. A gorące, jak dupcia...

- Postaw to, tylko grzecznie i spokojnie - odezwał się Petersen. Stał za strażnikiem, postąpił naprzód i przyłożył Cooneyowi nóż do gardła.

Cooney nie ruszył się.

- Nie trudź się, synu. Stąd nie ma wyjścia, chyba że w sosnowej skrzynce.

- Już ja znajdę sposób, a niektórzy z tych biednych sukinsynów, którzy kończą w tej przeklętej norze, nie dostaną nawet sosnowej skrzynki. - Petersen przesunął lekko nożem po szyi strażnika, żeby pokazać Cooney'owi, że nie żartuje. Ostrzył nóż po obu stronach od wielu dni, zawsze ilekroć był wzywany do biura naczelnika.

Na szyi strażnika pojawiły się kropelki krwi.

- A teraz postaw tacę.

- Już, już stawiam. - Cooney pochylił się i postawił tacę na podłodze.

Kiedy to zrobił, Petersen wyciągnął strażnikowi z kabury rewolwer kaliber 44. Następnie zabrał mu jego walkie - talkie.

- Odwracaj się powoli. Ręce nad głowę.

Cooney zrobił, co mu kazano. Podnosząc ręce, lekko dotknął palcami szyi, jakby chciał się upewnić, czy krwawi.

- Nic ci nie zrobię, pod warunkiem, że będziesz rozsądny. Będziesz miał co opowiadać wnukom.

- Nie uda ci się. Nawet gdybyś opuścił teren, urzędzą obławę i złapią cię przed świtem.

- Szkoda, że nie będziesz mógł tego zobaczyć. - Petersen kiwnął głową w stronę szafy.

- Otwórz drzwi.

- Nie noszę tego klucza.

- Ależnosisz,nosisz. Otwieraj bez gadania i oddaj mi klucze. A potem masz jedną minutę, żeby się rozebrać.

Cooney zdawał się domyślać reszty.

- Jestem od ciebie prawie o osiem centymetrów niższy, a cięższy o dwadzieścia kilo, synu.

- Pięćdziesiąt pięć sekund.

Cooney zaprzestał dalszej dyskusji. Pierwszy poszedł krawat, potem niebieska koszula z naramiennikiem High Ridge. Wreszcie spodnie.

Petersen rozbierał się równocześnie, cały czas trzymając strażnika na muszce. Włożył ubranie Cooney'a, zaciskając pas z kaburą na ostatnią dziurkę. Spodnie Cooney'a wisały na nim, ale nie było innego wyjścia. Na koniec Petersen wyciągnął rękę.

- Zapomniałeś o kapeluszu.

Cooney przybrał zboląły wyraz twarzy.

- Jest cały pocięty. Akurat tak, jak lubię.

Petersen trzymał wyciągniętą rękę, a prawie nagi Cooney zdjął pilśniowego stetsona z szerokim rondem. Patrzył, jak więzień wciska go sobie na głowę. Petersen ruchem głowy kazał mu przesunąć się w głąb szafy.

- Kapitan obedrze cię za to ze skóry - ze smutkiem w głosie stwierdził Cooney.

- Przekaż coś kapitanowi ode mnie, Cooney. Powiedz mu, że równie dobrze gadam, jak uciekam. I powiedz mu, że wziąłem sobie drobny prezent, zgoda? - Petersen sięgnął po dwie dyskietki leżące na biurku naczelnika i wsunął je do kieszeni nienagannie utrzymanego munduru strażnika, który miał teraz na sobie.

- Już po tobie, Petersen, to więcej niż pewne. Aż przykro będzie patrzeć.

Carl Petersen zatrzasnął drzwi szafy, nie słuchając, co jeszcze ma mu do powiedzenia Cooney. Zatrzymał się tylko na chwilę, zastanawiając się, czy nie zgolić tak charakterystycznej brody, używając w tym celu elektrycznej maszynki, którą naczelnik miał zawsze pod ręką w przylegającej do gabinetu łazienki. Uznał jednak, że tego nie zrobi. Zostało mu już niewiele czasu na ucieczkę.

W ciągu paru sekund, używając sztaby z więziennej celi, wyważył skrzynkę z klimatyzacją Sztaba była pamiątką po „skoku we wrzosey” innego więźnia. Ta sztaba to jeden z ulubionych eksponatów kapitana. Więzień, który ją tak pracowicie odpiłował od drzwi celi, nie dożył chwili wystawienia jej na pokaz. Zdążył tylko zobaczyć kapitana unoszącego ją wysoko do góry i zamachującego się nią w kierunku jego czaszki.

Urządzenie klimatyzacyjne upadło w łoskotem na wykładzinę podłogową. Petersen czekał w napięciu na alarm albo na tupot stóp w korytarzu. Ale wokół panowała cisza.

Przesadzając na zewnątrz nogi, otrząsnął się, odrzucając od siebie wszystkie lęki, wszystkie wątpliwości. Ucieknie, nawet jeżeli innym się nie udało. Jest młody, silny i dostatecznie zdeterminowany, żeby tego dokonać.

Nie ma takiego budynku czy płotu, które by go zatrzymały. Ani takiego człowieka. Nie chciał już dłużej siedzieć w Zakładzie Karnym w High Ridge. Miał sprawę do załatwienia z człowiekiem, który nazywał się Josiah Gallagher.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

„Kiedy księżyc żegluje nisko po nocnym niebie, jak największa dynia na zmrożonym zagonie dyń w październiku, tutejsi ludzie nazywają go wyjętym spod prawa księżycem. Ja go nazywam tak samo. Mógłbyś i ty, jeśli będziesz miał dość fartu, by posłuchać opowieści, które ja słyszałem.

Dawno temu góry Ozark były ojczyzną wielu wyjętych spod prawa band. Gangi Jamesów, Daltonów i Doolinów miały gdzieś tutaj swoje kryjówki albo włóczyły się po drodze. Każda rodzina, jaką tutaj znam, może ci opowiedzieć o którymś z nich, albo o Belle Stan, królowej banitów.

Są w tych górach jaskinie, gdzie zbiegowie mogli się ukrywać do czasu, aż przedstawiciele prawa się zmęczą, a księżyc osiągnie pełnię. A wtedy, tylko z pomocą światła księżyca, mogli się udać na poszukiwanie swojej drogi do wolności.

Jak już napisałem, tutaj, nad horyzontem, wisi wyjęty spod prawa księżyc. Mogę stąd usłyszeć rzenie koni chłopaków od Jamesa, kiedy pędzą wzdłuż brzegu Missouri.

Zastanawiam się, jak ci siedzący w więzieniu w High Ridge czują się w taką noc? Czy od księżyca burzy im się krew, jak niegdyś rozjuszała ich przodków? Czy i oni pragną pędzić wzdłuż rzeki? Czy też siedzą cierpliwie w celi, odliczając dni wymierzonej im kary? Czy wpadający przez zakratowane okna wyjęty spod prawa księżyc jest tylko znakiem, że są o jeden miesiąc bliżej do wolności?”

- To nie dotyczy tego mężczyzny, tato. - Tate Cantrell zamknęła oprawiony w skórę dziennik ojca i wypowiedziała głośno swoje myśli, chociaż oprócz psa nie było nikogo, kto by je usłyszał. - Właśnie przedwczoraj pewnego mężczyznę w High Ridge znudziło siedzenie w celi, więc wymknął się przez okno. Jego przodek, Jesse James, pewnie byłby dumny, gdyby go znał.

Na ułamek sekundy, kiedy przeszedł ją dreszcz, przycisnęła dziennik do piersi. A czy to nagłe drżenie spowodowało chłodne jesienne powietrze, czy dyniowaty księżyc, który wypłynął zza horyzontu, czy też miejscowa legenda, zapisana pracowitym, równiutkim pismem jej ojca - to naprawdę nie miało znaczenia.

Tate położyła dziennik na stole obok nie dojezionej kolacji i udała się na poszukiwanie wełnianej kurtki. Może napali, kiedy wróci po dopełnieniu wieczornych obowiązków. A na razie opatuli się i spróbuje przegnać chłód.

Nie było nikogo, kto mógłby ogrzać dom. Była sama w chacie w górach Ozark, mając jedynie za towarzystwo spisane rozmyślenia ojca i myśliwskiego psa w kolorze cynamonowym.

I więcej towarzystwa nie potrzebowała, choć były takie chwile, że miała żal do kłapouchego Cinna, który raczej starał się trzymać od niej z daleka. Nie był zbyt towarzyski.

Po przeszukaniu chaty znalazła czerwono - czarną kraciatą kurtkę, wiszącą na kołku na ganku z tyłu domu. Pamiętała, jak ją tu powiesiła po ostatniej wyprawie do przybudówki. Nie zdążyła jej zapiąć, kiedy ponownie zadrżała. Kurtka należała do jej ojca. Nigdy nie widziała Miliarda Cartera, nawet nie znała jego imienia, aż do niedawna. Teraz jego kurtka stanowiła jeden więcej element w układance, która miała jej pomóc poznać mężczyznę, który ją spłodził.

Przez chwilę wpatrywała się w pomarańczowy księżyc i zastanawiała, czego dowiedziała się o ojcu od dnia, gdy przed trzema miesiącami powiedziano jej, że mężczyzna, za którym tęskniła przez całe swoje życie, że aż w końcu przestała o nim myśleć, umarł i że jego ostatnim życzeniem było przekazanie jej wszystkiego, co stanowiło jego własność.

Wiedziała, że był potężny jak drwal. Jego kurtka sięgała jej prawie do kolan, a gdy ją włożyła, musiała kilka razy podwinąć mankiety, żeby odsłonić ręce. Poza jego rozmiarem miała pewne wyobrażenie o tym, jak wyglądał. Kiedy tu przybyła, znalazła w chacie trzy fotografie. Na jednej był młody, mógł mieć tyle lat co ona teraz, to znaczy dwadzieścia jeden. Na drugiej fotografii był w średnim wieku, trzymał w ręku gazetę z widocznym tytułem artykułu „Żywa tradycja ludowych baśni z gór Ozark”, zaś na ostatniej był w trumnie.

Z powodu tej ostatniej fotografii przez tydzień miała koszmarne sny, aż zrozumiała, że nie pozostawiono tego zdjęcia tutaj, żeby ją straszyc. Miasteczko Mountain Glade i okolice zamieszkiwało dużo ludzi, którzy utrzymywali, że są krewnymi Tate. Przyglądali się jej w milczeniu, ale bez dezaprobaty. Baczenie, to najważniejsze słowo. Choć stosunek członków klanu Cartera do niej nie był do końca jasny, to ich uczucia wobec jej ojca były oczywiste. Szanowali Miliarda Cartera, a jego fotografia w trumnie była wyrazem tego szacunku.

Tate odłożyła na bok to pośmiertne zdjęcie i skoncentrowała się na pozostałych. Dzięki nim odkryła, że odziedziczyła po Miliardzie czarne włosy i spiczastą brodę. Co do reszty rysów nie miała pewności. Niełatwo było patrzeć na dwuwymiarową fotografię i porównywać nosy, brwi i wargi. Tajemnicą pozostał kolor oczu, ponieważ zdjęcie było czarno - białe.

Jednego była pewna, a mianowicie doznań ojca na widok ziemi ciągnącej się na pół kilometra, od ganku aż po rzekę. Ta część górzystej ziemi była jego całym życiem. Mieszkał i umarł na swoich pięciuset akrach wśród gór Ozark i tu odcisnął piętno swojej osobowości.

Cinn akurat wybrał tę chwilę, żeby zawyć. Przez miesiąc, odkąd Tate zamieszkała na ziemi ojca, nie zaobserwowała ani odrobiny przejawu energii u tego kłapouchego psa. No tak, oddychał. A czasami, w miarę jak słońce zmieniało położenie, przemieszczał się spod jednego rzucającego cień drzewa pod drugie. Raz nawet przyłapała go na chłeptaniu wody z błotnistej kałuży, jakby nie mógł przejść kilkunastu metrów do wiadra ze świeżą wodą, którą mu postawiła! Ale teraz wył.

- No, rusz się, Cinn. Nie chciałbyś trochę zmienić miejsca, chłopcze? - zawołała.

Wycie urwało się nagle.

- Nie przewietrzyłbyś futra?

Jedyną odpowiedzią był szum wielu skrzydeł, gdy stadko gęsi, które zamieszkało nad stawem za stodołą, podniosło się do lotu.

Tate wahała się między powrotem do domu i dokończeniem kolacji a zabraniem się za swoje obowiązki. Zająć było trochę, a posiłek niewielki. Postanowiła, że najpierw popracuje. To, co zostało z kolacji, zje później, przy gorącym palenisku.

Wyjęty spod prawa księżyc wisiał i świecił. Idąc ścieżką w stronę stodoły, nasunęło się jej skojarzenie z pierwszymi zdaniem dziennika ojca.

Dziennik, zaczęty na parę miesięcy przed jego śmiercią, był jedyną naprawdę osobistą rzeczą jej ojca, jaką znalazła. Czytała go powoli, poznając folklor i historię wyżyny Ozark w równym stopniu, co Miliarda Cartera. Dziwne, że jako lekturę do kolacji wybrała fragment o wyjętym spod prawa księżycu. Dziwne, ponieważ dzisiejszy księżyc tak bardzo pasował do jego opisu, dziwne także z powodu przebywającego na swobodzie wyjętego spod prawa człowieka. Akurat dwa dni temu więzień federalny Carl Petersen, przestępca komputerowy i zabójca, uciekł z Zakładu Karnego w High Ridge, położonego trzydzieści parę kilometrów stąd.

Tranzystor, jedyny łącznik Tate ze światem, podawał masę szczegółów. Wynikało z nich, że Petersen jest uzbrojony, niebezpieczny i ranny. Prawdopodobnie kieruje się do swojego domu w Houston. To była dobra wiadomość dla niej, ponieważ Houston leżało na południe od więzienia, zaś Mountain Glade na wschodzie. Podobno dwukrotnie widziano go na południe od High Ridge, z kolei dzisiaj wieczorem, według niepotwierdzonej informacji, Petersen miał zejść z Little Rock.

Było jej trochę żal Petersena, którego ścigał cały stan Arkansas. Z doświadczenia wiedziała, czym jest uciekanie. A taki człowiek jak Petersen - facet, który zdawał się wiedzieć wszystko o komputerach, a nic o życiu - powinien się chyba modlić, żeby pozostać na wolności. Chodziły słuchy, że High Ridge nie jest miejscem, w którym „wybacza się i zapomina”. Gdy Petersen wróci do więzienia, jego życie stanie się piekłem. I pewnie już nigdy stamtąd nie wyjdzie.

Oczywiście, sam jest sobie winien. Wcześniej, według tego, co podawało radio, był urzędnikiem banku, gdzie, wysyłając sfałszowane zlecenia elektroniczne, zdefraudował równo milion dwieście tysięcy dolarów, a następnie zabił człowieka, który próbował go oddać w ręce policji. I chociaż nie znaleziono broni, z której oddano strzał, to nadal ciążyła na nim wina pozbawienia kogoś życia. Miała nadzieję, że zostanie złapany, zanim znów dopuści się jakiegoś zbrodniczego czynu.

Tate zatrzymała się niedaleko drzwi stodoły i zdjęła z kołków dwa metalowe wiadra. Jedno, czego na pewno dowiedziała się o ojcu to tego, że unikał wygód i udogodnień. Słowo prostota było eufemizmem wobec sposobu życia, jakie sobie wybrał Miliard. W chacie nie było elektryczności ani bieżącej wody, ani żadnych urządzeń sanitarnych, nie było też telefonu. Dojazd prowadzący z niebrukowanej publicznej drogi, oddalony prawie pół kilometra od chaty, był niczym innym jak parą kolein wyżłobionych w stoku porośniętego lasem wzgórza.

Nie miała nic przeciwko surowym warunkom i odosobnieniu, jednakże w tej chwili, kiedy była śmiertelnie zmęczona i potrzebowała kąpieli, taszczenie wody pod górę wydało się jej wielką niesprawiedliwością. Poza tym, pastwienie się nad nieboszczykiem jest ewidentną stratą czasu.

Zeszła z wiadrami parę metrów w dół do ocembrowanej kamieniami sadzawki, gdzie z ocynkowanej rury tryskała czysta górską wodą, wypływająca ze skały. Podstawiła najpierw jedno, potem drugie wiadro, nalewając je do pełna, a następnie wlewając do niedużej drewnianej beczki, ustawionej na czymś w rodzaju platformy. Kiedy beczka będzie prawie pełna, wciągnie ją po łagodnym wzniesieniu wzgórza, pod same drzwi ganku, gdzie czekają dwa puste wiadra. A kiedy to skończy, trzeba będzie jeszcze nanieść drewna, żeby napalić w palenisku i pod kuchnią, a także nakarmić gęsi i jednego głupiego psa.

Pracując, zastanawiała się, dlaczego Miliard Carter, ojciec, którego nigdy nie poznała, walczył z takim zapałem, by trzymać się jak najdalej od cywilizacji i postępu dwudziestego wieku. W tej chwili, stojąc pod spływającymi na nią jasnymi promieniami wyjętego spod

prawa księżycy, po dniu ciężkiej pracy, kiedy to wszystkie mięśnie wołają o wytchnienie, dziewiętnasty wiek zdawał się nie mieć w sobie nic romantycznego.

W połowie drogi do chaty, ciągnąc beczkę, zadała sobie zasadnicze pytanie.

Dlaczego właściwie zamieszkała w samym środku miejsca, którego nie ma na mapie, i robi dokładnie to samo, co Miliard Carter?

Więzień 94729 powoli odzyskiwał przytomność. Jeszcze niedawno słońce wisiało nad horyzontem, a już w następnej niebo stało się czarne, z wyjątkiem ogromnego bursztynowego księżycy wzierającego zza kępy sosen i jałowców. Pomiędzy jedną i drugą chwilą była pustka, wypełniona bólem i potwornym pragnieniem.

Otworzył oczy i stopniowo poszerzał pole widzenia, przekręcając głowę to w jedną, to w drugą stronę, próbując przypomnieć sobie, gdzie jest. Pytanie, dlaczego tu jest, nie wymagało odpowiedzi. Doskonale zapamiętał moment ześlizgiwania się z okna naczelnika i chwilę, która nastąpiła potem, kiedy wtapiał się w mrok, biorąc pod uwagę niewielką co prawda, ale jednak istniejącą możliwość powrotu strażnika na którąś z wież. Potem było to słodkie uczucie zwycięstwa, kiedy już miał pewność, że nikt go nie pilnuje i nie obserwuje.

Pamiętał płot, na który się wspiał. Nie był to jeden z tych nie do pokonania wysokich murów, na takim wypatryliby go już w połowie wspinaczki. Tymczasem porosły trawą kawałek ziemi za oknem naczelnika prowadził do niższego muru, znacząc przejście na parking dla personelu. Tutaj nie zachodziła potrzeba skrupulatnego przestrzegania bezpieczeństwa. Wszystkie okna tego skrzydła budynku więzienia, gdzie mieściły się biura dyrekcji, były zakratowane, z wyjątkiem jednego, na którym umieszczono skrzynkę klimatyzacyjną. A więźniowie mieli tu wstęp tylko pod eskortą.

Od tego momentu opuściło go szczęście. Ucieczka powiodłaby się, gdyby w chwili, kiedy znajdował się na szczycie płotu, nie pojawił się na wieży wartownik - spóźniony na swoją szychcę albo wracający po coś, co zapomniał - i nie wypatrył go.

Od tej chwili litościwa pamięć rozplynęła się nieco. Biegł w kierunku lasu. Słyszał strzały, ale żaden nie padł z jego rewolweru, ponieważ musiałby zwolnić biegu, żeby go oddać. Słyszał też syrenę, widział światła reflektorów. A na koniec, po trwających wieki minutach dobiegania do linii drzew i zanurzania się w lesie, dotarła do niego świadomość, że dostał w nogę w jakimś bliżej nieokreślonym momencie i że traci krew w zatrważającym tempie.

Odtąd krótkie chwile przytomności przeplatały się z chwilami, kiedy nawet nie był pewien, jak się nazywa. Urwał połą koszuli i zawiązał nią nogę, i pomimo piekielnego bólu kuśtykał w stronę rzeki dzielącej obszar administracyjny High Ridge od najbliższego miasta.

Wiedział, że w dzień zacznie się obława, o ile już nie ruszyła. Żeby się nie dać złapać, najlepiej będzie popłynąć w dół rzeki, aż uzyska pewność, że psy zgubiły trop. I dopiero wtedy będzie mógł odpocząć i zebrać siły.

Postępował zgodnie z własnym planem i to go o mało nie zabiło. Szukanie rzeki zajęło mu prawie całą noc. Kiedy już tam dotarł, woda okazała się lodowato zimna, a prąd szybszy, niż się tego spodziewał. Pędami dzikiej winorośli, które odpiłował nożem naczelnika, przywiązał się do znalezionej na brzegu kłody. Następnie odepchnął się na środek szerokiego rozlewiska i rozpoczął swą długą podróż do wolności.

Później - nie potrafiłby powiedzieć, ile czasu minęło - wyrzuciło go na brzeg jak rozbitka. Kłoda rozleciała się na kawałki, zgubił buty, a mundur Jima Cooney'a nasiąkł wodą i zamienił się w łachman. W chwili przytomności, kiedy przywiązywał się do kłody, umocował kaburę z rewolwerem do wystającej wysoko nad wodę gałęzi, i tylko broń pozostała nietknięta.

Centymetr po centymetrze doczołgał się do osłoniętego krzewami brzegu rzeki. Dygoczący i na wpół żywy wydrapał palcami dziurę w chropowatym mule, okrywając się wszystkim, czym się dało, włącznie z gałęziami i igłami sosny, dopóki nie zemdlął z wysiłku.

Obudziły go własne jęki, a nieco później gdzieś w pobliżu usłyszał ludzkie głosy. Znieruchomiał i czekał. Był przekonany, że to obława i że go złapią. Na szczęście okazało się, że to farmerzy pracujący na drugim brzegu łagodnego wzniesienia ciągnącego się wzdłuż rzeki.

Dnia przybywało, słońce grzało, a on wsłuchiwał się w dźwięki maszyn rolniczych i sporadyczne pokrzykiwania. Kiedy upał stał się nieznośny, odważył się zrzucić z siebie prowizoryczne okrycie, a ponieważ żar nie ustępował, bliska obecność zimnej wody zamieniła się w torturę.

Kiedy farmerzy wreszcie poszli do domów, a słońce zaszło, podczołgał się do rzeki. Mył się i pił. Nadzieja na odzyskanie sił okazała się równie złudna, jak kilometry, które zamierzał przebyć. Rana w nodze nie przestawała boleć, a miejsce wokół niej spuchło i piekło.

Z konieczności musiał znaleźć lepszy nocleg. Opuszczona stodoła nieopodal wzgórza dała mu schronienie aż do świtu jego drugiego poranka wolności. Potem, opierając się całym ciężarem na kiju, który mu posłużył za laskę, dotarł do lasu na tyłach stodoły. Jego pierwszym pokarmem od chwili ucieczki była garstka uzbieranych między skałami orzeszków, których żołądek nie był w stanie strawić.

Potem wędrował i błędził. Las był gęsty, teren surowy i dziki. Często zatrzymywał się na odpoczynek, to w niedużej grocie, to pod stertą gałęzi. Pił z płytkiego strumyka, którego woda miała smak zgniłych liści, a jego żołądek znów się buntował.

Zdawał sobie sprawę, że nie uszedł nawet dwóch kilometrów, gdy po raz kolejny zaczęło zachodzić słońce. Gdzieś pomiędzy wstrząsającymi nim napadami dreszczy a skokami gorączki docierało do niego, że jeśli nie znajdzie jedzenia i ciepłego schronienia, nie dożyje do rana. Zanosilo się na zimną noc. A infekcja, która wdała się w ranę na nodze, coraz mocniej dawała mu się we znaki.

Zaczął więc szukać drogi, która by go wyprowadziła z lasu. Chciał znaleźć jakiś dom, zaczekać do zmierzchu i zdobyć jedzenie, ubranie i pieniądze. Wiedział, że szanse są nikłe. Ale nie należał do tych, którzy się poddają. Jeszcze nie stracił nadziei. Są ludzie, którzy mu pomogą - na przykład Aaron, gdyby tylko mógł do niego zadzwonić. Nadal miał rewolwer Jima Cooney'a. Gdyby dla uratowania swojego życia, musiał wziąć zakładnika, zrobiłby to.

Walczył dalej, szedł, podpierając się teraz dwoma kijami. Kiedy dotarł na brzeg lasu, z położenia słońca wywnioskował, że musi być koło piątej. Przed nim widniały wzgórza, niektóre obsadzone równymi rzędami zawsze zielonych krzewów. Między wzgórzami ziemia biegła zygzakiem, podobna do zwariowanej szachownicy lasów i pól. Ale za ostatnim skupiskiem drzew dojrzał starą chatę z bali z dużym frontowym gankiem. Daleko stąd połyskiwała wstęga wody, rzeki, która go przyniosła aż tutaj.

Cofnął się trochę i idąc skrajem lasu, kierował się ku domowi. Następnie, wypatrując mieszkańców chaty, zaryzykował i przeciął pierwszą otwartą przestrzeń. Dał z siebie wszystko, po czym padł i odpłynął w nicość, leżąc w jakiejś jamie wymoszczonej liśćmi niczym kołyska. Kiedy raz się obudził, słońce stało nisko nad horyzontem.

A teraz na miejscu słońca pojawił się księżyc, największy ze wszystkich, jakie kiedykolwiek widział. Jego odyseja obfitowała w szczegóły, których pewnie nigdy nie zapomni, ale teraz musi zrobić wszystko, żeby ją doprowadzić do pomyślnego końca. Najpierw jakoś wejść do chaty, znaleźć ubranie na zmianę, opatrunek na nogę i jedzenie, którego jego organizm nie odrzuci. Nie chciałby umrzeć na tym zapomnianym przez Boga odludziu, pełnym sosnowych igieł i opadłych liści.

Usiadł, podpierając się rękami. Księżyc zamienił się w ognistą komętę, a podobne do szkieletów drzewa zatańczyły dziwną tarantelę. Odczekał chwilę, oddychając powoli i walcząc z zawrotem głowy. W końcu, z pomocą prowizorycznych kul, wstał znowu i ruszył w stronę chaty.

W środku nie było widać oznak życia, jedynie w głębi jarzyło się coś, co mogło być nocną lampką. Z komina nie dobywał się dym, choć temperatura na dworze gwałtownie spadała. Żadnego samochodu czy innego pojazdu, żadnego zwiniętego na ganku psa, żadnego bydła dopraszającego się paszy. Czyżby miał szczęście, cholerne szczęście, że dzisiejszy wieczór mieszkańcy chaty spędzają poza domem? Że włamie się i weźmie to, co mu potrzeba, a może nawet zatelefonuje do Memphis do Aarona? Poda Aaronowi numer, a Aaron dokładnie zlokalizuje miejsce, z którego dzwoni? A potem znajdzie sobie jakąś kryjówkę, gdzie bezpiecznie na niego poczeka?

Gdyby miał szczęście...

Na razie, kryjąc się na linii drzew, doszedł do miejsca, skąd będzie mógł jak najszybciej dotrzeć do drzwi chaty. Ruszył na przelaj polaną. Pomimo chłodu ociekał potem. Raz potknął się na chorej nodze i gdyby nie żelazna samokontrola, zawyłby z bólu i upadł. Każdy pokonany centymetr między nim a gankiem był jak kilometr, każdy krok nieopisaną męczarnią.

Dotarł do ganku i wtedy usłyszał wycie psa. Zachwiał się, upadł na dolny stopień i nagle pociemniało mu w oczach. Chwyciły go mdłości, przeraźliwie dzwoniło mu w uszach. Złapał się drewnianej poręczy i zwiesił głowę. Gdzieś z oddali dobiegł go chyba jakiś dźwięk.

Oprzytomniał. Nadślułkiwał intensywnie, ale wokół panowała cisza. Może dźwięk był realny albo może tylko zrodził się w jego trawionym gorączką mózgu. Cokolwiek to było, musiał działać.

Wydawało się, że schodów jest tak wiele, jak gwiazd na niebie. Wciągał się na górę stopień po stopniu. Złapał oddech na ganku. Był zbyt wyczerpany, żeby kontynuować, zbyt zdeterminowany, żeby stąd odejść. Po chwili, gramoląc się i podpierając rękami, wstał znowu. Chwiejąc się na nogach, dosięgnął drzwi.

Nie było zamka, którego by nie sforsował, ale tutaj odmówił sobie tej przyjemności, ponieważ ręce drżały mu jak osika na jesiennym wietrze. Przekręcił gałkę i drzwi otworzyły się ze skrzypieniem. Błogosławił w duchu ufne duszyczki mieszkających tu ludzi.

Wnętrze chaty okazało się większe, niż sądził, i bardziej rustykalne. Nie zadano sobie trudu, żeby przykryć masywne belki i zaprawę murarską. Abraham Lincoln poczułby się tutaj jak w domu.

Szybki rzut oka i po lewej stronie dostrzegł drzwi, co oznaczało, że chata ma co najmniej jeszcze jedno pomieszczenie. To, w którym się znajdował, było podzielone odpowiednio rozmieszczonymi meblami. Na wprost frontowych drzwi znajdował się okrągły dębowy stół, staroświecka drewniana chłodnia, blat kuchenny i zlew. Po prawej żeliwna

kuchnia na drewno oddzielała tę część od części mieszkalnej. Tam też zobaczył masywne palenisko z polnych kamieni, przed nim stała sofa i kilka krzesel. Na wprost paleniska, poza kolejnymi krzesłami i dużą ilością regałów z książkami, mieściło się otwarte poddasze z prowadzącymi nań schodami.

Jarzące się światło, które dostrzegł z zewnątrz, pochodziło z palącej się na stole lampy naftowej. Stało się oczywiste, że w chacie nie ma prądu. Co więcej, lampa naftowa wymaga doglądania. Nikt nie zostawia zapalanej lampy naftowej, nie będąc w pobliżu. A już na pewno nie w tak łatwopalnym pomieszczeniu.

A obok na stole stało jedzenie.

Przywarł do drzwi i wyciągnął rewolwer. W pokoju nie było nikogo. Na tyle był ostrożny i czujny, żeby to wiedzieć. Ale po lewej znajdował się drugi pokój, a poza tym było jeszcze poddasze. Pokuśtykał najciszej jak mógł w tamtą stronę. Postanowił to sprawdzić. Z pewnością, gdyby ktoś był na poddaszu, odezwałby się, kiedy ledwo żywy wemknął się frontowymi drzwiami.

Pomieszczenie za drzwiami było średnich rozmiarów i służyło za sypialnię. Wskazywało na to ozdobne metalowe łóżko przykryte pikowaną patchworkową narzutą. Tutaj także nikogo nie było.

Pokuśtykał w stronę szafy, otworzył ją i zobaczył męskie ubrania, głównie swetry i gładkie flanelowe koszule. Chwycił jedną z nich, następnie przetrząsnął szuflady komody przy łóżku, szukając skarpet i bielizny. W dwóch znajdowały się wyłącznie damskie rzeczy, ale w trzeciej znalazł to, czego potrzebował. Ośmielony tak szybkim sukcesem, prawie po omacku szukał telefonu, ale nie znalazł żadnego aparatu. Po wyjściu z sypialni ruszył do stołu.

Z wytoczonego ręcznie z gliny brązowego naczynia spoglądało na niego pół sandwicza. Obok stała szklanka z napoczętym mlekiem. Rzuciłby się na jedno i drugie, ale musiał uważać, podniósł więc sandwicza i ugryzł kawałek. Żuł go powoli, zmuszając organizm do przyjęcia pokarmu. Musi nabrać sił, musi jeść, jeżeli zamierza przeżyć.

Następnie spróbował mleka, ale przełknął tylko łyk. Ogarnęły go mdłości, poczuł zawrót głowy, choć walczył z tym, jak mógł. Osunął się na krzesło i resztkami sił zdjął szklany klosz lampy i zdmuchnął płomień. Tracąc przytomność, uderzył głową o krawędź stołu.

Później - ile to mogło być? - dotarł do niego dźwięk gwizdania i szurania nogami. Zacisnął palce na kolbie rewolweru. Mobilizując resztkę sił, wstał i dowlókł się do drzwi prowadzących na tył domu.

Zgasła lampa. Tate przestała gwizdać, patrząc w kierunku okna, w którym odbijał się wyjęty spod prawa księżyc. Wiedziała, że będzie wiernie jej towarzyszył przy kolacji. To dziwne. W lampie było jeszcze dość nafty, a chociaż chata miała ponad sto lat, była zadziwiająco dobrze ogacona i jak dotąd nie odczuwała w niej przeciągów. Ale też lampy naftowe nie są urządzeniem najwyższej technologii. Dobrze, że chociaż ten niedorzeczny dyniowaty księżyc świeci wysoko i oświetla jej drogę. Dzięki temu znajdzie w domu, co trzeba, a przede wszystkim nasączy i zapali knot.

Może pozapala też inne lampy. W końcu nafta nie jest droga. A dzisiejszy wieczór ma w sobie coś, co aż prosi się o światło. Zaraz też rozпали ogień w palenisku. Może nawet upiecze prawoślaz i zrobi specjalne kanapeczki. Nigdy nie była w skautach, jako nastolatka nie uczestniczyła, w przeciwieństwie do wielu swoich rówieśnic, w przyjęciach połączonych z nocowaniem. Dopiero później, dzięki Kriście i Jessowi, jej przybranym rodzicom, którzy ją adoptowali, trochę nadrobiła tamte utracone lata. A właściwie to dzięki „Zajazdowi dla Dylizansów”. Był czymś w rodzaju przytuliska dla młodocianych uciekinierów, których Krista i Jess znajdowali na ulicy i przygarniali pod swój dach, czyli pod dach „Zajazdu”.

Krista i Jess bardzo lubili takie małe specjalne kanapeczki, dokładnie to pamięta. Dodawali do nich pieczony prawoślaz i kawałki czekolady, traktując ten przysmak jako specjalne lekarstwo na smutki i bunty nastolatek mieszkających w „Zajeździe” i pozostających pod ich opieką. I czasami, zwłaszcza w jesienne wieczory, te kanapeczki - a może miłość, z jaką je podawano? - rzeczywiście pomagały.

Tate z naręczem drewna weszła na pierwszy stopień. Część polan pochodziła z jabłonek, a ona nie mogła już doczekać się chwili, kiedy zapach drewna jabłoni wypełni starą chatę. Niby proste przyjemności, tak niewiele - specjalne kanapeczki i drewno jabłoni, a ile pociechy w taki wieczór jak ten.

Oparła polana na piersiach i sięgając do gałki drzwi, wychyliła się do tyłu. Przekręcając gałkę, zagwizdała sobie jeszcze raz. Była to melodia, którą usłyszała w zeszłym tygodniu podczas festynu folklorystycznego z okolic Mountain Glade. Nie zapamiętała tytułu piosenki, ale opowiadała ona historię o zamordowaniu niewiernej żony. Ileż pieśni przechował ten region, i to prawie w niezmienionej formie, a które pochodzą jeszcze z czasów pierwszych osadników, przybyłych z Wysp Brytyjskich do Ameryki. Dziwne, że tak wiele z nich mówi o morderstwie i okaleczeniu. Pamiętała, że tę śpiewała stara kobieta o długiej twarzy, a jej matowy, ochryply głos w niczym nie ustępował nowoorleańskim pieśniarkom.

Drzwi otworzyły się akurat w momencie, kiedy próbowała złapać spadający okrągłak. Mocniej uchwyciła naręcz i kolaniem popchnęła drzwi. Były ciężkie, wykonane ręcznie i uchyliły się tylko trochę. Gwizdana ludowa melodia przeszła w wypowiedziane łagodnym głosem przekleństwo. Popchnęła drzwi łokciem i otworzyła je trochę szerzej.

Weszła do środka i ruszyła ku palenisku. W chacie było zimniej, niż kiedy wychodziła, i jakoś dziwnie smętnie. Postanowiła, że najpierw zapali najbliższą lampę naftową, a potem wzniesi ogień. Zanim pójdzie po drugą naręcz drewna, w pokoju zrobi się...

- Nie ruszaj się, zostań, gdzie jesteś.

Zbyt wielkie było jej zdumienie, by w pierwszej chwili mogła poczuć strach. Ale już po chwili każdy nerw jej ciała był napięty jak struna. Nie poruszyła się, choć wcale nie była pewna, czy zamurowała ją rzucona szorstkim głosem komenda, czy doznany szok.

- W porządku. Teraz odwracaj się powoli. Bardzo powoli. Mam broń, a nie chciałbym jej użyć.

Zmusiła się, żeby posłuchać rozkazu. Odwracała się powoli, nadal przyciskając naręcz drewna do piersi. Wreszcie stanęła twarzą do drzwi, którymi właśnie weszła. Nadal były otwarte. Przed nią rysowała się postać mężczyzny. Był wysoki, jego włosy i broda połyskiwały złotem w świetle wyjętego spod prawa księżyca. Miał na sobie postrzępiony mundur i pas na rewolwer, ale sam rewolwer trzymał w ręku, celując w jej pierś.

Nie widziała nigdy jego fotografii, ale potrafiła zidentyfikować stojącego przed sobą mężczyznę. To na pewno był Carl Petersen, który jednak nie udał się prosto do Houston.

- Jesteś kobietą. - Wydawał się być zdumiony.

- Na to wygląda. - Patrzyła jak zahipnotyzowana na rewolwer. Można by pomyśleć, że jej życiem rządzą kaprysy.

- Kto tu jeszcze mieszka?

Przerażona i zafascynowana wodziła oczami za kolbą rewolweru.

- Nikt.

- Uważaj, nie jestem idiotą. Przecież nie możesz mieszkać tu sama.

Zastanawiała się nad sensem powiedzenia prawdy. Może groźba obecności drugiej osoby zmusi tego faceta do opuszczenia domu.

- Masz rację - skłamała. - Lada moment zjawi się tutaj moja rodzina. Jeśli masz trochę oleju w głowie, zwiewaj póki jeszcze czas.

- Chwilowo nie jestem w formie - zaśmiał się szyderczo.

- Bierz, co potrzebujesz, i wynoś się stąd - powiedziała w miarę spokojnym głosem, wciąż nie spuszczać oczu z rewolweru. - Nie mam powodu, żeby na ciebie donosić. Cokolwiek zrobiłeś, mnie to nie dotyczy.

- To jest demokracja, moja pani?! Tyś jest stróżem brata twego... Czy ta lekcja nie obowiązuje w górach Ozark?

- Mam jedzenie i pieniądze. Możesz wziąć tyle, ile udźwigniesz. Ale jeśli tu zostaniesz, złapią cię - improwizowała. - Nie licz, że mój ojciec potraktuje cię jak gościa.

Carl Petersen postąpił krok naprzód. Kolba rewolweru nie przestawała się chwiać.

- Najpierw załatwię cię, a potem zatroszczę się o twoją rodzinę.

Nagle ogarnął ją niewysłowiony żal. Tak bardzo chciałaby lepiej wyrazić swoją miłość do Kristy i Jessa. Tak bardzo by chciała odnaleźć ojca, kiedy jeszcze żył. Tak bardzo by chciała mieć więcej przyjaciół, zrobić więcej dobrego, pokochać jakiegoś mężczyznę. Przecież ma dopiero dwadzieścia jeden lat i życie przed nią zdawało się nieskończone.

Carl Petersen postąpił kolejny krok naprzód. Rewolwer w jego dłoni drgnął.

A kiedy zrobił trzeci krok, Tate rzuciła w niego całą naręcz drewna. Po czym odwróciła się i skoczyła do drzwi.

ROZDZIAŁ DRUGI

Ta sama wola przeżycia, która doprowadziła go aż tutaj, sprawiła, że Carl Petersen nie stracił przytomności, kiedy stos drewna zważył go z nóg. Gdyby nie był tak chory, odskoczyłby z łatwością. A teraz próbował ochraniać swoją broń, a także rękę, w której ją trzymał, kiedy padał. Przekreślił się na brzuch, podparł na łokciach i wycelował rewolwer w kobietę.

- Jeden krok, a położę cię trupem.

Tate zatrzymała się parę centymetrów od drzwi. Nie odwróciła się.

- Jeszcze raz spróbuj zrobić coś podobnego, a nie dożyjesz powrotu rodziny do domu.

- Zmrużył oczy, które pomimo chłodu zalewał pot. - A teraz odwróć się.

Tate zawahała się. Mężczyzna był najwyraźniej bliższy omdlenia. W najlepszym razie może spudłować. W pokoju panował mrok, a facet tak bardzo dygotał, że z trudem utrzymywał rewolwer, więc jeśli teraz ucieknie i przebiegnie ze dwadzieścia metrów, nie będzie miał dość sił, żeby ją dogonić, ani też dokładnie wycelować.

Pod warunkiem, że przebiegnie te dwadzieścia metrów.

Odwróciła się powoli, po rozważeniu wszystkich za i przeciw.

- Jeżeli mnie zabijesz, czeka cię nowa rozprawa. Nie nazwą już tego domniemanym morderstwem. Zabij mnie, a spędzisz resztę życia w High Ridge... o ile dożyjesz do apelacji - dodała.

W pomieszczeniu zapanowała grobowa cisza. Petersen skupił całą uwagę na postaci kobiety w za dużej kurtce, za wszelką cenę starając się pokonać słabość.

- Rób, co powiedziałem, a nic ci się nie stanie.

- A twoje słowo jest oczywiście dużo warte - odpowiedziała, a ton jej głosu ział cynizmem.

- Podejdź tutaj.

Tate wolnym krokiem wróciła na środek pokoju.

- Czego ode mnie chcesz?

- Milczenia. - Petersen osunął się na kolana. Przeszywający ból nogi sprawił, że pokój zawirował i kręcił się coraz szybciej. Koncentrując się na kobiecie, sięgnął do tylnej kieszeni i wyciągnął kajdanki. Zastanawiał się teraz, jak je najlepiej wykorzystać.

Tate dawno temu nauczyła się nie okazywać strachu, ale teraz jej brawura była na wyczerpaniu.

- Nie musisz ich używać. Zrobię, co każesz.

- Aha, już dałaś tego dowód. - Wskazał ruchem głowy na sypialnię. - Ruszaj, ale nie za szybko. - Zachwiał się na nogach, starając się jak najmniej opierać na skaleczonej nodze.

- Moja rodzina...

- Nikogo tu nie ma!

Widząc jego zawziętą twarz, Tate odwróciła się i powoli zaczęła iść w kierunku sypialni.

- Jesteś chory. Daj za wygraną. Pozwól mi sprowadzić lekarza. W tym stanie daleko nie zajdziesz. - Starła się mówić spokojnie, jednak obawiała się, że raczej błaga go, niż przekonuje. - Nikomu nie wyrządziłaś krzywdy, a ja zaświadczę, że nie zrobiłaś mi nic złego. Zabiorą cię z powrotem do High Ridge, ale przynajmniej będziesz żył.

Nie odpowiedział jej. Powoli zbliżali się do drzwi sypialni. Podejrzewała, że ta krótka podróż kosztuje go wiele sił i wymaga ogromnej koncentracji.

Dwa metry przed sypialnią skoczyła do przodu, przecisnęła się przez wąską szparę między framugą i drzwiami, po czym je zatrzasnęła. Szukała zasuwki, ale niczego takiego nie było. Zaklinowała więc gałkę starym bujanym fotelem, błyskawicznie podbiegła do okna i używając wszystkich sił, próbowała je otworzyć.

On jest chorym mężczyzną, a ona zdrową kobietą. On ma broń, ale ledwie ją trzyma w ręku. Jeżeli pozwoli mu się przykuć kajdankami do łóżka, a była pewna, że do tego zmierza, to koniec z nią. Jeżeli nawet jej nie zastrzeli, bo i to jest możliwe, umrze tu z głodu.

Od walenia w drzwi zatrzęsł się fotel. Desperacko, ale nadal nieskutecznie walczyła z oknem. Lada chwila spodziewała się strzału w drzwi, gdy tymczasem fotel zaczął zsuwać się po sosnowej podłodze. Rozpaczliwie szukała czegoś, czegokolwiek, czym by się mogła bronić, ale w pokoju nie było nic poza metalowym łóżkiem. I na wpół otwartą szafą.

Była już prawie przy szafie, gdy fotel nagle znalazł się na środku pokoju. Skoczyła do drzwi szafy i dała nurka do środka. Tam, za ubraniami ojca, był żelazny pręt. Pewnie go trzymał do podważania i otwierania okna, gdy rama nasiąkła wilgocią. Widziała już wcześniej ten bezużyteczny przedmiot, nie zwracając na niego szczególnej uwagi, a teraz od tego pręta zależało jej życie.

Chwyciła go w chwili, kiedy drzwi otworzyły się na oścież, uderzając z hukiem o ścianę. Zaciśnęła palce na grubym pręcie, a gdy Petersen wszedł, zamachnęła się na niego z całej siły.

Nie trafiła go, zabrakło paru centymetrów, ale impet, z jakim otworzył drzwi i odskoczył, żeby uniknąć ciosu, zrobiły swoje. Przewracając się, uchwycił się narzuty, by złagodzić upadek. Rewolwer upadł z łoskotem na podłogę i wylądował pod łóżkiem.

Siłą rozpędu Tate także poleciała do przodu. Wpadła na ścianę, po czym, nie wypuszczając z rąk pręta, zebrała się w sobie i wolnym ruchem zamachnęła się ponownie, ale on przeturlał się do tyłu i kolejny raz uniknął ciosu.

Nie było już czasu ani okazji do ponowienia próby. Kiedy złapał ją za kostkę i szarpnął, upadła obok niego, a metalowy pręt potoczył się po podłodze. Przez chwilę leżał na niej i unieruchamiał jej rękę.

Tate szarpała się pod nim, przerażając świadoma swojej beznadziejnej sytuacji. Wprawdzie był wyczerpany i chory, ale cięższy od niej o co najmniej trzydzieści kilo. Była w dobrej formie fizycznej, ale jego ciało, pomimo trudów ucieczki, było mocne i umięśnione. Walczyła, ale on używał swojej przewagi jak ulicznik, dla którego każdy chwyt jest dozwolony.

Kiedyś też tak naparzała się na ulicy. Wprawdzie miała unieruchomione ręce, ale wolną nogę. Zgięła ją w kolanie i wbiła ją mocno w jego ranną nogę.

Jęknął z bólu. Najważniejsze, że puścił jej rękę. Kopnęła go, a on instynktownie zwinął się, żeby chronić nogę. Wyczołgała się spod niego i rozejrzała za prętem. Leżał o parę metrów od niej, podczołgała się więc do niego, złapała i gramoląc się, wstała. Zbliżała się do niego, kiedy w blasku światła księżyca dojrzała w jego prawej ręce rewolwer.

- Doczekałaś się - powiedział głosem, który ją zmroził. Odwrócił się na plecy i wycelował rewolwer w jej głowę. Odbezpieczył go.

Tate odruchowo zacisnęła powieki i czekała na strzał. Dźwięk, który nastąpił, był tak głośny jak wystrzał armatni. Usłyszała, jak kula z trzaskiem zanurza się w jednej z potężnych orzechowych belek, z których zbudowana była chata. Czekala na przeszywający ból, który powinien nastąpić.

Zamiast tego usłyszała głos Petersena:

- W rewolwerze jest więcej nabojów. Teraz właśnie jeden z nich tkwi trzy centymetry od twojej głowy. Nie przez przypadek.

Otrząsając się z szoku, czując, że jeszcze żyje, Tate zaczęła w sposób fizyczny odczuwać wszystko wokół siebie. Poczula, jak zimne powietrze w chacie owiewa jej rękę, dotarł do niej ostry zapach cedru, którym była wyłożona szafa ojca. Otworzyła oczy. W spojrzeniu Carla Petersena dostrzegła coś, co, o dziwo, można by nazwać ubolewaniem, przykrością.

- Dlaczego mnie nie zabięś?

- Bo uznałem, że taka lekcja czegoś cię nauczy. Kiwnęła głową. Po odwołaniu wyroku śmierci zaczęły jej drżeć nogi.

- Jak się nazywasz? Zwilżyła wargi.

- Tate.

- Zwykle udzielam tylko jednej lekcji, Tate. Ponownie kiwnęła głową.

- Rzuć pręt. Zrobiła, jak jej kazał.

Usiadł, krzywiąc się niemiłosiernie, po czym podpierając się prętem, wstał.

- Siadaj na łóżku. - Jakby znając jej myśli, potrząsnął głową. - Mogłem cię zabić więcej niż jeden raz.

Niezależnie od tego, czy mówił prawdę, czy nie, Tate musiała go posłuchać. Przemierzyła pokój i usiadła na brzegu łóżka.

- Na środku.

I tym razem posłuchała.

- Kładź się i połóż ręce nad głową. Nie ruszyła się.

- Rób, co powiedziałem!

Był zbiegłym więźniem, był obszarpany, robił, co mógł, żeby nie stracić przytomności, ale panował nad głosem. A jej szanse były zerowe. Leżała na plecach i powoli wyciągała ręce nad głowę, aż dotknęła metalowego wezgłowia. Carl Petersen podszedł do niej i chwycił jej rękę. Po chwili jeden z kajdanków zatrzęsął się na jej nadgarstku, drugi na balustradzie metalowego oparcia.

Opadł na łóżko obok niej, jak gdyby już dłużej nie mógł utrzymać się na nogach.

- Dokąd poszła twoja rodzina i kiedy wróci?

- Do miasta, wrócą lada chwila.

- Potrafisz przekonująco kłamać, ale ja wiem swoje. Tate nie odpowiedziała.

- Ponowię pytanie, ale tym razem oczekuję prawdy. Nie mam nastroju do... zabawy.

Załamiał mu się głos, a broda opadła na piersi.

- Poddaj się, Petersen - powiedziała. - Czy nie lepiej być żywym w więzieniu, niż zginąć podczas ucieczki?

- Twoja rodzina... Mów!

- Mówię prawdę. Będą tu lada chwila.

Z największym wysiłkiem odwrócił głowę w jej stronę.

- Więc... jeśli wychodząc, zostawię kluczyk do kajdanek na stole, uwolnią cię w ciągu najbliższej godziny?

Nie odpowiedziała.

- Twoja wola.

Po raz pierwszy, odkąd zamieszkała w chacie ojca, zapragnęła, by rzeczywiście jakaś rodzina wróciła do domu na noc. Ale przecież wiedziała - i podejrzewała, że Petersen także to wie - że nikt się nie zjawi. Będzie tak leżeć, dopóki ktoś z klanu Carterów nie przypomni sobie, że dziewczyny od Miliarda nie widziano w mieście od tygodni. Will Carter z położonej wyżej farmy zostanie wyznaczony do zbadania tej sprawy. A widok, jaki zostanie, nie będzie najprzyjemniejszy.

- Mieszkam tu sama - przyznała się. - Nikt nie przyjdzie do domu.

- A co znaczą te męskie ubrania w szafie?

- Należały do mojego ojca. Zmarł prawie rok temu.

- Dlaczego nadal są tutaj?

Tate nie zamierzała zwierzać się ze swojego życia siedzącemu obok niej przestępcy. Rzeczywiście nie pozbyła się rzeczy Miliarda. Wciąż jeszcze próbowała wyobrazić sobie, jaki był, a do tego potrzebowała wszystkich możliwych tropów.

- Jestem tu od niedawna - powiedziała. - A mieszkańcy Mountain Glade nie lecą na jałmużnę, a już na pewno nie na swetry i flanelowe koszule.

- Gdyby jednak ktoś przyszedł do domu, będę go musiał zastrzelić, zanim wejdzie do środka.

- Nikt tu nie przyjdzie.

Petersen próbował dowiedzieć się prawdy z wyrazu jej twarzy. Już i tak dużo wiedział o młodej kobiecie, którą przykuł kajdankami do łóżka. Była, tak samo jak on, jedyną pozostałą przy życiu osobą w rodzinie, o niezwyklej odwadze, graniczącej z brawurą i ryzykanctwem. Była szczupła, a zarazem bardzo silna. I każdy, tylko nie on, mógłby się nabrać na jej kłamstwa.

Jest też śliczna, stwierdził beznamiętnie. Rozrzucone na narzucie lśniące czarne włosy układały się w wachlarz nad jej głową. Były równo obcięte, nie za długie, nie za krótkie, i bez spadającej na czoło grzywki, która zakrywałaby jej delikatnie zarysowane brwi i szeroko rozstawione niebieskie oczy. Nos miała prosty i wąski, wargi powabnie błyszczące, a jej podbródek stanowił chochlikowaty centralny punkt twarzy w kształcie serca.

- Nie jesteś stąd - powiedział. - Masz inny akcent.

- Jestem znikąd.

Dziwnie poruszyły go te słowa. Widocznie jego fizyczna słabość uczyniła go wrażliwym na inny sposób. Ale sam także był znikąd i poczuł, acz niechętnie, więź między nimi.

Odwrócił się gwałtownie. Ruch sprawił, że pokój zawirował znowu. Ta kobieta nie była już groźna. Uwierzył w jej ostatnie słowa, choć równie dobrze mógł się mylić. Teraz musi podjąć decyzję, co dalej.

- Gdzie jest telefon?

Tate była zdumiona. Wszystkiego mogła się spodziewać po tym mężczyźnie, ale nie tego.

„Gdzie jest telefon, panienko? Muszę zadzwonić do matki i powiadomić ją, że wszystko jest w najlepszym porządku. Gdzie jest telefon? Naczelnik będzie się o mnie niepokoić”. Ha, ha, ha! Przedrzeźniała go w myślach.

- Tutaj nie ma telefonu - powiedziała, mając nadzieję, że ta wiadomość nie przyprawi go o furję. - Ani telefonu, ani prądu, ani kanalizacji.

- Mieszkasz tutaj bez telefonu? - zapytał z niedowierzaniem.

- Dlaczego miałabym kłamać? Zresztą łatwo możesz się przekonać.

Wiadomości powoli i z trudem docierały do niego. Nie ma rodziny. Nie ma telefonu. Nie ma sąsiadów... Przynajmniej on nie dostrzegł nikogo takiego ze swojego punktu obserwacyjnego w lesie.

- Jak daleko stąd do najbliższego domu?

Kolejny, łatwy do sprawdzenia fakt, więc nie było sensu kłamać.

- W linii prostej jakieś osiemset do tysiąca dwustu metrów. Droga będzie trochę ponad półtora kilometra.

- Jak często miewasz... gości?

- To zależy.

Wiedział, że równie dobrze może kłamać, jak mówić prawdę.

- Każdy, kto tu zajrzy, zostanie poczęstowany kulką - ostrzegł ją. - Chyba że... mnie uprzedzisz.

- Nie przewiduję żadnych wizyt, jeśli o to ci chodzi. Zadumał się nad swoim szczęściem. Nie będzie musiał szukać pomocy Aarona, tylko zostanie tutaj na cały dzień i ponownie zbierze siły. Walka z tą diabolicą przymocowaną teraz kajdankami do łóżka pochłoneła resztki jego sił. Trzeźwo oceniając swoje położenie, wiedział, że nie ujdzie daleko, jeśli nie stanie na nogi, a trudno o lepszą kryjówkę niż ta.

- Wiesz, kim jestem. Skąd?

- Mam radio.

- Czy oni... przeszukują ten teren? I znowu nie było sensu kłamać.

- Przypuszczają, że znajdujesz się na południe stąd, w drodze do Houston.

Krawędzie i piony pokoju zaczęły się łamać i giąć. Kobięcy głos docierał do niego zza gęstej mgły.

- Houston... zgadza się, tam miałem iść - wymamrotał do siebie. Po chwili opadła mu głowa, zaś w następnej osunął się zemdłony obok niej.

Wyjęty spod prawa księżyc oświetlał wierzchołki drzew, gdy Petersen odzyskał przytomność. Początkowo był zdezorientowany, sądząc, że jest znowu w High Ridge. Ale kobieta pochylająca się nad nim, przyglądająca mu się z uwagą, w niczym nie przypominała goryla o wytrzeszczonych oczach, który dzielił z nim celę. Wspomnienia nakładały się na siebie, zanim sobie przypomniał, kim ona jest.

- Niech zgadnę. - Obliznął popękane wargi. - Zabrałaś mi broń.

- Rzuciłaś ją na podłogę, zanim odpłynęłaś. Przełknął ślinę, po czym uniósł głowę. Ona nadal była przymocowana kajdankami do łóżka.

- Nie znalazłaś kluczy.

- Bynajmniej nie dlatego, że ich nie szukałam - warknęła. Zdobył się na coś na kształt sarkastycznego śmiechu.

- Chyba byłem nieobecny przez godzinę?

- Ponad dwie. - Tate odsunęła się jak najdalej od niego, na tyle, na ile pozwoliły kajdanki. - Sztywnieje mi ramię.

- Więc usiądź. - Nie musiał czekać, żeby posłuchała jego rady. Rozpoczął zmuszony proces przewracania się na bok i siadania. Pokój ciągle wirował. A jemu było tak gorąco, że wystarczyłoby żaru na podpalenie chaty. - Muszę się napić.

- Zdejmij kajdanki, to ci przyniosę.

Nawet nie zadał sobie fatygi, żeby jej odpowiedzieć. Chata wydawała się niewiarygodnie wielka, a kuchnia oddalona o całe kilometry. A jednak nie miał wyboru. Zsunął się na podłogę i uchwycił słupka w nogach łóżka. Niemiłosiernie bolała go noga. Musi ją oczyścić i opatrzyć.

Tate patrzyła na niego, jak kuśtykał w stronę drzwi. Żałowała go na swój sposób.

- Woda jest w chłodni.

Przebył połowę drogi i znów zemdlał.

Wyjęty spod prawa księżyc wzeszedł tak wysoko, że przestał być widoczny z okna sypialni. Tate śledziła jego wędrówkę, jakby od tego zależało jej życie. To było wszystko, co

mogła zrobić. Łóżko było szerokie, a kajdanki za krótkie, i tylko czubkami stóp mogła dotknąć podłogi. Uważnie zbadła ramę łóżka. Wezgielowie było przymocowane czterema zardzewiałymi bolcami, które nawet nie drgnęły, gdy je próbowała odkręcić palcami. Po godzinie intensywnego wysiłku straciła nadzieję na uwolnienie, wymknęła się z chaty i dotarła do kuzyna Willa.

Kajdanki także nie drgnęły. Carl Petersen założył je fachowo. Na tyle ciasno, żeby ją trzymać na uwięzi, na tyle luźno, żeby nie tamować krwioobiegu. Gdyby jeszcze w chacie było dostatecznie ciepło, jej krew krążyłaby jak należy. Niestety, w chacie temperatura gwałtownie spadała. Nawet pod ciepłą narzutą trzęsła się z zimna.

- Petersen! - wrzasnęła. Zaczynała mieć chrypę. Wołała go, odkąd doszła do wniosku, że ucieczka z łóżka jest beznadziejna. Słyszała, jak pada, potem zapanowała cisza. Najbardziej bała się, żeby nie umarł. Gdyby tak się stało, mogła mu tylko pozazdrościć. Jej śmierć, przykutej do ramy łóżka, nie będzie taka szybka i bezbolesna.

- Petersen!

Wydało jej się, że słyszy jęk. To był pierwszy pozytywny znak od chwili, kiedy upadł.

- Petersen!

Usłyszała serię uderzeń, jakby coś wleczono po podłodze. Cisza i kolejna seria uderzeń. Cisza, dźwięk czegoś ciągniętego. Cisza.

Właśnie chciała zawołać kolejny raz, kiedy usłyszała kliknięcie. A więc dotarł do chłodni. Poczowała ulgę, łzy napłynęły jej do oczu. Skoro on jeszcze żyje, to ona również. Teraz jej życie zależy od jego życia.

- Petersen, musisz mi zdjąć kajdanki! Jeśli ty umrzesz, ja też umrę. Pozwól mi wstać, a zajmę się tobą.

Nie było odpowiedzi.

Jej błaganie trafiało w próżnię. A kiedy już sądziła, że znów zemdłał, usłyszała trzaśnięcie drzwiczek kredensu. Przetrzęsał go w poszukiwaniu jedzenia. Po jakimś czasie powtórzył się dźwięk szurania po podłodze, do którego dołączyły się odgłosy wskazujące nieomylnie, że zbiera mu się na wymioty. W końcu usłyszała jego głos:

- Gdzie trzymasz... lekarstwa?

Nawiązany kontakt sprawił ją w stan irracjonalnego zadowolenia.

- Apteczka jest na poddaszu.

W odpowiedzi usłyszała wymamrotane przekleństwo. Nie trudno było się domyślić, dlaczego.

- Posłuchaj, zdejmij mi kajdanki, a dostarczę ci wszystko, czego potrzebujesz. Oboje wiemy, że nie wdrapiasz się i nie zejdziesz stamtąd.

- Jeszcze... nie zwariowałem.

- Być może, ale ledwo żyjesz. - Tate wpatrywała się w drzwi. Jego głos zabrzmiał wyraźniej. I rzeczywiście, gdy tak się wpatrywała, zmaterializował się w mroku. Zdziwiło ją, że trzyma się na nogach. - Posłuchaj, długo tak nie pociągniesz. - I znowu usłyszała w swoim głosie współczucie. - Stoczyłeś ciężki bój, ale teraz możesz odpuścić. A jeśli umrzesz, a ja razem z tobą, niczego nie wskórasz. Zdejmij mi kajdanki. Jeżeli chcesz, możesz mnie trzymać na muszce, gdy będę ci opatrywała nogę i przyrządzała zupę.

- A kiedy znowu zasłabnę... polecisz po szeryfa. Głupotą byłoby temu zaprzeczać.

- To twoja jedyna szansa. Może uda ci się nie stracić przytomności, więc potem znowu mnie zakujesz.

- Muszę tylko trochę... odpocząć. - Słaniając się, ruszył w stronę łóżka. Gdy dotarł, podsunął coś w jej stronę. Była to paczka pszennych chrupek, które zamierzała zjeść wieczorem. Aż trudno uwierzyć, że pomyślał o niej.

Tak potwornie drżały mu ręce, że z trudem odpiął pas z bronią. Popchnął go w stronę drzwi, a także całą zawartość kieszeni, włącznie z kluczami, które, jak sądziła, mogłyby otworzyć kajdanki.

Nie poprzestał na tym. Rozpiął guziki obszarpanej koszuli, cierpiąc katusze przy każdym ruchu. W świetle księżycy skóra jego klatki piersiowej miała kolor ciepłego złota, pokrytego ciemniejszymi, również złotymi włosami. Zsunął koszulę z ramion.

- Co robisz?

- To chyba widać. - Sięgnął do spodni, chciał je rozpiąć, ale guziki nie ustąpiły. Udało się za drugim razem. Opuścił je do miejsca, gdzie skaleczoną nogę obwiązywał kawałek materiału. Klnąc szpetnie, odwinął prowizoryczny bandaż, a spodnie spadły mu aż do bosych stóp. Wyswobodził się z nich, z powrotem zawinął bandaż, zacisnął go mocno, jęcząc przy tym głucho. W końcu, ubrany jedynie w tanie bawełniane gatki i w obszarpany bandaż, padł na łóżko i z trudem wgramolił się pod narzutę.

- Petersen, posłuchaj mnie - powiedziała Tate wściekłym głosem. - Ty umierasz. Chyba nie jesteś aż tak głupi, żeby nie zdawać sobie z tego sprawy? Ludzie nie wychodzą z ran postrzałowych bez stosownego leczenia. To nie jest grypa! Na miłość boską, daj mi te cholerne klucze i pozwól mi się ruszyć! Zajmę się tobą jak trzeba, obiecuję.

- Ja nie... wróć... zabijają mnie - powiedział głosem, dobywającym się jakby z połowy drogi do piekła.

- Mamy dwudziesty wiek! Nie zabija się więźniów za ucieczkę! Możesz dostać rok czy dwa więcej, to wszystko. Prawdopodobnie będziesz mógł się również ubiegać o warunkowe zwolnienie, jak wcześniej.

- Zabijają... - Dalszy ciąg zdania nie był słyszalny. Tate przesunęła się na drugą stronę łóżka, najdalej jak mogła. Mężczyzna obok niej znów stracił przytomność.

Słońce jeszcze nie wstało, ale zrobiło się już widniej. Carl Petersen spał, ale nie Tate. Nie zmrużyła oka, nie odprężyła się ani przez chwilę. Klucze, które mogłyby jej przynieść wolność, leżały na podłodze przy drzwiach, ale między nią i nimi był Petersen.

Stopniowo, po rozważeniu wszystkich możliwości sięgnięcia do nich i uwolnienia się, doszła do wniosku, że jej jedyną szansą jest czekanie na jego śmierć.

- Boże, nie! - Przeraziła się. Nie wytrzyma nawet paru minut obok nieboszczyka. A gdy już będzie pewna, że umarł, jeszcze będzie musiała przeczołgać się przez niego, żeby dosięgnąć kluczy...

A na razie on jeszcze żyje. Tate odwróciła się w stronę wyjętego spod prawa człowieka. Tak, człowieka, a nie księżycy. Żywy Jesse James nie był taki romantyczny jak legenda o nim. Czy opowieść o Ozarku też została mocno wyolbrzymiona? Czy za setki lat miejscowi ludzie będą opowiadać swoim dzieciom bajkę na dobranoc o Carlu Petersenie i o przykutej kajdankami kobiecie, która umarła ze strachu w łóżku obok niego?

- Petersen! - Tate wyciągnęła rękę, próbując dosięgnąć jego ramienia. - Petersen, obudź się.

Coś wymamrotał. Jego ramię było jak ogień. Przez ostatnią godzinę rzucał się i bredził. Czy tak wysoka gorączka nie niszczy mózgu? Jest człowiekiem i cierpi. Ale dotychczas jej chęć wydostania się na wolność była silniejsza od współczucia dla niego.

Potrząsnęła nim.

- Musisz mi zdjąć te kajdanki!

Rzucał głową to w jedną, to w drugą stronę, po czym odwrócił się i chwycił ją za rękę.

- Przechytrzył mnie... - szepnął.

- Obudź się! - Tate próbowała uwolnić rękę, ale jej nie puścił.

- Skurwielu... ty skurwielu. Powiedziałeś miesiąc. Nie dłużej... - mamrotał.

Tate słuchała jednym uchem, cały czas koncentrując się na budzeniu go.

- Petersen, proszę! Obudź się. Musisz wstać i zdjąć mi kajdanki, póki jeszcze możesz!

- Zapłacisz mi... Gallagher... Będziesz gnić...

- Petersen! - Kiedy nie odpowiadał, spróbowała wołać go po imieniu, w nadziei, że może uwierzy, że jest jego przyjacielem. - Carl. Carl, obudź się. Musisz mnie uwolnić. Nie chcę leżeć obok zwłok!

Uniósł powieki. Obracał gałkami, jakby oglądał film.

- Gallagher... ty sukinsynie... miesiąc. Nie więcej!

- Chwyć mocniej rękę Tate, aż skrzywiła się z bólu.

- Zostawiłeś mnie na pewną śmierć!

- Petersen. Carl. Carl! - Była bezsilna i bliska płaczu.

- Proszę, obudź się!

- Simon. - Odwrócił się w jej stronę. - Simon. Mam na imię...

- Proszę. Daj klucze! Carl, czy mnie słyszysz? - Wyrwała rękę i potrząsała nim.

- Nie Carl... ja... ja jestem Simon.

Nie było sensu się sprzeczać. Niech mu będzie.

- No więc, Simon. Proszę, błagam cię. Postaraj się obudzić. Musisz wstać i wziąć te przeklęte klucze! Jeśli tego nie zrobisz, nie pomogę ani tobie, ani sobie. Ty umierasz... Simon!

- Umieram. - Wybełkotane słowo zdawało się docierać do jego świadomości. - Umieram. Nie ma sprawiedliwości w życiu... Prawo też nie jest sprawiedliwe...

- Tak, umierasz! Gorączka cię zabije. Posłuchaj, Carl... Simon, czy jak się tam nazywasz. Ja nie chcę tutaj zgnić obok ciebie. Rozumiesz? Nie chcę, żeby moją historią straszono tutejsze dzieci.

- Tutejsze...

- Klucze. Weź klucze. Od tego zależy twoje życie. Uniósł głowę znad poduszki. Po raz pierwszy jego oczy zdawały się kontaktować ze światem.

- Nie odejdziesz...

- Nie. Nie odejdę. Proszę, weź klucze. Bo będzie za późno. Nie przeżyjesz, jeśli nie pozwolisz sobie pomóc. A ja nie przeżyję przykuta do łóżka obok nieboszczyka!

- Ale ja wcale nie... umieram...

- Jeśli jeszcze nie umarłeś, to nie znaczy, że za chwilę tego nie zrobisz! Nie pójde po pomoc. Przysięgam. Sama się tobą zajmę.

- Skończona... kłamczucha.

- Mówię prawdę.

- Będziesz... przy mnie?

- Na wieki, jeżeli zaraz nie dasz mi kluczy. Zdobył się na nikły uśmiech.

- Proszę. Simon, pozwól mi wstać. Otworzył oczy.

- Skąd wiesz, że... ja... Simon?

- Kazałeś tak na siebie mówić.

- Psiakrew!

- Posłuchaj, chcę, żebyś mnie uwolnił. Nie obchodzi mnie, kim jesteś ani cała ta reszta. Tylko pozwól mi się ruszyć. Zrób to.

Leżał nieruchomo.

- Będę cię błagała, jeśli tego chcesz - powiedziała.

- Posłuchaj...

Tate odruchowo przysunęła się bliżej. Głos mu się łamał, był bliski szeptu.

- Słucham.

- Zostanę zabiły... jeśli tam wrócę. Jestem niewinny. Muszę tego dowieść... Dlatego...

- Simon? - pochyliła się nad nim.

- Uciekłem, żeby dowieść...

Tate podejrzewała, że dziewięćdziesięciu dziewięciu spośród stu więźniów w High Ridge przekonywałoby o swojej niewinności, nawet gdyby ich ofiary stawiły się pod postacią skrzydlatych aniołów i w aureolach.

- Dlaczego mieliby cię zabić? - drażyla.

- Kapitan Shaw... Mam coś... Zajrzyj do kieszeni mojej koszuli...

- Nie mogę się ruszyć. Jestem skuta kajdankami. Leżał nieruchomo i bardzo spokojnie. Tate czekała, nie będąc pewna, czy znowu majaczy, czy tylko się zastanawia. Po czym, kiedy już chciała nim potrząsnąć, otworzył oczy. Usiadł nadludzkim wysiłkiem. Zsunął się z łóżka i runął na podłogę. Tate słyszała jego urywany, charczący oddech. Wbrew sobie, współczuła mu.

- Nic sobie nie zrobiłeś?

Żadnej odpowiedzi. Podsunęła się do krawędzi łóżka.

- Simon?

Mrużyła w ciemności oczy, gdy on centymetr po centymetrze zaczął posuwać się w stronę drzwi. Wiedziała, że każdy ruch jest nieludzko bolesny, ale on czołgał się dalej. Centymetr... przerwa... centymetr... przerwa.

W końcu znalazł się koło drzwi. Tate wstrzymała oddech, kiedy chwycił swoje ubranie i przyciągał je do siebie. Klucze leżały na spodniach. Wreszcie, kiedy już miał je w rękę, oparł się plecami o ścianę i rzucił je na łóżko. Zamknął oczy.

Nie tracąc czasu, Tate odszukała najmniejszy klucz na kółku. Otwieranie kajdanek zajęło jej sporo czasu, denerwowała się, pewna, że lada chwila Petersen może zmienić zamiar.

- Nie zabiłem cię - odezwał się. Nadal leżał na podłodze. Uwolniła rękę z kajdanków. Z jej oczu popłynęły łzy ulgi.

- Zdaje się, że powinnam ci podziękować.

- Mogłem to zrobić.

- Wiem.

- Jeżeli udasz się po pomoc, zabijesz... mnie.

Wzrok Tate padł na rewolwer. Znajdował się w jego zasięgu, ale biorąc pod uwagę, jak bardzo jest słaby, mogłaby sięgnąć po broń pierwsza.

- Byłeś sądzony i zostałeś skazany przez równych sobie, czy tak? - zapytała, powoli opuszczając nogi na podłogę.

- Nie jestem taki, jak sądzisz... uwolniłem cię... darowałem ci życie. Uratuj moje. - Głowa opadła mu na bok. Oddychał coraz słabiej. Wstała i podeszła do niego. Podniósł głowę i otworzył oczy. Kiedy tak patrzyła na niego ze zgrozą, sięgnął po broń i drżącą ręką wyciągnął ją w jej stronę.

- Weź to... Zastrzel mnie... Wydaj mnie... I tak jestem stracony. - Broń wypadła mu z ręki. Po czym mężczyzna, który nazywał siebie Simonem, obsunął się na podłogę.

ROZDZIAŁ TRZECI

Nieprzytomny mężczyzna na podłodze chaty był zbiegłym więźniem. Wielokrotnie groził jej w czasie długiej nocy, a raz nawet strzelił, żeby ją przestraszyć i ujarzmić. Więc dlaczego, zastanawiała się Tate, nie miałyby go przyciągnąć za nogę do łóżka, skuć kajdankami i wezwać szeryfa?

Ponieważ był cierpiący. Ponieważ podłoga była przeraźliwie zimna, a on był wykończony i ranny. Ponieważ darował jej życie, podczas gdy zdesperowany kryminalista nie powinien tego robić. Ponieważ, niech diabli wezmą racjonalne przesłanki, nie była pewna, czy kłamie, czy mówi prawdę na temat swojej niewinności.

Ponieważ prawo i ludzie, którzy je egzekwują, nigdy nie robili na niej większego wrażenia.

Tate trzymała rewolwer obiema rękami, celując w głowę Simona. Może strzelić, jeśli zajdzie potrzeba. Wielu rzeczy nauczyła się w gettach rasowych i w przeładowanych po brzegi instytucjach społecznych dla dzieci ulicy. Przeszła twardą szkołę, żeby nauczyć się bronić, i nigdy nie zapomniła tych lekcji.

I dlatego, gdyby została do tego zmuszona, strzeliłaby. Patrząc jednak na ten powalony na ziemię strzęp człowieka, wiedziała, że nie ma się czego bać. Simon - albo Carl Petersen - nic jej już nie zrobi. Doszedł do kresu swoich możliwości i zdał sobie z tego sprawę. Oddał jej broń, a tym samym złożył swoją przyszłość w jej ręce.

Nie chciała mieć nic wspólnego z jego przyszłością. Z niczym, co go dotyczyło. Ale był nieprzytomny, a więc zależny od niej, przynajmniej przez jakiś czas. Musi więc podjąć jakąś decyzję.

Jedno było pewne. Nie może go zostawić na podłodze. Musi go wciągnąć na łóżko. Zimna podłoga szybciej może go zabić niż ranna noga.

Zastanawiała się, jakby dokonać tego cudu. Był od niej dużo cięższy, więc jeśli nie oprzytomnieje i nie pomoże jej, nic z tego nie wyjdzie. Był także prawie nagi. Wzięcie go za bary będzie trudne, ale musi spróbować.

Położyła rewolwer na półce w szafie, żeby nie kusił Simona. Ukłękła obok niego i potrzęsnęła za ramiona.

- Simon, czy mnie słyszysz?

Jęknął i natychmiast zapadł się w sobie.

- Simon?

Wsunęła się pod niego i używając własnego ciała jak podnośnika, ujęła jego szerokie ramiona i zaczęła sadzać. Był cały rozpalony. W świetle wstającego świtu zobaczyła, jak bardzo jest brudny.

- No, Simon - zachęcała go - jeżeli zdołasz usiąść, to może też wspólnymi siłami uda się nam dociągnąć cię i położyć do łóżka.

Znowu stęknął, ale odniosła wrażenie, że jednak próbuje jej pomóc. W każdym razie nie stawiał oporu. Ciągnęła go z całych sił, aż oparła go o ścianę. Było jeszcze za ciemno, żeby mu się dobrze przyjrzeć, ale bladeść jego twarzy rzucała się w oczy. Ciało, jakby odpłynęła zeń cała krew, przypominało biały marmurowy posąg antycznego boga. Zaniepokoiła się. Ludzie umierają od ran postrzałowych. On naprawdę może umrzeć.

Spojrzała na odległość dzielącą ich od łóżka. Nie dociągnie go tam bez jego pomocy. Potrząsnęła nim.

- Simon. Czy mnie słyszysz?

I znów w odpowiedzi usłyszała stęknięcie. Poklepała go po policzku.

- Posłuchaj, powinieneś się położyć. Ale musisz mi w tym pomóc.

Uchylił powieki, ale wzrok miał mętny.

- Oprzesz się o mnie. Z całej siły. A gdy wstaniesz, będziesz miał tylko parę kroków do łóżka. - Tate ukucnęła przy nim i przełożyła jego rękę przez swoje ramiona. Powtarzała tę czynność kilkakrotnie, ale bezwładna ręka wciąż opadała. Już chciała zrezygnować. W końcu ma do czynienia ze zbiegiem, który przed paroma godzinami zagrażał jej życiu. Co ona najlepszego wyprawia, w co się pakuje?

Naraz poczuła, że mężczyzna jednak próbuje oprzeć się o nią. Chciał jej pomóc, bo nie chciał umrzeć. Objęła go mocniej i zaczęła do niego przemawiać:

- Musisz mi pomóc. Jeśli tego nie zrobisz, umrzesz.

- Umrę... jeżeli mnie... wydasz.

Poczuła ulgę, że jest na tyle przytomny, by mówić. Uchwyciła go jeszcze mocniej.

- A teraz musimy się postarać doprowadzić cię do łóżka. Policzę do trzech i wyprostuję się. Musisz mi pomóc. Rozumiesz, co mówię?

Głowa opadła mu do przodu. Nie była pewna, czy kiwa nią na znak potwierdzenia, czy znowu omdlewa. Zaczęła liczyć:

- Raz... dwa... trzy. - Użyła całej siły, żeby go podźwignąć do góry. - A teraz ruszamy.

Mocowali się oboje. Był tak słaby, że niewiele mógł jej pomóc, ale przynajmniej nie wisił na niej całym ciężarem. Tate wyprostowała się i złapała równowagę. Następnie, kiedy już prawie stanął, zaczęła z nim iść, ciągnąc go niemal przy każdym kroku.

- No, jeszcze trochę, Simon. Już prawie dotarliśmy. Tylko mi nie mdlej.

Koło łóżka upadł do przodu.

- Nie mogę... - wymamrotał.

- Już nie musisz. Po prostu leż tutaj. Pomogę ci unieść nogi. Masz tylko nie zemdleć!

Rozumiesz?

Nie odpowiedział, ale szkoda było czasu na kolejne pytanie. Chwyliła jego zdrową nogę i z wielkim trudem wciągnęła na łóżko. To samo zrobiła z drugą, tyle że delikatniej. Leżał teraz w poprzek narzuty, na boku, ale najważniejsze, że nie na zimnej podłodze.

Odpoczywając przez chwilę, przyglądała się swojemu dziełu. Mężczyzna na łóżku był nienaturalnie blady. Podejrzewała, że pod brudną szmatą na nodze kryje się coś znacznie gorszego niż zwykłe draśnięcie.

Wstrzymując oddech, zsunęła szmatę, aż jej oczom ukazała się rana. Nie pomyliła się. Rana, gdzie kula przeszła łydkę, nie była rozległa, ale samo miejsce było nieprawdopodobnie spuchnięte, a skóra wokół czerwona i obrzmiała. Spuchnięcie sięgało prawie kolana, a z rany sączyła się krew.

Zakłęta szkaradnie. Nie obce jej były skaleczenia i obrażenia. W college'u przeszła praktykę udzielania pierwszej pomocy. Odbywała ją w miejscowej klinice pod nadzorem lekarzy, którzy akurat mieli dyżur, i rwała się do pomocy, ilekroć nadarzała się okazja. Raz nawet asystowała przy wyjmowaniu kuli. Ale nie były to poważne przypadki. Z raną taką jak ta powinno się natychmiast jechać na ostry dyżur do najbliższego szpitala. Mógłby się tam udać pod eskortą policji, a po wyleczeniu wróciłby do High Ridge... Po co? Żeby go zamordowali?

A może jest w tym jakaś prawda? Jest dwudziesty wiek, ale High Ridge, podobnie jak chatę jej ojca, uważało się za miejsce z dziewiętnastego wieku. Słyszała o tym w czasie nie za częstych wypadów do miasta. Wielu mieszkańców Mountain Glade, z braku możliwości zatrudnienia na miejscu, pracowało w więzieniu. Ci, z którymi rozmawiała, mówili niewiele - rozmowa z obcymi nie była w ich stylu - ale z tego, co powiedzieli, wynikało, że High Ridge jest ostatnim miejscem, gdzie skazani chcieliby odsiadywać wyrok.

A surowe więzienie i więzienie, w którym więźniowie są mordowani, to dwie różne sprawy, nieprawda?

Tate podeszła do komody, skąd wyjęła dwa bandaże. Krzywiąc się na myśl o bólu, jaki mu sprawia, zabandażowała Simonowi nogę, a następnie wyciągnęła spod niego narzutę. Nie poruszył się. Zauważyła, że oddycha szybko i płytko. Odwróciła go i ułożyła wygodniej, następnie przykryła narzutą, opatulając jak małe dziecko.

Kajdanki zwisały z metalowego wezglowia, tam gdzie je zaczepił. Obejrzała je uważnie, następnie podniosła jego rękę i unieruchomiła ją kajdankami. Teraz on był jej więźniem.

Wychodząc z sypialni, potknęła się o rozrzucone na podłodze ubranie. Zgarnęła je. Strażnik, któremu je ukraść, nie będzie już go potrzebował, tego była więcej niż pewna. Ubranie śmierdziało gorzej niż sam więzień i całe było w strzępach.

Przemierzając chatę, przeszukała kieszenie spodni. Był tam otwarty list, z inicjałami RS, i nic więcej. Rzuciła spodnie w kąt za drzwi. Już miała dorzucić na stertę koszulę, kiedy sobie przypomniała, że Simon mówił coś o zawartości kieszeni.

Podniosła koszulę i sięgnęła do kieszeni, by wyciągnąć stamtąd małą plastikową dyskietkę. Na etykietce nie było żadnego opisu. Ponieważ na samej dyskietce też nie było napisów, należało przypuszczać, że jest to kopia jakiegoś programu. Do czego może służyć Simonowi komputerowa dyskietka? Człowiek, którego gazety nazywały Carlem Petersenem, trafił do więzienia za komputerowe przestępstwo, ale skąd dyskietka w kieszeni munduru, który ukraść strażnikowi?

Chyba że rzeczywiście ma to jakiś związek z jego ucieczką.

Dyskietka była mokra. Kiedy ją podniosła pod światło, pociekła z niej woda. Jakąkolwiek ważną informację zawierała, prawdopodobnie była stracona. Ale już to, że jednak znalazła jakąś dyskietkę w kieszeni jego koszuli, czyniła sytuację mężczyzny leżącego w jej łóżku jeszcze bardziej skomplikowaną.

Położyła dyskietkę na półce w kuchni, po czym wzięła się za zbieranie z podłogi rzuconego tam drewna. Gdy słońce zaczęło swoją wędrówkę po niebie, w palenisku i w piecu huczał już ogień, a chata szybko się ogrzewała.

Kiedy zajrzała do swojego więźnia, stwierdziła, że nie zmienił pozycji. Zbadła mu puls. Gorączkował jak przedtem, a puls bił szybko i mocno. Wiedziała, że w tym stanie można się spodziewać zakażenia krwi i nerwowego szoku. Pierwsze było dosyć prawdopodobne, mimo że rana nie wyglądała aż tak źle. Zwiastunem drugiego może być spadek ciśnienia.

Wyszła i wróciła po paru minutach z apteczką, o której mu wspominała. Zawierała więcej rzeczy niż przepisowe bandaże i środki dezynfekujące. Sama ją wyposażyła, kiedy odbywała praktykę w klinice. Między innymi miała słuchawki i aparat do mierzenia ciśnienia. Wzięła jego rękę i nałożyła mu opaskę. Następnie włożyła słuchawki w uszy i zaczęła pompować opaskę.

Ciśnienie było niskie, ale utrzymywało się w dolnej granicy normy, więc na razie od tej strony nie było zagrożenia. Potem wysłuchała jego serca. Biło równo, chociaż za szybko.

Był chory, ale podejrzewała, a ściślej mówiąc, miała nadzieję, że jego choroba bierze się w dużym stopniu z wyczerpania, utraty krwi i odwodnienia. Sama rana wyglądała poważnie, ale nie zagrażała życiu. Przy odrobinie szczęścia uda się ją zagoić.

Schowała aparat do apteczki i przykryła swojego więźnia, dając mu dodatkowy koc. Będzie musiała zagotować wodę i oczyścić ranę. Teraz nie chciała go niepokoić. Poza tym musi się zastanowić, co z nim zrobić. Tyle, że nie może zbyt długo zwlekać z decyzją. Nie uważała, żeby mu coś bezpośrednio groziło, ale bez odpowiedniego leczenia, i to podjętego dość szybko, Simon Carl Petersen może umrzeć przykuty do łóżka.

Góry nie były nowością dla Tate. „Zajazd dla Dylizansów” znajdował się w wysoko położonym Blue Ridge w Wirginii. Zamieszkała tam, gdy miała czternaście lat i chociaż dzieciństwo spędziła na równinie, w górach czuła się jak u siebie. Może dlatego, że „Zajazd” był jej pierwszym prawdziwym domem jako nastolatki. O ile powód, dla którego przyjechała na wyżynę Ozark mógł wydawać się dziwny, o tyle same góry niewiele się różniły - były tylko bardziej skaliste i trochę surowsze.

Teraz, zostawiając za sobą tuman rdzawego kurzu, pokonywała fordem bronco kolejną serię zakrętów na prowadzącej do miasta Kalix Road.

Kalix Road była pełna kontrastów.

Domy bliżej chaty Tate wyglądały bardzo skromnie, miały za to starannie utrzymane podwórka, a dumą właścicieli była świeżo położona farba i tonące w kwiatkach ogrody. Niżej domy przypominały raczej chałupy, a bawiące się przed nimi dzieci były brudne i zaniedbane. Tak jakby Kalix Road dzieliła się na tych, którzy mało co mają, ale starają się, i na tych, którzy prawie nic nie mają, i zupełnie nie zaprzatają sobie tym głowy.

Ziemia w tej części wyżyny Ozark była zbyt skalista, żeby z jej uprawy można było czerpać przyzwoite zyski, a cała okolica zbyt nieprzyjazna i zacofana na uruchomienie przemysłu. Ale niektórzy ludzie mieszkający wzdłuż Kalix Road jakoś wiązali koniec z końcem. Uprawiali ziemię, imali się każdej nadarzającej się pracy, nawet tej najpaskudniejszej. Wychowywali i kształcili dzieci, wspierali swoje kościoły, wykazując duży upór i inteligencję.

Kiedy Tate zakręciła i z gliniastej drogi wyjechała na czarny asfalt, pojawiły się jeszcze inne domy. Ich właściciele, miejscy kupcy i specjaliści różnych dziedzin, nie byli bogaci jak na wielkomiejskie standardy, ale im bliżej miasta, tym częściej widać było budynki większe i nowocześniejsze. Gdyby Tate była zwykłą przejeżdżną turystką, mogłaby się nigdy

nie dowiedzieć o istniejącym w tych pięknych górach ubóstwie ani o codziennym borykaniu się tutejszych ludzi i ich walce o zachowanie godności.

No i oczywiście, gdyby chata Miliarda nie znajdowała się tutaj, nie miałyby nigdy okazji poznania Simona Carla Petersena.

Mountain Glade było tak małe, że można by je niezauważenie minąć. Teraz poznała je dokładnie, znała każdy sklep, każdą restauracyjkę i kawiarnię. Było to malownicze górskie miasteczko z drewnianymi chodnikami, ceglanyimi budynkami, a przy każdym domu kręciła się lub wyglądała przez okno jedna czy dwie osoby. Wiedziała, gdzie kupić artykuły spożywcze i gdzie zaparkować samochód, gdy uczestniczyła w piątkowej wieczornicy. Wiedziała, w jakich godzinach jest czynny bank i posterunek policji, a także, gdzie zmienić pieniądze na drobne potrzebne do automatów samoobsługowej pralni.

Wiedziała też, gdzie mieści się biuro szeryfa.

Po przekroczeniu granicy miasta zwołniała do obowiązujących czterdziestu kilometrów. Mountain Glade było sennym miasteczkiem, równie uśpionym wczesnym rankiem, jak i w samo południe. Na ulicy Głównej najlepsze miejsca były już zajęte, przede wszystkim przez półciężarówkę. Sporo pojazdów stało przed „Sassafras Cafe”.

Zaparkowała przed apteką Allena i jeszcze przez chwilę pozostała w samochodzie. Analizowała decyzję, którą podjęła, aż zza horyzontu wyrzało poranne słońce. Postanowiła nie przesądzać o losie swojego więźnia. Było jeszcze zbyt wiele spraw, o których nie wiedziała, i była tylko jedna osoba, która mogła ją oświecić - jej przybrany ojciec, Jess Cantrell.

Jess był niewyczerpanym źródłem wiadomości. Nie tylko razem z Kristą kierował „Zajazdem”, ale był też dziennikarzem, który pisywał bestsellery. Zawsze był na bieżąco zorientowany w najważniejszych sprawach. A jeżeli czegoś nie wiedział, znał kogoś, kto był dobrze poinformowany. Tylko Jess mógł ją oświecić na temat Simona, pod warunkiem, że przełknie fakt, iż przykuła kajdankami do łóżka niebezpiecznego kryminalistę w swoim górskim zaciszu.

Tate skrzywiła się, zastanawiając się nad sposobem, w jaki mogłaby mu przekazać tak niepokojącą, wręcz złą wiadomość. Ani Jessa, ani Kristy nie zachwyciła jej decyzja samotnego, paromiesięcznego spędzenia czasu w górach Ozark. Niepokoił się o nią. Wprawdzie nie zniechęcali jej, ale za dobrze ich znała, żeby nie wiedzieć, co naprawdę czują.

Teraz nie będą mieli wątpliwości, że ich niepokój był w pełni uzasadniony.

Wprawdzie już nie jest tą czternastoletnią wykojejoną dziewczyną, którą wzięli z ulicy i musieli się nieźle z nią namęczyć, chyba jak wszyscy rodzice, zanim jako tako dojrzała.

Ale nawet gdyby to miało cofnąć ich wszystkich o kilka lat, musi poprosić Jessa, żeby zdobył wszystkie możliwe informacje na temat mężczyzny, który uciekł z High Ridge. Uważała, że zasięgnięcie rady u Jessa świadczyło o jej dorosłości. Miała nadzieję, że i oni tak to odbiorą.

W Mountain Glade były dwa publiczne telefony. Jeden, przy stacji benzynowej, niestety nie działał, kiedy tam podjechała. Drugi znajdował się w aptece Allena. Był to przyścienny telefon, zainstalowany parę centymetrów od lady, przy której aptekarz i klienci załatwiali sprawy i plotkowali.

Wally Allen, właściciel, zarówno udzielający porad medycznych, jak i wydający lekarstwa, był mężczyzną w średnim wieku, o rudych włosach, a poza tym najbardziej wścibską istotą, jaką Tate kiedykolwiek spotkała. Nieprzypadkowo telefon znajdował się tuż przy jego zawsze czujnym uchu. Wally trzymał rękę na pulsie wszystkiego, co działo się w Mountain Glade. Z miejsca mógł powiedzieć, co kto z kim robi i gdzie. Tate czasami zastanawiała się, czy Wally nie prowadzi dziennika i nie szykuje sobie wcześniejszej emerytury z pieniędzy mieszkańców Mountain Glade, chętnych wymienić zapisane przez niego stronice na gotówkę.

Dzisiaj Wally był w wyjątkowej formie i popisywał się swoją elokwencją przed starszą kobietą o nieprzejeźdzanym wyrazie twarzy. W hrabstwie, gdzie praktykowało tylko dwóch przeciążonych pracą lekarzy, Wally funkcjonował jako trzeci. To prawda, że Tate nigdy nie słyszała, by zdarzyło mu się udzielić komuś złej rady. Raz, kiedy bolało ją gardło, wypisał jej receptę na blankiecie miejscowego lekarza, i trzeba przyznać, że jego diagnoza i wybór lekarstwa okazały się słuszne i skuteczne.

Teraz, gdy zbliżała się do lady, rozplątał się nad zaletami kuracji błonnikowej. Tate już raz wysłuchała tego szczególnego wykładu. Sądziła, że może uda się jej skorzystać z telefonu, choćby przez pięć minut, zanim Wally zacznie przysłuchiwać się jej rozmowie.

Myliła się jednak.

- Dzień dobry, panno Tate.

Mając na uwadze fakt, że pewnego dnia może będzie go musiała prosić o kolejną receptę, uśmiechnęła się miło.

- Dzień dobry panu.

Uśmiechnął się szeroko, odsłaniając równe zęby.

- Nadal miło spędzasz czas?

Nie zamierzała go wtajemniczać, że jej pobyt w górach od kilku godzin stał się stanowczo mniej miły.

- Te jesienne kolory są prześliczne, prawda?

- O, tak, nie znajdzie się takich w dużym mieście. - Przyglądał się Tate, gdy podnosiła słuchawkę. - Chcesz może książkę telefoniczną?

- Nie, dziękuję. - Kiedy wrzuciła monetę, z tyłu, za nią, zapanowała cisza. Udając, że grzebie w torebce w poszukiwaniu numeru telefonu, przesunęła się tak, by zerknąć na Wally'ego i kobietę przed ladą. Oboje gapili się na nią bez najmniejszej żenady. Nie było zatem mowy o telefonowaniu do Jessa i proszeniu go o informacje dotyczące zbiegłego skazańca. Nie upłyne dziesięć minut, a wszyscy w miasteczku dowiedzą się o telefonie. Po dwudziestu szeryf zapuka do jej drzwi.

Zajrzała więc do pustego notesu, a następnie wykręciła kilka jedynek. Tak jak przypuszczała, głos w słuchawce powiedział, żeby spróbowała jeszcze raz. Nie uzyskawszy połączenia, odwiesiła słuchawkę i wyjęła swoją ćwierćdolarówkę.

- Spróbuję później - mruknęła.

- Cierpliwi zostaną wynagrodzeni - powiedziała starsza kobieta, jakby przed chwilą sama wymyśliła tę sentencję.

Mając nadzieję, że już wkrótce Wally zajmie się realizowaniem recept i przygotowaniem lekarstw, Tate skinęła głową i opuściła aptekę.

Jak długo Petersen wytrzyma bez leczenia? Wprawdzie jest silnym mężczyzną, ale nawet silni umierają. Postanowiła odczekać pół godziny, a potem wrócić i jeszcze raz skorzystać z telefonu. Gdyby Wally nadal nadstawiał ucha i uniemożliwił jej uzyskanie informacji od Jessa, sama zadecyduje, co dalej. Na razie przełamie się i dołączy do tłumu w „Sassafras Cafe”, i napije się kawy. Ma nadzieję, że żołądek, który ze zdenerwowania co jakiś czas dawał się jej we znaki, jakoś to zniesie.

Lokal nie wyróżniał się niczym szczególnym. W miasteczku było parę innych z podobnym menu i cenami. Sam budynek stał w zwartej zabudowie, a jego przeszklona ściana wychodziła na ulicę Główną. A jednak mieszkańcy Mountain Glade, znajdujący się na miejscowej kuchni, stawiali „Sassafras” w rzędzie pięciogwiazdkowych lokali. I trzeba przyznać, że mieli rację. Tate jadła tu parę razy i zawsze dania, choć proste, były smakowite i obfite.

Zaferowana i pogrążona w myślach o Simonie otworzyła drzwi. Zanim weszła, zlustrowała pomieszczenie, chcąc się upewnić, czy znajdzie się dla niej miejsce. Dopiero w środku zorientowała się, że większość aut zaparkowanych przed lokalem należy do jej krewnych.

Trudno powiedzieć, że w sali zaległo milczenie, ale zrobiło się ciszej. Ponieważ było za późno, żeby się wycofać.

Tate podeszła do dużego stołu, zajmowanego przez sześć osób z klanu Cartera, żeby się przywitać. Spotkania w rodzinnym gronie nie były jej specjalnością.

Will, chudy jak tyka mężczyzna, podniósł się na jej widok. Jako jej najbliższy sąsiad, widywał Tate częściej niż reszta Carterów. To Will pokazał Tate należący do jej ojca teren i chatę, kiedy po raz pierwszy przybyła do miasteczka. Niestety, to także Will stracił najwięcej na jej nieoczekiwanym przyjeździe. Gdyby nie dowiedziała się o spadku i nie zamieszkała tutaj, najprawdopodobniej wszedłby w posiadanie ziemi jej ojca.

Tate musiała udawać, że cieszy się na ich widok.

- Widzę, że spozywacie śniadanie w miłym, rodzinnym gronie. - Rozejrzała się wokół stołu. Sympatyczna i bardziej niż pulchna Dovey, żona Willa, siedziała obok niego. Pasowali do siebie jak Don Kichot i Sancho Pansa. Jej matka, Zeddie, bardziej przypominała buldoga niż starszą kobietę.

Naprzeciwko, bliżej Tate, kolejna trójka Carterów: Canna, Andy i Esther. Byli starsi od Tate, ale z tego samego pokolenia. Canna, atrakcyjna blondynka, pracowała w banku jako kasjerka. Andy i Esther byli małżeństwem i prowadzili własną gospodę, której specjalnością były między innymi pieczone kurczaki, oddaloną o jakieś trzy kilometry od chaty Tate. Wszyscy byli spokrewnieni z Tate, ale ona nawet nie próbowała dojść, w jaki sposób.

- Weź krzesło i dołącz do nas. - Nie zdążyła odmówić, a już Will przywołał do stołu jedną z zabieganych kelnerek.

- Nie róbcie sobie kłopotu. Nie chcę przeszkadzać - opierała się Tate, kiedy pojawiła się kelnerka.

- Kawa? - zapytała kelnerka, stawiając dzbanek na stole. Will przysunął już dodatkowe krzesło. Wziął też papierową serwetkę i sztucę, i położył to wszystko przed Tate, jak również świeżą filiżankę i spodek.

Tate, widząc, że się nie wymiga, podziękowała skinieniem głowy. Poczwała ulgę, gdy nalano jej kawy.

- Czy tak jak wszystkim podać naszą specjalność? - zapytała kelnerka i odeszła, nie czekając na odpowiedź.

- Chętnie spróbuję - powiedziała Tate. Miała nadzieję, że się nie udławi.

Zeddie wykrzywiła w uśmiechu twarz, na której, o ile to było możliwe, pojawiło się jeszcze więcej zmarszczek.

- Musisz. Koniecznie - zachęcała.

Tate wiedziała, że powinna coś powiedzieć, ale bezsenna noc i problem, którego jeszcze nie rozwiązała, sprawiły, że zaniemówiła.

- No i co sądzisz o Mountain Glade? - zapytała Canna. Najchętniej odpowiedziałyby im: Uważam, że jest położone za blisko High Ridge, żeby móc się tu dobrze czuć.

- Lubię góry - odparła zamiast tego.

- Radzisz sobie ze wszystkim?

Pomijając fakt, że właśnie w tej chwili w jej łóżku śpi skazaniec, Tate nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć. Jeżeli powie o dość prymitywnych warunkach, może się okazać, że wkracza na niebezpieczny teren. Z tego, co wiedziała, cały klan Carterów mieszkał w równie skromnych i surowych warunkach jak jej ojciec.

- Mam wszystko, co potrzeba - oświadczyła.

A także jednego żywego i oddychającego człowieka, którego nie potrzebuję, pomyślała.

- Zbliży się zima - powiedział Will.

Tate spodziewała się, że Will na tym nie skończy, dopóki nie zorientowała się, że czeka na jej odpowiedź.

- Niewątpliwie - przyznała mu rację.

- Będzie ostra.

Tate zastanowiła się, czy Will przepowiada pogodę z moli i z mostka gęsi. Dziennik jej ojca poświęcał dużo uwagi lokalnym przepowiedniom i przesądom związanym z prognozowaniem pogody.

- Skąd możesz wiedzieć?

- Och, Will sporządza wykresy - ożywiła się Dovey. - Ma wykresy pogody sprzed wielu lat. Wie o niej więcej niż meteorolog.

Na Tate te słowa zrobiły wrażenie. Will wyglądał na zakłopotanego.

- Gdybyś wiedziała, jakie tu bywają zimy, zwiłabyś zawczasu.

Tate wypła łyk kawy.

- A co powinnam wiedzieć?

- Drogi są tak zasypane, że z trudem przejedziesz ciężarówką. I musisz mieć dużo narąbanego drewna. Naprawdę dużo. Bo inaczej zamarzniesz. No i zapasy jedzenia. Jak nie masz, głodujesz, to więcej niż pewne.

Tate odebrała to jako ostrzeżenie. Ledwo znała tych ludzi i nie czuła z nimi żadnego pokrewieństwa. Ale, o dziwo, takie ostrzeżenie sprawiło jej przykrość. Ma takie samo prawo jak oni, żeby przebywać tutaj. Nie da im się zastraszyć, nie wróci do Wirginii.

Bóg jej świadkiem, że gdyby była strachliwa, już dawno by była na szosie i jechała prosto do „Zajazdu dla Dylizansów”, gdzie czekali na nią Krista i Jess.

Wypiła pół filiżanki kawy, zanim się odezwała.

- No cóż, o mnie nie musicie się martwić. Mam samochód z napędem na cztery koła i opony na każdy rodzaj pogody, więc jakoś sobie poradzę. Przed śmiercią Miliard narąbał tyle drewna, że wystarczy go na trzy zimy. Sądzę też, że jeżeli zaopatrzę się jeszcze w kilka pudeł różnych konserw, nie będę musiała robić zakupów przez tydzień czy dwa.

Nikt się nie uśmiechał. Oczy wszystkich przy stole były skierowane na nią. Pomyślała o dzieciństwie i tych wszystkich latach, kiedy tęskniła za dużą rodziną, za dziadkami, kuzynami, ciotkami i wujami. Nagle przypomniała sobie, jak Krista często powtarzała dziewczętom z „Zajazdu”, żeby uważały na to, o czym marzą, bo to czasami naprawdę może się spełnić...

Żałowała teraz, że nikt nie ostrzegł jej o tym wcześniej.

Wreszcie podano specjalność lokalu. Były to grzanki z sosem od pieczeni, jajka i bekon wędzony w hikorowym drewnie. Tate uzbroiła się w cierpliwość i szybko zjadała swoją porcję, nie mając czasu i głowy na delektowanie się wspaniałym zapachem. Dręczyła ją myśl, że już jest późno i że jeszcze raz musi spróbować zatelefonować z apteki. Mężczyzna przykuty kajdankami do jej łóżka nie powinien dłużej czekać.

Toczyła się rozmowa. Właśnie zamierzała wszystkich przeprosić i wyjść, gdy Will ponownie zwrócił się do niej:

- Zauważyłem, że posadziłaś drzewka.

Tate zwróciła uwagę na słowo „zauważyłem”, które nie było właściwym słowem. Ona i Will są najbliższymi sąsiadami, ale ich domy oddalone są o ponad półtora kilometra. Jedynym sposobem dostrzeżenia, co dzieje się na jej posesji, było podglądanie. Na samą myśl o tym przeszedł ją dreszcz. Nie mógł wybrać gorszego czasu.

- Rzeczywiście - odparła.

- Zastanawiam się, po co.

- Chciałam dokończyć to, co zaczął ojciec - powiedziała, kładąc nacisk na słowo „ojciec”, na wypadek gdyby zaszła potrzeba przypomnienia im o jej prawie do robienia czego chce na swoim terenie. - Przeczytałam w jego dzienniku, że chciał posadzić koło chaty wejmutki*. Na świecie zawsze się przyda więcej świątecznych choinek.

- Ten gatunek sosen wymaga pielęgnacji.

* Wejmutka - północnoamerykański gatunek sosny; korona piramidalna; w Polsce sadzona w parkach i lasach. (Przyp. red.)

Tate zastanawiała się, dlaczego po prostu nie wyłożą kart na stół i nie zapytają jej wprost, jak długo zamierza tu zostać.

- Tak, wiem. - Wstała i zaczęła się tłumaczyć. - Przepraszam za zamieszanie, ale muszę już wracać. Powinnam wykorzystać każdą widną chwilę, jeżeli zamierzam zakończyć sadzenie do końca tygodnia. - Skinęła uprzejmie głową. - Dziękuję za towarzystwo.

Will wstał także.

- Słyszałaś, że z High Ridge uciekł więzień?

Tym razem Tate zastanawiała się, jakie jeszcze istnieją taktyki zastraszania? Kiwnęła głową, jakby ten temat jej nie obchodził. Jakby mężczyzna, o którym była mowa, nie był przykuty do jej łóżka i umierający.

Will także kiwnął głową.

- Gdybyś mnie potrzebowała, krzyknij z całych sił.

Zdumiona, przez chwilę miała wrażenie, że istotnie niepokoi się o nią. Ale jego twarz pozostała bez wyrazu. Ciekawe, czy ojciec kiedykolwiek się uśmiechał. Podziękowała Willowi, pomachała wszystkim ręką i podeszła do kontuaru, żeby zapłacić rachunek.

Gdy wyszła z restauracji i szybkim krokiem szła w stronę apteki, ruch, zarówno pieszy jak i kołowy, trochę się wzmógł. Modliła się w duchu, żeby teraz, gdy miasteczko budziło się do życia, Wally był choć trochę bardziej zajęty. O dziwo, kiedy sięgała po telefon, nie było go nawet za ladą.

Włożyła ćwierćdolarówkę, po czym cichym głosem poprosiła telefonistkę o połączenie z „Zajazdem dla Dylizansów”. Telefon dzwonił i dzwonił. Ponieważ w Wirginii było o godzinę wcześniej niż w Arkansas, wyobraziła sobie, jak Jess musi złorzeczyć temu, kto go tak wcześnie budzi.

Ale zamiast niego odezwała się Krista.

- Cześć, Kristo. Poderwałam cię z łóżka?

- Witaj, skarbie. Wszystko w porządku?

Po krótkim wahaniu Tate postanowiła nie mówić jej całej prawdy. Krista była bardziej jej najlepszą przyjaciółką niż matką. A jednak, choć różnica wieku między nimi wynosiła tylko dziesięć lat, Krista troszczyła się o nią jak matka. Jessa stać było na większy obiektywizm. Potrafiłaby wydobyć z niego informacje o Carlu Petersenie.

- W jak najlepszym. Jestem w miasteczku, więc dzwonię.

- Strasznie się cieszę, że cię słyszę.

Pogadały parę minut, poplotkowały, zanim Tate przeszła do sedna sprawy i zapytała o Jessa.

- Nie dostałaś jego listu? - zdziwiła się Krista.

Tate skrzywiła się. Listonosz nie obsługuje Kalix Road. A ona od tygodnia nie zaglądała na pocztę.

- Chyba nie. Może czeka na mnie na poczcie.

- Jess wyjechał z kraju, Tate. Napisał do ciebie przed wyjazdem. To był nagły wyjazd. Jeden z jego starych przyjaciół zadzwonił do niego z Libanu...

- Z Libanu?!

- Pewne tamtejsze ugrupowanie twierdzi, że przetrzymuje jako zakładników trzech Amerykanów. Obiecują ich uwolnić, jeżeli dopuści się do nich prasę i zapewni im rozgłos. Na dziennikarza wybrali sobie Jessa.

Tate próbowała przeniknąć umysłem wszystkie konsekwencje tego, co przed chwilą usłyszała.

- Dlaczego?

- Z powodu jego działalności w przeszłości i ze względu na jego reputację. Obiecano, że zapewnią mu całkowite bezpieczeństwo.

- A co warte są takie obietnice?

- Mam nadzieję, że znaczą to, co obiecują - w głosie Kristy pojawił się niepokój.

- Długo go nie będzie?

- Dwa tygodnie... najwyżej trzy. Będzie w domu na Święto Dziękczynienia. Mam nadzieję, że i ty przyjedziesz?

Tate chciała powiedzieć, że ostatnie, o czym teraz myśli, to Święto Dziękczynienia, ale jedno było pewne: Krista ma dość własnych zmartwień.

Ona zaś ma swoje, a życie obcego człowieka spoczywa w jej rękach.

- Nie martw się o Jessa - powiedziała Krista, gdy Tate milczała. - Nie da sobie zrobić krzywdy. A ty pomyśl lepiej o przyjeździe na święto, dobrze?

- Jasne. Posłuchaj, możesz tutaj przysyłać telegramy. Jestem pewna, że możesz. Mam nadzieję. Mountain Glade nie jest odcięte od świata. Przyślij telegram, gdybyś mnie potrzebowała. Dobrze? A ja wkrótce zadzwonię.

Pożegnały się serdecznie i Tate odwiesiła słuchawkę. Stała i wpatrywała się w aparat, gdy usłyszała za sobą głos:

- Czekasz, aż zadzwoni, Tate?

Odwróciła się i zobaczyła wracającego za ladę Wally'ego. Wahala się. Rozważała wszystkie za i przeciw. Zastanawiała się, czy nie popełnia największego błędu.

- Wally - powiedziała na koniec. - Mam pewien problem. Wydał się zachwycony.

- Skaleczyłam się w nogę. - Wskazała miejsce na udzie, na tyle wysoko, żeby go onieśmielić i powstrzymać przed chęcią obejrzenia rany. - Zrobiłam to sobie, kiedy rozrąbywałam drewno na szczapy i podejrzewam, że wdała się tam jakaś infekcja. Teraz nie mam czasu, żeby zostać w mieście i czekać na wizytę u doktora Monsona, ale kiedy bolało mnie gardło, zaraz po moim przyjeździe tutaj, zapisał mi penicylinę i kazał powtórzyć receptę. Myślisz, że pomogłoby to na infekcję?

- A robiono ci ostatnio zastrzyk przeciwtężcowy? Mogła mieć tylko nadzieję, że w High Ridge prowadzi się rutynowe szczepienia więźniów.

- Tak.

Wally zatarł ręce i rozpoczął wykład. Pół godziny później Tate opuściła aptekę Allena dostatecznie pouczona, z opatrunkami i lekarstwami, których wystarczyłoby na cały pułk bohaterów wojny.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Przed wyjazdem do miasteczka Tate zabezpieczyła ogień w palenisku i pod kuchnią. Kiedy wróciła, w chacie było ciepło. Szybko dorzuciła parę kawałków drewna, zanim weszła do sypialni, gdzie na łóżku leżał Simon.

Leżał w tej samej pozycji, w jakiej go zostawiła. Miał zamknięte oczy i bardzo szybki oddech. Gdy położyła rękę na jego rozpalonym czole, zadrżał, jakby miał dreszcze.

Musiała działać szybko, ale z rozwagą. Ma przed sobą bardzo chorego człowieka, a jej umiejętności leczenia są śmiechu warte. Ale jeśli wierzyć jego słowom, odsyłanie go z powrotem do High Ridge oznaczałoby pewną śmierć. Nauczona własnym doświadczeniem wiedziała, że sprawy nie zawsze mają się tak, jak na to wyglądają. Oczywiście, że wszystko przemawia przeciwko niemu, jednak jeśli...?

Darował jej życie i złożył swoje w jej ręce. Jedyne, co może zrobić, to dać mu szansę. Zatrzymać go jeszcze przez dobę u siebie. Jeżeli jego stan pogorszy się, pojedzie po szeryfa. Jeżeli natomiast uda się obniżyć mu gorączkę i podleczyć nogę, wstrzyma się z decyzją. Jest przykuty kajdankami do łóżka, a ona ma broń. Nawet gdyby zaszła nagła poprawa, gdyby odzyskał siły, i tak nie byłby w stanie zrobić jej nic złego.

Teraz, kiedy to wszystko przemyślała, przystąpiła do działania. Potrzebna będzie woda, aspiryna i podwójna dawka antybiotyku. Nie miała wątpliwości, że jest odwodniony. Wątpiła, żeby przy tak silnej gorączce był w stanie wypić taką ilość płynu, która by powstrzymała odwodnienie. Najlepszym, ale niewykonalnym w tych warunkach, wyjściem byłoby dożylnie podanie płynów. Nie pozostaje nic innego, jak poić go małymi porcjami.

Postanowiła zacząć od zwykłej wody. Wiedząc, że ma odruch wymiotny, musiała mieć pewność, że kiedy poda mu bezcenny antybiotyk, nie zwróci go. Najpierw należało zacząć od wody, potem dać rozrzedzony wodą tylenol, wreszcie wodę z antybiotykiem. Przypuszczała, że cała ta kuracja potrwa co najmniej z godzinę.

Wyszła, minęła wiadra z wodą i udała się do strumienia po świeżą. Zabawne, ale kiedy wróciła, Cinn, który zwykle starał się zbytnio nie zbliżać do domu, siedział na ganku. Ociągając się, niepewnym krokiem ruszył za nią do środka, a następnie uwalnił się na progu sypialni. Potrząsając ze zdziwienia głową, dodała do wody lodu z plastikowej torebki, którą kupiła w drodze z miasta, po czym śmiało przeszła nad samozwańczym psem - stróżem.

Simon wciąż leżał nieruchomo. Teraz, w widnej chacie, mogła mu się przyjrzeć z bliska. Miał potargane włosy i brodę, a kurz i brud wbiły się w jego woskowo - białą skórę.

Simon Carl Petersen nie wygrałby w tej chwili konkursu piękności, ale Tate wcale nie była pewna, czy nie miałby szans, gdyby był w formie. Ma bardzo męskie rysy, a jednocześnie... szlachetne. Inteligentne. W końcu nie jest zwykłym bandytą, okradającym sklepy monopolowe. Był wyjętym spod prawa inteligentem. Był hakerem, komputerowym przestępcą, którego narzędziem pracy jest wyłącznie inteligencja i który zapewne otrzymał staranne wykształcenie.

Postawiła szklankę z wodą koło łóżka i wyszła. Wróciła po paru minutach, niosąc myjkę i miskę z wodą. Woda była ciepła, nalana z metalowego czajnika, który zawsze grzał się na kuchennej płycie. Usiadła na brzegu łóżka, zamoczyła i wycisnęła myjkę, a następnie zaczęła mu obmywać policzki.

Początkowo nie wydał dźwięku i nie poruszył się. Po czym, gdy kilkakrotnie powtórzyła czynność, wygiął szyję, jakby próbował uniknąć tortury.

- No, cieszę się - powiedziała łagodnie. - Pokaż, że jeszcze żyjesz.

Nie przerywając, myła brodę i wąsy, i niżej wokół szyi. Umyta broda była ciemnozłota, o ton lub dwa ciemniejsza niż jego włosy, w każdym razie tak jej się wydawało. Pewności nie miała, ponieważ włosy były zbyt brudne. Myła go tak długo, aż twarz stała się czysta, wtedy odstawiła miskę i sięgnęła po szklankę z zimną wodą.

Zamiast łyżeczki postanowiła użyć zakraplacza.

- Simon, to tylko zimna woda - powiedziała łagodnym tonem. - Masz wysoką gorączkę i musisz dużo pić. Nic nie rób, tylko łykaj. - Mówiąc to, wciągnęła wodę do zakraplacza i wsunęła mu go w kącik ust. Kropla po kropli, sączyła mu wodę między zęby, namawiając go i przekonując, jak tylko umiała, żeby łykał.

Zawartość dwóch pierwszych zakraplaczy przeszła bez trudu, ale potem zakrztusił się, zacisnął szczęki i nie ustępował. Zamiast z nim walczyć, poszła do kuchni i wylała wodę z miski do zlewu. Następnie napełniła ją, tym razem z dodatkiem mydła, i zaniósła z powrotem do sypialni, dorzucając po drodze kolejne polano do paleniska.

Leżał nieruchomo, ale gdy tylko usiadła obok, zaczął rzucać niespokojnie głową.

- Ta woda pewnie wyparowała z ciebie, zanim zdążyłeś ją połknąć. Musimy cię trochę nawodnić, bo jeszcze wyschniesz na wiór i pofruniesz z wiatrem prosto do High Rigde - zażartowała.

Ku jej zdumieniu otworzył oczy. Ale patrzył gdzieś za nią, jak gdyby widział coś, czego ona nie była w stanie zobaczyć.

- Simon? - Przytknęła myjkę do jego policzka. - Czy wiesz, gdzie jesteś?

Opadły mu powieki.

Westchnęła, nie przestając mu obmywać twarzy chłodną myjką. Przynajmniej przed tym się nie bronił. Po paru minutach zaczęła go poić wodą i w rezultacie tego trwającego długo zabiegu udało jej się zakropić mu zawartość jednej filizanki.

Czekała, czy jej nie zwróci, i nadal chłodziła mu policzki. Miała wrażenie, że to pomaga. A ponieważ w chacie było teraz przyjemnie ciepło, postanowiła zdjąć z niego koc, a narzutę opuścić do pasa. Po czym, myśląc mimochodem o tej dziwnej intymności, zaczęła mu myć klatkę piersiową, ramiona i rękę.

Był wysoki, ale nie był ciężki. Miał raczej ciało biegacza niż zawodnika pierwszej ligi, był szczupły, ale muskularny. Nie była pewna, jak długo przebywał w zakładzie karnym, ale ile by tam nie był, zachował wyjątkowo dobrą formę... albo wypracował ją już na miejscu. Nawet wyobraziła go sobie, robiącego pompki w celi. Czy od początku planował ucieczkę? Czy obsesyjnie ćwiczył, bo wiedział, że przy pierwszej okazji spróbuje się wyrwać z High Ridge?

Podjeżdżała, że przeżył dzięki świetnej kondycji fizycznej. Po jego obecnym wyglądzie mogła się tylko domyślać, co przeszedł. Słabszy by zrezygnował i poddał się w momencie, gdy kula przeszła mu tydkę.

Trochę dziwne było myślenie o nim jako o silnym mężczyźnie, gdy leżał nieprzytomny i trawiony gorączką. Także trochę dziwne było to tak intymne zajmowanie się nim. Nie była mu nic winna, a już na pewno nie tak troskliwą, pełną oddania opiekę. Ale był taką samą istotą ludzką jak ona. Był też wspaniałym okazem płci męskiej, przynajmniej pod względem fizycznym. A nawet, choć nie była mu nic winna, czyż jej ludzkim obowiązkiem nie jest utrzymanie go przy życiu?

Tate przeciągała myjkę po jego ramionach. Były muskularne. Ich opalenizna wskazywała na to, że musiał być częstym bywalcem więziennego spacerniaka. Wyobraziła go sobie przemierzającego tę niedużą przestrzeń, kombinującego, jak by tu zbiec. Czy ktoś mu w tym pomógł? W radiu nic nie mówiono na ten temat. Czy zatem uciekł sam, czego w historii tego zakładu karnego nie dokonał żaden więzień?

Wyplukowała myjkę i zaczęła mu myć rękę. Była szeroka, o długich i szczupłych palcach. Zręczne ręce, ręce, które potrafią trzymać broń i trafić trzy centymetry nad jej głową, pomimo osłabiającej gorączki.

Doszła do wniosku, że dokonał swojego wyczynu bez niczyjej pomocy. Nie wyglądał na kogoś, kto chciałby na kimś polegać. Tej nocy wierzył do samego końca, że wystarczy odespać skutki drażnącej jego ciało infekcji. Dopiero kiedy się zorientował, że naprawdę przegrał, że nie ma cienia nadziei, zwrócił się do niej o pomoc.

Przeszła na drugą stronę łóżka, żeby umyć drugie ramię. Może to przemęczenie - takie rzeczy zdarzają się ludziom po nieprzespanej nocy. A może po prostu jest nienormalna? W końcu opiekowanie się zbiegłym więźniem mogłoby na to wskazywać! Faktem jest, że kiedy go myła, była coraz bardziej świadoma rodzącej się między nimi więzi.

Ma prawie dwadzieścia dwa lata i jak dotąd nie stroniła od mężczyzn. Ale zawsze zatrzymywała się w pół drogi. Nie do końca знаła tego przyczynę. Wolała składać to na karb faktu, że jeszcze nigdy się nie zakochała. Alternatywa, że jest pozbawiona uczuć, zimna, a może nawet oziębła płciowo, nie przypadła jej do gustu.

Z kolei jej pochodzenie, a także to co przeszła jako nastolatka, powinno ją raczej ośmielać do intymnych kontaktów. A jednak była ostrożna. Wymogło to na niej życie. Ale czy taka nadmierna ostrożność pozwoli jej kiedykolwiek zakochać się w mężczyźnie?

Z drugiej strony, prawdziwie ostrożne kobiety uciekałyby przed siebie w ciemną noc, krzycząc przeraźliwie, gdyby Simon Carl Petersen, zbiegły więzień i morderca, zwrócił się do nich o pomoc.

Bardzo delikatnie uderzała go myjką po piersi. Pokrywały ją drobne rany i zadraśnięcia, o których istnieniu nie wiedziała, dopóki nie zaczęła go myć. Jedno wklęste miejsce z boku, w okolicy talii, wyglądało jak draśnięcie kuli. Gdyby trafiła trochę bardziej w lewo, nigdy by nie dotarł do jej chaty.

Był też paskudnie posiniaczony. W miarę jak sobie wyobrażała jego gehennę w lesie, rosło jej współczucie dla niego. Ostatnio noce były niemal lodowate, a postrzępiony mundur nie był w stanie go ogrzać. Wczuwała się w jego sytuację, a gdy po raz kolejny obmywała mu pierś, poczuła nawet nikły ślad jakiegoś bliżej niezdefiniowanego uczucia, jakiejś emocji. To niesprawiedliwe, żeby ktoś tak doskonale zbudowany, jak ten mężczyzna, miał spędzać swoje najlepsze lata zamknięty w jakimś więzieniu w Arkansas.

Ocknęła się i stwierdziła, że chyba się zagalopowała w swoich dywagacjach. Wrzuciła myjkę do miski i wyszła z pokoju, by po chwili wrócić z następną miską wody do splukania z niego mydła. Pracowała sprawnie i szybko, próbując nie rozpraszać się na nic innego.

Kiedy skończyła, rozpuściła odpowiednią porcję tylenolu w pół szklanki zimnej wody. Na szczęście, po podaniu mu zwykłej wody, nie wystąpiły objawy wymiotne.

- No, dalej, Simon. Współpracuj ze mną jeszcze trochę. Zobaczmy, czy uda nam się obniżyć gorączkę.

Znajdował się gdzieś w tropikach. Powinien wiedzieć, gdzie jest. Dotąd nigdy się nie gubił. Może na Madagaskarze. Albo w Brazylii. Gdzieś, gdzie było goręcej niż w tyglu Hadesu.

I znajdował się w dżungli. Biegł, tyle że prawie stał w miejscu. Biegł przez gęszcz deszczowego lasu, zawsze zielonego, zewsząd zielonego. Maczeta, którą mu dali, była tępa i tępiła się coraz bardziej. Wymachiwał nią, a maczeta odskakiwała od zieleni i rykoszetem trafiała w niego, cała w zieleni, spływająca zielenią. Krew. Zielona krew. Las krwawiący zielenią.

To on krwawił.

Gdzie jest Josiah? To przecież Josiah ściągnął go do tego lasu. Zostawił go tutaj, żeby coś znalazł, ale co? Żar roztopiał mu mózg. Wszędzie tylko zieleń. I coś... co podobno ma znaleźć. Siekł bezskutecznie. Maczeta ślizgała się po pniach drzew, jak smyczek Stradivariusa w poszukiwaniu doskonałej harmonii. Ale nie było tu muzyki, a tylko zieleń. I coś, co miał znaleźć.

Z pragnienia obrzmiał mu język i zwęził się przełyk. Wokół niego tylko deszczowy las, chociaż nie było deszczu. Deszczowy las umierał w słońcu, a słońce zdawało się promieniować od ziemi u jego stóp. Gdzie jest Josiah?

Przełykał konwulsyjnie, aż coś zimnego przesunęło się powoli i zwilżyło jego spragnione, zaciśnięte gardło. Wzniósł oczy do nieba. W dziękczynnej modlitwie? Nie modlił się od stu lat. Otworzył usta, a deszcz, słodki zimny deszcz wlał się do jego ust.

Bał się, że nie przełknie go dostatecznie szybko.

Przełknął tylenol. Tate wiedziała, że Simon wypije jeszcze więcej wody, jeżeli mu ją poda. Zdawał się coraz chciwiej połykać. Odwrócił nawet głowę, ułatwiając jej zadanie.

Wiedziała jednak, że pośpiech nie jest wskazany. Odczeka pół godziny, zanim mu poda antybiotyk. Nie będzie mu smakował, nawet jeżeli wymiesza go z colą. A jeśli zwymiotuje, nie pozostanie jej nic innego, jak pójść do Willa i zadzwonić do szeryfa. Simon musi przyjąć antybiotyk, nawet gdyby miało się to odbyć w więziennym szpitalu.

A teraz zobaczy, co z jego nogą. W końcu nie wie, czy kula nadal tkwi w łydce i czy rana zagoi się jak trzeba bez zakładania szwów. Akurat teraz jest odpowiednia chwila, żeby to sprawdzić. Leży nieruchomo, jakby już nie miał sił rzucać się i kręcić. Później może okazać się trudniejszym pacjentem.

Podciągnęła do góry narzutę i koc, żeby odsłonić nogi. Zatrzymała na nich wzrok. Podobnie jak reszta, nie wydawały się należeć do mężczyzny, którego w radiu określano mianem gryziopórka. To były nogi lekkoatlety, długie i szczupłe, o masywnych udach.

Powędrowała wzrokiem wyżej. Tanie, więzienne gatki opinały biodra, przylegały ciasno do brzucha i niżej, nie uwydatniając niczego, co by mogło pobudzić jej wyobraźnię.

Dziewczyny z „Zajazdu dla Dylizansów” rozplywałyby się w zachwycie nad tak wspaniale zbudowanym facetem.

Szybko ucięła dalsze rozważania i zajęła się tym, co miała pod ręką. Na początek musi oczyścić nieuszkodzoną część nogi, potem odwiązać bandaż i opatrzyć ranę. Żeby to sprawnie wykonać, udała się do kuchni i zagotowała wodę. Dokładnie umyła ręce, wzięła czystą miednicę z mydlinami, wróciła do sypialni i przystąpiła do dzieła.

Po półgodzinie wiedziała już, że na nodze są dwie rany. To była dobra wiadomość. Przez pierwszą ranę, paskudniejszą, weszła kula, przez drugą - mniejszą, czystsza dziurę - wyszła. Kula przeszła ukośnie, najwyraźniej omijając kość, ponieważ noga nie wyglądała na złamaną, była jednak fatalnie skaleczona. Nie bardzo się na tym znała, ale obawiała się, że nie obejdzie się bez fachowej pomocy. Simon może nigdy nie odzyskać pełnej władzy w tej nodze.

Jednak najpierw trzeba przede wszystkim zlikwidować infekcję, żeby nie dopuścić do zakażenia. Powierzchnia wokół rany była gorąca w dotyku i spuchnięta, ale przestała krwawić. Zastanawiała się, co może spowodować jej niefachowa interwencja. Czy oczyszczenie rany i zabezpieczenie jej wokół gorącym opatrunkiem, pełniącym rolę sączków, nie spowoduje ponownego krwawienia?

Istniało takie ryzyko, ale nie miała wyboru. Coś trzeba zrobić, zanim wda się zakażenie. Uzbijając się w nowy zapas sił przed czekającym ją zadaniem, usiadła i oparła jego nogę na brzuchu, unieruchamiając ją na czas zabiegu. Oby tylko wcześniej nie odzyskał przytomności.

Przed nim, w dżungli, stał dom. Nie, nie dom. Szałas wznoszący się ku dominującej nad wszystkim, przytłaczającej zieleni. Zbudowany z bambusa, opleciony surowym jutowym sznurem. Papuga o lśniącym upierzeniu, które zdawało się falować feerią barw, fruwała tam i z powrotem przed frontowymi drzwiami, zagradzając wejście.

Wewnątrz znajdzie bezpieczne schronienie. A także jedzenie i picie. I odpoczynek. A jeszcze nigdy nie był taki zmęczony. Ciężyły mu powieki, a gdy zasłaniał oczy przed bijącą jaskrawością ptasich piór, stawały się jeszcze cięższe.

Schronienie. Wyrąbał wreszcie drogę, ale miał tak otarte i chropowate ręce, jak chropowate były pnie drzew, które musiał wyciąć. Na miejscu każdego wyrąbanego drzewa wyrastały dwa nowe. Odnosił wrażenie, że dżungla popycha go, kieruje ku szałasowi, pomimo drzew, które stawiały opór.

Mógł tutaj umrzeć, a dżungla wchłonęłaby go na wieki. Umrzeć, by stać się pożywieniem dla drzew, zamienić w jeszcze jedną warstwę gąbczastego poszycia

deszczowego lasu. Zmusił się i zamachnął jeszcze raz, a potem jeszcze raz, ale kiedy chciał posunąć się naprzód, coś go złapało za nogę. Może pędy winorośli. Głowa opadła mu do przodu. Powoli, powoli. Wzrok powędrował do dołu.

Winorośl wiła się, to rozgałęziała, to zaś kurczyła, oplatając jego nogę. Połyskujące gładzie ślepią uśmiechały się do niego. Byszczące łuski nakładały się na warstwę winorośli.

Chciał wyszarpnąć nogę, wyszarpnąć, żeby usunąć winorośl zamienioną w pytona. A gdy już mu zabrakło sił do dalszej walki, pyton czmychnął.

Tate zwiesiła głowę nad kuchennym zlewem i głęboko oddychała. Kilka lat pracy w klinice sprawiły, że zastanawiała się, czy nie zostać lekarzem. I wtedy pojawił się pewien stary człowiek, bezdomny włóczęga, którego regularnie leczono w klinice. Pojawił się pewnego ranka, usiadł w poczekalni i umarł.

Znała tego człowieka od miesięcy, wymieniali między sobą zabawne historyjki, w czasie jego pobytu w klinice robiła mu kanapki i kawę, a kiedy stąd odchodził, robiła mu jeszcze więcej kanapek na drogę. Na ochotnika podjęła się pewnej funkcji społecznej, kontaktując go z godnym zaufania terapeutą, psychologiem z tutejszego oddziału opieki społecznej, chodząc z nim na spotkania AA. I na nic to wszystko się zdało. Ale przynajmniej umarł w jedynym miejscu, gdzie - musiał to wiedzieć - ktoś go będzie opłakiwał.

Przez wiele tygodni nie potrafiła zapanować nad smutkiem. A kiedy już ból stał się łatwiejszy do zniesienia, zdała sobie sprawę, że zostanie lekarzem nie wchodzi w rachubę. Nie uważała się nigdy za osobę szczególnie uczuciową, ale odejście tego starego człowieka omal jej nie załamało. Jakby więc znosiła kolejne zgony swoich pacjentów, czego doświadcza każdy lekarz? Nie słyszała o takiej specjalności czy stanowisku, gdzie by jej zagwarantowano, że żaden z jej pacjentów nie umrze.

Teraz dowiedziała się, że jest jeszcze inny powód, dla którego nie mogłaby zostać lekarzem. Miała na to za słaby żołądek. Obmyła i opatrzyła Simona, ale świadomość bólu, jaki mu zadała, będzie ją zawsze prześladowała.

Jeszcze raz głęboko odetchnęła, po czym powoli podniosła głowę. Mdłości minęły, w głowie przestało się kręcić. Nie dała się, dobre i to! Miała nadzieję, że choć trochę pomogła Simonowi.

W chacie rozbrzmiał głuchy jęk. Ochlapała przy zlewem twarz wodą z dzbanka i poszła sprawdzić, co się z nim dzieje.

Ruszał głową, ciskając ją to na jedną, to na drugą stronę poduszki. Zastanawiała się, czy nie dać mu teraz antybiotyku. Pochyliła się nad łóżkiem i przyłożyła rękę do jego czoła.

Gorączka utrzymywała się pomimo tylenolu. Kojącym ruchem przejechała dłonią po jego czole.

Dziwne, że przez tak intensywne zajmowanie się tym mężczyzną poczuła się z nim związana. Był zdany na jej łaskę, a tak wielka odpowiedzialność za życie innej istoty ludzkiej nie pozostawia człowieka obojętnym. A jeszcze dziwniejsze, że tą istotą ludzką zależną od niej jest zbiegły skazaniec.

Stała, próbując pozbyć się współczucia, jakim zaczęła darzyć tego mordercę, defraudanta, wymachującego rewolwerem terrorystę, jakże groźnego dla samotnej kobiety. Pewnie nie zasługuje na jej pomoc, a tym bardziej na współczucie. Musi być ostrożna. Najwyraźniej ma słabość do ludzi odrzuconych i będących w potrzebie. Oby tylko ta słabość nie przysłoniła jej zdrowego rozsądku.

Z tą myślą wróciła do kuchni, żeby przygotować antybiotyki.

W końcu jakoś dostał się do szafasu. Papuga ruszyła prosto na niego, błyskając cudowną, drażniącą wzrok kakofonią barw, łopocząc tęczowymi skrzydłami. Zrobił unik i papuga poszybowała w dżunglę, ginąc w bezkresnej, nieznośnej zieleni.

Dowlóknął się do drzwi i zajrzał do środka. Nie zdążył wejść, gdy pochłonęła go ciemna, głęboka, aksamitna czerń. Wewnątrz panował chłód, kuszący, zdradliwy chłód. Chłód, a potem przenikliwe zimno. Zimno, choć w dżungli było upalnie. Jego rozpalone ciało skurczyło się w zetknięciu z lodowatym powietrzem. Żeby się ogrzać, próbował się objąć rękami, lecz nie mógł wykonać żadnego ruchu i zastygł jak posąg.

Umrze tutaj, w tym zimnie, podobnie jak mógł umrzeć w piekielnym upale dżungli. Po to tak walczył i dawał z siebie wszystko, żeby teraz tak skończyć!

Oczy zaczęły mu się zamykać. Powoli, bardzo powoli.

Najpierw była cisza, nawet jego własne myśli nie docierały do jego schronienia. Potem usłyszał głos. Siłą woli zmusił się, żeby unieść powieki. Wpatrywała się w niego jakaś kobieta. Widział ją, ale nie dostrzegał jej twarzy.

Wyciągnęła do niego rękę.

- Chodź - powiedziała - przyniosę ci ulgę.

Poczuł ciepło, najpierw w palcach, potem w całych dłoniach. W przypiływie sił zaczął wyciągać rękę w jej stronę. Ruch ręki był strasznie powolny, a czasu było mało. Posuwał się w jej stronę, a ona czekała.

Kiedy spotkały się ich palce, poszli razem i ona wyprowadziła go z dżungli. Drzewa olśniewały kolorowymi jak tęcza liśćmi, a gdy je mijali, kłaniały im się nisko. A potem, na leśnej polanie, unieśli głowy i wspólnie delektowali się smakiem słodkiego deszczu.

Simon przełknął antybiotyk i colę bez przeszkód, chociaż dwukrotnie otwierał oczy i coś mamrotał. Tate była kompletnie wypompowana z sił, ale jej więzień wyglądał lepiej. A przynajmniej leżał spokojniej. Teraz, kiedy skończyła, zdawał się pogrążony w niezmaconym śnie.

Czuła satysfakcję z dobrze wykonanej roboty. Czy tak czuje się matka, troszcząca się o swoje nowo narodzone dziecko? Odpowiedź była oczywista. Nie czuła nawet odrobiny macierzyńskiej dumy. Ten wyczerpany i nieprzytomny człowiek nie wyzwał w niej tego rodzaju emocji. Poczowała coś wręcz innego. Mężczyzna leżący w jej łóżku wzbudził w niej jakieś mroczne, tajemne uczucia, których nie potrafiła, a może nie chciała nazywać. Sposób, w jaki go dotykała, i miejsca, które dotykała, wszystko to było dla niej czymś nowym. Żadnego mężczyzny tak nie dotykała. I zaangażowała się poważniej niż z jakimkolwiek innym mężczyzną.

A teraz, żeby jej zaangażowanie i poświęcenie nie poszły na marne, musi się przespać.

Na poddaszu stało łóżko. Prawdę mówiąc zwykle wolała spać tam, ale teraz nie było o tym mowy. Musi być bliżej swojego pacjenta. Ta doba będzie decydująca. Musi być także przygotowana na najgorsze. Postanowiła spać na podłodze. To nic, że szybkimi krokami zbliża się tutejsza sroga zima, a podłoga jest najzimniejszym miejscem w chacie.

Wdrapała się na poddasze i zdjęła z łóżka pościel, przynosząc do sypialni dwa koce i poduszkę. Następnie poszła do samochodu, skąd wyjęła stary śpiwór. W ciągu paru minut wymościła na podłodze względnie przyzwoite legowisko, kładąc pod spód trzy duże poduszki z sofy. Wychodząc, zostawiła uchylone drzwi.

Teraz marzyła jej się kąpiel. Z drugiej strony, gdy pomyślała o taszczeniu wiader, o zachlapanej podłodze wokół wanny, którą trzeba wycierać, chciało jej się wyć. Ale wiedziała, że zwykłe obmycie się gąbką nie zmyje z niej zmęczenia. Przez chwilę oddała się marzeniu o luksusie: zobaczyła siebie, jak wchodzi do łazienki i odkręca kurki, z których leje się czysta gorąca woda.

Klnąc pod nosem na upodobanie ojca do spartańskiego życia, otworzyła tylne drzwi i zaczęła dźwigać wiadra.

Niebo nad dżunglą zbladło, a na jego miejsce pojawiły się grube stare belki. Przez chwilę Simon sądził, że jest w forticy. Obraz wyłaniał się powoli, rzeczywistość powracała w tak męcząco zwolnionym tempie, że zdołał tylko pochwycić końcowe wydarzenia - początek umknął mu bezpowrotnie.

Jest w chacie. Nie pamięta, jak tu się znalazł. Leży w łóżku, ale jest zanadto zmęczony, żeby zasnąć. I jest przykuty do łóżka, choć nie widzi, w jaki sposób.

Jest mu na przemian gorąco i zimno, ale coś mu mówi, że jego cierpienie jest już nieco mniejsze, niż było. Przy każdym kolejnym głębszym oddechu rwanie nogi zamienia się w torturę, ale ból koncentruje się w jednym miejscu. Intuicja mu podpowiada, że tak jest dobrze, ale jest zbyt zmęczony, żeby samemu zbadać przyczynę.

Powieki mu opadają, ale zmusza się, żeby ich nie zamykać. Koncentruje wzrok na ścianie, potem na krześle, następnie na drzwiach. Są uchylone. Mruży oczy, jak stary człowiek czytający gazetę. Za oknem jest jasno. A przez szparę w drzwiach widzi plamy słońca na deskach podłogi chaty.

Zdaje się, że jest sam. Tęskni do dżungli i do kobiecej ręki, którą trzymał w swojej dłoni.

Kiedy kolejny raz opadły mu powieki, usłyszał jakieś dźwięki. Czuł, że nie musi na nie gwałtownie reagować. Musi tylko słuchać. Wreszcie rozpoznał te dźwięki. To gwizdana melodia, która jest mu skądś znana. Otworzył oczy i ujrzał kobietę ze swojego snu. Jest tak samo od niego oddalona, jak we śnie, i dziwnie nieokreślona. Widział tylko jej zarysy, ale czuł, że w jakiś sposób doświadczył wszystkiego, co stanowi o jej człowieczeństwie. O dobroci...?

Nie przestawał patrzeć, a jej postać zaczęła nabierać kształtów migoczących w płomieniach ognia, aż w końcu, nawet stojąc do niego plecami, stała się ciałem i krwią o rozkosznie uformowanej kobiecości. Dostrzegł, że jest naga, a jej skóra na tle jaskrawego ognia jest śnieżnobiała. Jak tancerka wyciągnęła ramiona nad głowę i zawinęła czarne włosy na jej czubku, przytrzymując jedną ręką tę atramentową masę, gdy pochylała się nad okrągłą metalową wanną. Potem, z niezrównanym wdziękiem, zanurzyła się w wodzie.

Widział zarys jej piersi, małych i jędrnych, doskonałą linię bioder, smukłą, długą nogę. Zanurzała się, tak że mógł już tylko dostrzec gładką biel jej pleców i rozrzucone na brzegu wanny długie czarne jak węgiel włosy.

Domyślał się, jaka może być w dotyku, jak cudownie byłoby pieścić palcami te jedwabiste włosy, muskać aksamitne ciało. Ogarnęła go tęsknota. Chciałby wyciągnąć po nią rękę, ale nie mógł się ruszyć. Chciał ją zawołać, ale z jego ust nie wydobył się żaden dźwięk.

Wpatrywał się, aż zaczęła znikać za mgłą, choć walczył, żeby ją widzieć jak najdłużej, nie stracić jej z oczu. Ale zamknęły się same, wbrew jego woli. I od razu zapadł w sen, w którym już nie było dręczących wizji sennych.

Po kąpieli Tate wróciła do sypialni. Wyrównała narzutę i położyła rękę na czole Simona. Wydawało się chłodniejsze, a on sam spokojniejszy. Zdawał się spać mocno.

Palcami dotknęła jego nadgarstka, chcąc jeszcze sprawdzić puls. Bił mocno, nadal trochę za szybko, ale już wolniej niż przed godziną.

Stojąc tak, zapatrzyła się na niego. Teraz coś ich łączyło. Mogła się tego wyprzeć, mogła mieć do siebie pretensję, że się nim zajęła, ale między nimi wytworzyła się jakaś więź. Później będzie musiała postanowić, co z tym począć. Teraz może się tylko cieszyć, że stan jego zdrowia zdaje się poprawiać.

Delikatnym ruchem ułożyła mu rękę na piersi. Niechący, gdy już miała zamiar odejść, musnęła rękę palcami, a on, zupełnie niespodziewanie, uwięził jej rękę w swojej.

Uścisk był słaby, z powodu gorączki jego skóra była szorstka i wysuszona. Trzymał jej rękę nie w geście protestu czy prośby, ale wdzięczności. Kiedy tak stała, ze zdumienia wstrzymując oddech, zacisnął palce wokół jej ręki... tylko na sekundę, a może na ułamek sekundy, a może to tylko jej imaginacja... Po czym, nagle, puścił ją.

Była tym tak wzruszona, że przez chwilę nie była w stanie się ruszyć. Uciekinier, morderca. Ten sam człowiek, który do niej strzelił, chcąc ją przestraszyć. A który teraz, prawie nieprzytomny, znalazł sposób na pokazanie jej, że jest kimś więcej. Jest istotą ludzką i okazuje wdzięczność.

A ona jest kobietą, której grożą zupełnie niespodziewane emocje.

Odwróciła się i na siłę, z uporem zaczęła wpatrywać się w rysę na ścianie chaty, wyżłobioną nabojem, który mógł utkwić w jej mózgu. Wpatrywała się tak długo, aż nie czuła już nic, poza wyczerpaniem. Dotarła do legowiska, które rozłożyła w nogach łóżka, i wczołgała się pod koce.

ROZDZIAŁ PIĄTY

W nocy gorączka się podniosła. Dręczyła go na przemian z dreszczami. Nie odzyskiwał przytomności. Kiedy gorączka spadała, sen miał lżejszy i spokojniejszy, a kiedy się podnosiła, rzucał się nerwowo, ale ani razu nie otworzył oczu i nie zapytał, gdzie jest. Tate nie odchodziła od niego.

Przy pierwszym napadzie wysokiej gorączki rozważała - i dotąd nie odrzuciła takiej możliwości - czy nie pojechać po szeryfa. Wreszcie arbitralnie ustaliła górną granicę temperatury, przy której stanowczo wyruszy do miasta. Na razie co godzinę sumiennie wkładała mu pod pachę termometr, ale słupek rtęci ani razu nie wyszedł poza wyznaczoną przez nią normę, choć często zbliżał się do punktu krytycznego.

Spała w tych krótkich okresach, kiedy temperatura spadała, a wyczerpany Simon nie rzucał się i nie wiercił. Kiedy się budziła, wykonywała najważniejsze w tej sytuacji prace. Nanosiła drewno do paleniska, gotowała i grzała wodę, wystawiała jedzenie Cinnowi, który z upatrzonego przez siebie miejsca przy drzwiach sypialni obserwował każdy jej ruch. Ale nigdy nie zostawiała Simona samego dłużej niż na kilka minut.

Teraz, po ponad dwudziestu czterech godzinach opiekania się nim, była wyczerpana i zniechęcona. Znow miał wyższą temperaturę. Wiedziała, że w ciągu dnia gorączka może wzrosnąć i że to jeszcze o niczym złym nie świadczy, o ile nie towarzyszą temu inne objawy. Wiedziała również, że jeśli wkrótce nie nastąpi zdecydowana poprawa, będzie zmuszona udać się po pomoc. Zakraplacz do oczu nie wystarczy, żeby zapobiec odwodnieniu, kapsułki antybiotyku są daleko mniej skuteczne od zastrzyków i dożylnie podawanych leków.

Przegrywała bitwę.

Nie mogąc dłużej ustać na nogach, usiadła na brzegu łóżka. Simon rzucał głową. Wyobrażała sobie, jak bardzo cierpi, choć nie sądziła, żeby był tego świadomy. Chcąc mu dać większą swobodę, a także dla własnej wygody podczas mycia go, już dawno zdjęła mu kajdanki, zaczepiając je o sprężyny łóżka. Przy pierwszych oznakach powrotu do zdrowia założy mu je bezzwłocznie.

Położyła rękę na jego czole, odgarniając przy okazji pasmo świeżo umytych blond włosów. Nie potrzebowała termometru, żeby stwierdzić to, co było oczywiste. Mimo że pół godziny temu podała mu maksymalną dawkę tylenolu, organizm nie zareagował. Sumienna siostra Cantrell znow będzie musiała przemyć mu skórę i wmusić w niego więcej płynów.

Zastanawiała się, na jak długo starczy jej sił. Na razie wstała i poszła na ganek po wodę, którą przydzwigała wczesnym rankiem. Przywieziony wczoraj z miasta lód skończył się, ale źródłana woda była jeszcze lodowata, ponieważ ganek znajdował się w cieniu. Napełniła miskę i dzban, i wróciła do chaty, gdzie wsypała do szklanki lemoniadę w proszku i wymieszała ją z wodą z dzbana. To była jedyna rzecz w domu zbliżona do glukozy.

Zacząła od podawania mu płynu zakraplaczem. Cieszyła się, że choć Simon jest nieprzytomny, to jednak przeżyła. Oczywiście, gdyby się nie udało, nie zawahałaby się powiadomić szeryfa. Odwieziono by go do High Ridge, a ona odzyskałaby swoje łóżko i odespała straszliwe zmęczenie.

Z kolei, jeżeli mówił prawdę, to czy jego powrót do High Ridge nie oznaczałby pewnej śmierci?

Myśl o tym otrzeźwiła ją lekko, dzięki czemu wytrzymała kolejne piętnaście minut, a Simon wypił w tym czasie całą szklankę lemoniady. Mając to za sobą, oklepała go mokrą myjką po policzkach i czole.

Jej ruchy były mechaniczne. Robiła to tak często w ciągu ostatniej doby, że znała na pamięć każdy fragment jego twarzy. Był jak stary przyjaciel, tyle że, o ile się nie myli, żaden z jej przyjaciół nie jest ścigany przez prawo. A przecież niektórzy z nich mogli, jak Simon, skończyć w więzieniu i niewykluczone, że to był jeden z powodów, dla których teraz go myje.

Pochyliła się i zaczęła obmywać mu szyję, a potem klatkę piersiową. W pewnym momencie jęknął. Kolejny znak, że podnosi się gorączka. Jeżeli jeszcze bardziej wzrośnie, jeżeli nie uda się jej zatrzymać, znów zacznie bredzić i miotać się na łóżku. Tak już było dwa razy, ale na szczęście w porę udawało jej się podać mu tylenol. Teraz trzeba odczekać parę godzin, żeby nie przedawkować.

Zastanawiała się, czy powie coś, co będzie dla niej zrozumiałe. Dotychczas wszystko, co mówił, było pozbawione sensu. Wołał kogoś o imieniu Josiah, ale nie było to wołanie o pomoc. Raz chyba wymówił imię Erin.

Zastanawiała się, czy Erin jest jego kochanką. Nie wyglądał na żonatego. W radiu ani razu nie wspominali o żonie, a ponieważ obecnie nie mieli nic istotnego do zakomunikowania, pławili się w detalach z jego przeszłości, podtrzymując tym zainteresowanie słuchaczy. Słuchała ich wielokrotnie, ale nigdy nie padły imiona Josiaha czy Erin. Co dziwniejsze, nie podawali też żadnych szczegółów dotyczących samej ucieczki. Najwyraźniej nikomu w High Ridge nie zależało na takim rozgłosie.

Ale też wiedziała wszystko o milionie i dwustu tysiącach dolarów, które Petersen ukradł. Był wysokim urzędnikiem w banku w Houston. Cieszył się dobrą opinią i miał dostęp do komputerowych kodów i elektronicznych linii transferowych, a do pomocy tak skomplikowany system bankowy, że jakiegokolwiek transakcje na podstawie fałszywych zleceń były prawie niemożliwe do wykrycia. W ciągu trzech miesięcy zawłaszczył z zimną krwią niezłą fortunę.

I nie zostałby złapany ani skazany, i nie leżałby teraz w jej łóżku, gdyby niespodziewana kontrola nie rozszyfrowała jego metody.

A kontroler Joe Masters miał jeszcze mniej szczęścia. Swoją gorliwość przypłacił życiem. Doszedłszy do wniosku, że za to wszystko, co zrobił, nie został odpowiednio wynagrodzony, zaproponował Carlowi Petersenowi, że go uwolni od nowo zdobytego bogactwa w zamian za milczenie. Petersen był innego zdania i wprawdzie kupił milczenie Mastersa, ale pakując mu kulę w brzuch.

Petersena prawie oczyszczono z oskarżenia o zabójstwo. Nie było dowodu, by kiedykolwiek posiadał broń, z której oddano strzał.

W rezultacie został skazany na podstawie zeznania księgowego, który przejął obowiązki Mastersa i także odkrył malwersację. Motywacja Petersena była nie do podważenia, gorzej było z alibi. Ciotka, u której w wieczór popełnienia morderstwa był rzekomo w odwiedzinach, przyciśnięta przez sąd, przyznała, że nie widziała swojego nieobliczalnego siostrzeńca od ponad roku.

A jednak w całej historii było parę istotnych luk, z których Tate, jako osoba ścigana w przeszłości, zdawała sobie sprawę. Choćby jeden ważny szczegół: w żadnym doniesieniu radiowym nigdy nie padło imię Simon, a dla kolegów z banku, sąsiadów i innych znajomych był zawsze i tylko Carlem. Nigdy Simonem.

Był tajemniczym człowiekiem, człowiekiem pełnym sprzeczności. A teraz ten mężczyzna leży w jej łóżku i być może jest umierający.

Myjąc go, zastanawiała się nad tym, czy Erin, jeśli jest jego przyjaciółką, niepokoi się teraz o niego. I jak się czuła, kiedy go skazali na więzienie w High Ridge. A jak on się czuł, wiedząc, że nie będzie mógł jej całować, dotykać, kochać się z nią, i że kiedy wyjdzie z więzienia, będzie starym, zużytym człowiekiem. A może jego desperacka ucieczka była podyktowana miłością, tak silną, że ryzykował dla tej Erin życiem?

Tate zdała sobie sprawę, jak bardzo sentymentalne naszyły ją myśli, a które, tego była pewna, brały się z tej intymnej sytuacji, w której się znalazła. Nigdy tak delikatnie, wręcz czule nie dotykała męskiego ciała.

Wyzięła myjkę i wzięła się w garść. Wydaje się bardziej prawdopodobne, że mężczyzną leżącym w jej łóżku kierowała zwykła, obrzydliwa chciwość. Nie trafiono na żaden ślad przywłaszczonych przez niego pieniędzy. Pewnie szybko przeszmuglowane gdzieś za granicę teraz przynoszą mu zyski. Czy Erin też tam jest, obserwując, jak rośnie ich majątek i czekając na swojego kochanka, który zbiegł z więzienia, ale nie dla niej, tylko dla tych skradzionych pieniędzy?

Simon znowu stęknął i poruszył wargami, jakby próbował coś powiedzieć. Pochyliła się jak najniżej.

- Josiah... ty łajdaku...

- Simon, kto to jest Josiah?

- Gallagher... łajdaku... zobaczysz... załatwię cię...

- Zachowujesz się bardzo nie po chrześcijańsku - powiedziała, przykładając znowu myjkę do jego policzka.

Złapał ją za nadgarstek. Uścisk był zdumiewająco mocny.

- Przyjacieli... Ty uratowałaś...

Poczuła nagły przyływ strachu. Wolałaby nie być tak blisko niego.

- Nie jestem kimś, kogo znasz - powiedziała na wszelki wypadek. - Ja nie jestem Josiah...

- Josiah... to łajdak...

- Jestem kobietą. - Tate wyszarpnęła rękę. - Kobieta, która opiekuje się tobą. Potrzebowałeś odpoczynku. Zostałeś postrzelony.

Odwrócił głowę.

- Zabij mnie. Oni mnie zabijają...

- Nikt nie zamierza cię zabić. Nawet nikt nie wie, że tu jesteś. Jesteś bezpieczny.

Kiedy znowu odwrócił głowę, miał otwarte oczy. Wpatrywał się w nią, ale ona wiedziała, że jej nie widzi.

- Dlaczego?

Nie mogła odpowiedzieć na pytanie, którego zupełnie nie rozumiała.

- Musisz odpocząć. Jesteś bardzo chory, a jeśli ci się nie poprawi, będę musiała zwrócić się do szeryfa, żeby cię umieścili w szpitalu.

Wpatrywał się w nią. Zastanawiała się, kogo zobaczył. Wpatrywał się, aż jego oczy stały się szkliste, a powieki opadły.

Nakryła go prześcieradłem i w szalonym napięciu zastanawiała się, jak by go uspokoić. Wprawdzie miał zamknięte oczy, ale przy jego tak zmiennych stanach bała się, że

jeśli zacznie się rzucać, rana może się znowu otworzyć. Z gorączką było gorzej, natomiast rana wyglądała lepiej. Gdyby tylko mogła go jakoś unieruchomić, gdy gorączka sięgnie szczytu...

Żałowała, że nie umie śpiewać, ale jej gardłowy alt mógłby go tylko jeszcze bardziej wystraszyć. Mówienie do niego zdawało się nie odnosić skutku. Zaczęła gwizdać. Nie umiała śpiewać, ale pamiętała melodie, a gwizdała czysto i nie fałszowała. Zaczęła od melodii, które usłyszała na ostatnim przeglądzie ludowych piosenek. Były posępne i melodyjne, w sam raz do gwizdania.

Prawie natychmiast uspokoił się i znów zasnął.

Ktoś obciążył czymś powieki Simona. Czy kiedyś lekarze nie kładli miedzianych monet na powiekach zmarłego? Powód tej dziwacznej praktyki umknął jego pamięci, ale możliwość, że nie żyje, wydawała się realna. Nie mógł otworzyć oczu. A to z całą pewnością świadczyło o czymś, co wykracza poza normalność. I chociaż śmierć była normalnym zjawiskiem, nigdy nie dotyczyła jego. W każdym razie nie wtedy, kiedy był uważny i czujny.

Kręciło mu się w głowie, gdy próbował uporządkować myśli. Były jak fale obmywające plażę. Nie mógł ich pochwycić. Przelatywały przez głowę, a w żadnej nie było sensu.

Na siłę skoncentrował się na swoich powiekach, Stwierdził, że dlatego są zamknięte, ponieważ ma za mało sił, żeby je otworzyć. Ale dlaczego jest taki wyczerpany? Nigdy jeszcze nie był tak zmęczony, nawet wówczas, kiedy zgubił się w dżungli i torował sobie drogę do... Ale przecież to wspomnienie było snem. Tak przynajmniej myślał. Musi się skoncentrować na tym, co wie. Leży przykryty czymś lekkim, jakby prześcieradłem czy kocem.

Albo całunem...

Nie, z całą pewnością nie jest martwy. Śmierć oznacza koniec. Kaput. Nie myśli się i nie czuje. A on robi jedno i drugie. I za chwilę otworzy oczy. Niech tylko odzyska siły i jasność myśli.

Na razie woli słuchać. Ktoś tuż obok niego oddycha. Może to on oddycha, a jeśli to on, byłby to dobry znak. Znaczy, że żyje. Oddech to przecież najważniejsza oznaka życia.

Żadnego innego dźwięku nie słyszał. Ani pędzących gdzieś obok samochodów, ani ćwierkania świerszczy, ani skrzekliwych odgłosów i skowytów dżungli. No tak, ale przecież dżungla była snem. A co jeszcze mu się śniło?

Kobieta. I natarczywe, szarpiące wnętrzności gwizdanie.

Zebrał się w sobie i na siłę rozchylił powieki.

Początkowo sądził, że mu się nie udało. Nadal otaczała go ciemność. Taka czerń może oznaczać tylko śmierć. Ale stopniowo zaczęły wyłaniać się jakieś kształty. Okno z przebłyskami światła, sączącego się przez cienkie jak pajęczyna zasłony. Poprzeczna, metalowa rama łóżka w nogach. Drzwi szafy, lekko uchylone.

Nie umarł. Dlaczego więc leży w łóżku? Dlaczego czuje się tak, jakby każda najmniejsza kosteczka jego ciała była z gumy?

Koło niego coś się poruszyło. Wiedział, że powinien zareagować. Instynkt mu podpowiadał, że musi być czujny, ale jedyne, na co go było stać, to odwrócić głowę. Wystarczyło tylko pokonać pewien punkt, by siła ciężkości dokonała reszty.

Miał sztywny kark, ale wyraźnie lepszy wzrok. Coś się poruszyło, a raczej ktoś. Obok leżała kobieta, śliczna młoda kobieta, pogrążona w głębokim śnie, z głową na jego poduszce. To chyba jej oddech usłyszał.

Nie była obca. Na tyle jeszcze się orientował. Była kimś, kto majaczył gdzieś na obrzeżach jego świadomości. Powód, dla którego leży w jego łóżku, był całkowitą tajemnicą.

Zastanawiał się, jak powinien postąpić. Ale dopóki nie przypomni sobie, kim ona jest i dlaczego jest tutaj z nim, nic nie robi.

Zaczął przypominać sobie twarze, sceny i sytuacje, ale wszystko się mieszało i trudno było wprowadzić jakikolwiek porządek, ustalić jakąkolwiek kolejność. Przypomniał sobie więzienie i ucieczkę. Przypomniał sobie potworny ból w nodze, ból, który siedział w tym samym miejscu, co słabe rwanie i pulsowanie gdzieś pod przykrywającym go prześcieradłem. Przypomniał sobie las i rzekę. Przypomniał sobie chatę.

Zmusił się do maksymalnej koncentracji. Przebłyski pamięci dręczyły go, przyprowadzały o mękę. Frunące w powietrzu kawałki drewna. Uciekająca kobieta. Broń w jego rękę i kula rozłupująca starą belkę.

Na Boga, czy naprawdę strzelał do tej kobiety? A jeśli tak, to co ona tu robi, oddychając tak równo i spokojnie obok niego? Czy jest ranna? Umierająca? Czy wszystko to stało się przed chwilą?

Nie wyglądała na umierającą. Wyglądała jak ktoś, kto śpi. Mocno śpi. Tak mocno, że mógłby wstać i okraść ją bez jej wiedzy. Oczywiście, że człowiek, który zmobilizował wszystkie siły na rozchylenie powiek, ma niewielką szansę na okradanie kogokolwiek.

Dlaczego śpi obok niego? Z pewnością wie, kim on jest. Przecież ma na sobie mundur więziennego strażnika... Palcami jednej ręki dotknął bolącej nogi i trafił na gołe ciało. Przecież miał mundur. Od jak dawna tu jest? I dlaczego ona nie wezwała policji?

Patrząc, jak śpi, wsłuchiwał się intensywnie, co dzieje się w innej części chaty. Głuchą ciszę zakłócał tylko kobiecy oddech.

Była wyjątkowo piękna. Mleczna cera, proste, czarne, jedwabiste włosy, delikatne rysy. I bardzo młoda.

Co robić? I gdzie jest rewolwer Jima Cooney'a? Wdzierające się przez okno światło pochodziło od słońca, nie zaś od tego wielkiego, złotego księżyca, który go tutaj doprowadził. Biały dzień nie jest odpowiednią porą na uciekanie gdziekolwiek, a zwłaszcza na czworakach. A zatem zmusi ją, żeby pozwoliła mu zostać i wrócić do zdrowia. Później, jeśli dopisze mu szczęście, dotrze jakoś do Memphis i do Aarona. Kiedyś, oczywiście, ufał także Josiahowi...

Jego plan zasadał się na wątlej przesłance: najpierw musi wiedzieć, dlaczego go nie wydała policji. Nic mądrego nie przychodziło mu do głowy. Groził jej, strzelił do niej i... przykuł ją kajdankami! To dlatego śpi obok niego! A co, gdyby umarł? Jakby sobie poradziła, czy znalazłaby sposób, żeby uciec?

Próbował się podźwignąć na łokciu, żeby sprawdzić, czy ma rację, ale nie mógł się oderwać od materaca. Najpierw pomyślał, że to z braku sił, po chwili znał już prawdę.

Wytrzeszczył oczy na kobietę, a jego szarpanina obudziła ją. Otworzyła zaspane oczy i również ze zdumieniem patrzyła na niego.

- Podobno jestem dobry w łóżku... ale jeszcze nikt mnie do niego nie przykuł... żeby mnie w nim zatrzymać - powiedział z trudem. Płatał mu się język. Jego głos dobywał się jakby z tunelu.

Tate usiadła natychmiast i odsunęła się od niego. Palcami zgarnęła włosy z twarzy, nie przestając wpatrywać się w niego oszołomionym wzrokiem.

- Ty mówisz - szepnęła.

- Od dobrych paru lat.

- Nie mówiłeś od paru dni - sprostowała.

Nie mogła zrozumieć, dlaczego zasnęła obok niego. Tuż obok niego! Pamięta tylko, że po raz kolejny gwizdała „Johna Riley'a” i siedziała na krawędzi łóżka. Więc może zasnęła w środku refrenu i najzwyczajniej w świecie padła? Ale żeby się do niego przytulić, jak do ukochanego misia!?

- Dni? - zdziwił się.

- Jak się czujesz?

Nie odpowiedział. Wyglądał jak ktoś, kto gwałtownie próbuje odnaleźć własną przeszłość. Pomogła mu.

- Pamiętasz, jak tu przyszedłeś? Kiwnął głową.

- I jak po niezwykle uroczym przedstawieniu się, strzeliłeś do mnie i przykułeś mnie do łóżka, aż wreszcie osłabieś i oddałeś mi broń, a także kluczyki do kajdanków?

Coś mruknął.

Powiedziałaaby, że zastanawia się, czy jest przy zdrowych zmysłach. Poznała to, ponieważ ona również zastanawiała się nad swoją poczytalnością.

- Masz paskudną ranę na nodze i wysoką gorączkę. Opiekuję się tobą.

- Od kiedy?

- Od dwóch dni.

Wytrzeszczył na nią oczy. Dwa dni, a ona nie wezwała szeryfa. Właściwie powinien był się obudzić w High Ridge. Obudzić się tam, żeby kapitan Roger Shaw mógł go własnoręcznie zabić.

- Dlaczego jeszcze tu jestem?

Tate stała i strzepywała nieistniejące nitki bandaża z dżinsów, żeby tylko na niego nie patrzeć. Nie miała gotowej i jednoznacznej odpowiedzi na jego pytanie. A żeby udzielić prawdziwej, rzetelnej odpowiedzi, musiałaby mu opowiedzieć historię swojego życia.

- Umówmy się, że może jestem idiotką i na razie poprzestańmy na tym.

- I nikt o mnie nie wie?

- Nikt, poza mną. - Podniosła głowę. - Powinnam cię oddać w ręce policji. Oboje wiemy, że powinnam.

- Dlaczego tego nie zrobiłaś?

Jego wysiłek, by nadać sens jej odpowiedziom, był aż nadto widoczny.

- Czy pamiętasz wszystko, co powiedziałeś, zanim straciłeś przytomność?

Pokiwał głową.

- To dobrze. Porównajmy więc twoją pierwszą wersję z dzisiejszą. Zrobimy taki mały test na wykrywanie kłamstwa.

Zamknął oczy i zastanawiał się, ile tajemnic wypaplał, kiedy bredził w gorączce. Nie był tym zachwycony. Poczuł, jak coś dotyka jego czoła, i otworzył oczy.

Odsunęła się.

- W tej chwili nie masz gorączki. Sądzę, że antybiotyk podziałał. Skoro nie śpisz, spróbuj przełknąć trochę płynu. Czujesz się na siłach?

- Tak. Tylko odepnij kajdanki, żebyś mógł usiąść, to wypiję cały galon.

- Jeżeli aż tak dobrze się czujesz, pomogę ci usiąść. Będziesz mógł pić jedną ręką.

Nie zdziwiło jej, że nie odpowiedział. Wyglądał tak, jakby za chwilę miał znowu zasnąć. Widziała, jak powieki zaczęły powoli mu opadać.

- Nie krępuj się i pośpij sobie - powiedziała. - Obudzę cię, gdy coś ci przygotuję do zjedzenia. Jest jakaś szansa, że nie zwymiotujesz?

Jedzenie było ostatnią rzeczą na świecie, na którą miałby ochotę. Ale jedzenie to energia, której naprawdę potrzebował, jeżeli chciał się stąd wydostać. Z ogromnym wysiłkiem skinął głową.

Wiedział, kiedy wyszła, choć zrobiła to bezszmerowo. Pomyślał o kobiecie ze swojego snu.

W kuchni Tate oparła się o zlew i zamknęła oczy. On naprawdę istnieje. To wszystko dzieje się naprawdę. Leżała w łóżku ze zbiegiem! Już nie może udawać, że jest siostrą miłosierdzia opiekującą się rannym. Osobę ukrywającą zbiega określa się mianem współsprawcy.

Wygląd Simona Carla Petersena, teraz, kiedy otworzył oczy, nawet w połowie nie budził takiego współczucia jak wcześniej. Wyglądał niebezpiecznie, mimo że jeszcze z trudem podnosił powieki. Był zadziwiająco podobny do mężczyzny, który umieścił kulę w belce tuż koło jej prawego ucha.

Czy nie krążą opowieści o kobietach, które zakochują się w więźniach? Czy nie znane są historie o narzeczonych straceńców, beznadziejnie zadurzonych w notorycznych zabójcach? Daleko jej do zakochania się w mężczyźnie przykutym do jej łóżka, ale czy w jakiś sposób nie przypomina tych wszystkich zwariowanych kobiet, które widząc swoich mężczyzn w pomarańczowych więziennych kombinezonach z nadrukowanym numerem identyfikacyjnym, nadal są nimi zafascynowane?

Otworzyła oczy i powiodła wzrokiem po chacie. Od tygodni mieszkała tu sama, znajdując sens życia w dźwiganiu wody i rąbaniu drewna. Czy rzeczywiście w tej samotni na tyle straciła rozum, że nawet zbieg wydaje się jej wielce obiecującym towarzystwem?

Odeszła od zlewu. Musi go nakarmić i napoić. A potem zada mu parę pytań. W zależności od odpowiedzi podejmie kolejne kroki. Posłuchanie tego, co ma jej do powiedzenia, może się okazać niezmiernie interesującym doświadczeniem. Od tego będzie zależeć jego przyszłość.

A może i jej.

Przygotowanie lekkiego śniadania, na które złożyły się jajka ugotowane w koszulkach i grzanki, zajęło jej tylko parę minut. Żeby posiłek był kompletny, oprócz soku pomarańczowego z puszki, przygotowała też gorącą herbatę.

Po powrocie do sypialni zastała go śpiącego. Już nie był taki niespokojny. Kolejny skok gorączki nie będzie, jej zdaniem, taki gwałtowny. Z nogą też chyba jest lepiej. Jest silnym mężczyzną, prawdopodobnie od tej chwili zacznie szybko wracać do zdrowia.

- Obudź się - powiedziała łagodnym głosem. Czekwała, ale spał nadal.

- Obudź się - powtórzyła. - Simon, obudź się! Otworzył oczy i wytrzeszczył je na nią.

- Co?

- Powiedziałam, obudź się.

- Jak mnie nazwałaś?

Nie odpowiedziała. Wyglądało na to, że zapowiadany test został rozpoczęty.

Nie przestawał wytrzeszczać na nią oczu. Dużo by dała, żeby poznać jego myśli.

- Mówiąc ci to, musiałem cię potraktować jak kogoś godnego zaufania - powiedział wreszcie.

- Dlaczego w papierach nazywasz się Carl? - Tate postawiła tacę na brzegu łóżka, ale nie podeszła bliżej.

Mniej bystre oko nie dostrzegło by jego krótkotrwałego wahania.

- Simon to moje drugie imię. Nazywają mnie tak tylko najbliżsi.

- Tacy ludzie jak Josiah i Erin?

- Tak, tacy jak oni.

Miał tak zimne spojrzenie, że nic nie było można z niego wyczytać. Tate sądziła, że po latach praktyki rozszyfruje każdego. I oto w tak decydującej i ważnej chwili okazało się, że się myli.

- A więc biedny Josiah nazywa cię Simonem, a ty nie znajdujesz dla niego innego określenia jak łajdak. - Skrzyżowała ramiona.

- Masz prawo poznać tę historię. - Odetchnął głęboko, a zapach śniadania powodował, że mdłości i głód przeplatały się ze sobą, ale przeważył głód. - Mógłbym najpierw coś zjeść? - zapytał.

Chciała odmówić, ale zbyt długo o niego dbała, żeby teraz zabraniać mu czegoś, co go może wzmocnić.

- Przyjmij tylko do wiadomości jedno - powiedziała.

- W tym pokoju, a tym bardziej przy mnie, nie znajdziesz ani broni, ani kluczy do kajdanków. Jeśli mnie złapiesz, stracisz tylko czas. Nie mogłabym cię uwolnić, nawet gdybym chciała. Po drugie, jeśli mnie pochwycisz z jakiegoś innego powodu, i tak w końcu będziesz musiał mnie puścić. Kiedy to zrobisz, nadal będziesz przykuły do łóżka, a ja będę w drodze do szeryfa, podając zamiary na tę chatę.

- Rozumiem.

- Czyżby?

- Daję słowo honoru... - Zaczerpnął łyk powietrza i przez chwilę zbierał siły. - Że cię nie złapię.

Uderzyło ją coś innego niż absurdalność twierdzenia, że posiada jakiś honor. Mówił z leciutkim akcentem. W sposobie łączenia wyrazów było coś wyraźnie europejskiego. Chyba że poniosła ją fantazja.

- Poza tym, gdybym cię złapał teraz - wnioskował - zabrakło by mi... sił, żeby cię przytrzymać.

- Nie nabierzesz mnie. Obserwowałam cię w bezpośrednim starciu i wiem, że potrafisz walczyć. Potrafisz też uciec się do podstępów, jeśli tylko ma ci to przynieść korzyść. Więc pamiętaj, że taki numer ze mną nie przejdzie.

- Będę posłuszny. Uwierzyła mu.

- W porządku. Masz dość sił, żeby utrzymać szklanke?

Już chciał powiedzieć „oczywiście”, kiedy się zreflektował. Istotnie, chciałby mieć tyle sił, żeby rozerwać na tuzin kawałków kajdanki, a tymczasem nie miał nawet pewności, czy zdoła przedrzeć gazetę.

Dostrzegła jego trwające krótko zmaganie. Zdziwiła się, iż pozwolił, by na to patrzyła.

- Potrzymam ją za ciebie - zdecydowała. - Musisz oszczędzać siły.

Łańcuch między kajdankami był na tyle długi, że według jej obliczeń Simon mógłby się podnieść wyżej i przyjąć półsiedzącą pozycję. Wzięła drugą poduszkę i stanęła za nim.

- Czy możesz się podnieść na tyle, żebym ci ją mogła wsunąć pod plecy?

Zrobił to z maksymalnym wysiłkiem, osiągając zaledwie minimum efektu.

Kiedy w końcu podciągnął się na tyle, na ile go było stać, usiadła na brzegu łóżka, stawiając na kolanach tacę.

- Zaczniemy od soku. - Uniosła szklanke, odwracając się twarzą do niego. - Tak będzie znacznie szybciej niż zakraplaczem.

- Zakraplaczem?

- To był jedyny sposób podawania ci płynów. Powolny, ale w pełni skuteczny.

Wyglądał na zde gustowanego, tak jakby prawdziwy mężczyzna nie potrzebował nigdy czegoś równie idiotycznego. Omal się nie roześmiała.

- Całe kwarty płynu. Lemoniadę, wodę, colę. Spaliłeś je razem z gorączką. Sądzę, że jeszcze przyda ci się parę kwart.

Nie spuszczać z niego oczu, ostrożnie podsunęła mu szklankę do ust. Jakikolwiek gwałtowny ruch z jego strony, a natychmiast jak strzała wypadnie z chaty. Pierwsze łyki pił niezdarnie, jakby jego wargi i język zapomniały, że muszą współpracować, ale szybko przypomniał sobie, jak to się robi.

Kiedy wypił połowę soku, Tate odstawiła szklankę na tacę i sięgnęła po talerz.

- Możesz mówić między kęsami. I tak nie powinieneś jeść zbyt szybko.

Simon czuł wdzięczność, że dano mu szansę przygotowania w ogólnych zarysach swojej historii. Jego głowa nie pracowała jeszcze zbyt sprawnie. Miał dziwne uczucie, że szybuje gdzieś poza zasięgiem zdrowego rozsądku i ostrożności. Ale jednego był pewien. Nie zamierza mówić tej kobiecie niczego więcej, poza tym co już usłyszała. Jego życie zależy od kłamstw. Stopniowo, gdy myśli zaczęły się wreszcie krystalizować, doszedł do wniosku, że również jej życie może od tego zależeć. Bywa, że mówienie prawdy jest niemoralne. I głupie.

- Co ci powiedziałem... do tej pory? - zapytał między kęsami.

- Niezły chwyt, Simon.

Teraz, gdy pokój tonął w słońcu, ujrzał tę kobietę tak wyraźnie, jak w swoich snach, tyle że obecnie miała jeszcze kształty i rysy, i najdelikatniejsze usta, jakie kiedykolwiek widział, nawet gdy wykrzywiała je w cynicznym uśmiechu. Zastanawiał się, jakie to dobre duchy przywiodły go właśnie do tej chaty.

- Jak masz na imię? - zapytał.

- Już mnie o to pytałeś.

Szukał w pamięci, by po chwili potrząsnąć głową.

- Spróbujmy inaczej. Czy pamiętasz, że omal nie roztrzaskałeś mi głowy?

- Omal jest bardzo praktycznym słowem, czyż nie? Odnotowała precyzję, z jaką wypowiedział słowo „praktycznym”.

- Specjalnie spudłowałeś?

- A znasz inną racjonalną odpowiedź, poza tak? Zadowolila ją taka odpowiedź.

- Mam na imię Tate.

Wysilał się mocno, aż odnalazł przerwany wątek ich rozmowy.

- Dziwnie.

Nie bardzo wiedziała, dlaczego zadaje sobie trud i wyjaśnia mu:

- Moja babka dała mi na imię Kate. Jako dziecko potrafiłam wymówić tylko Tate. I tak zostało.

- Pasuje do ciebie.

Była zła na siebie za to, że wdała się w tak osobiste zwierzenia.

- Ale przynajmniej każdy nazywa mnie Tate. Mam jedno imię i jedno nazwisko.

- Nazywam się Carl Simon Petersen. Podejrzewam, że podając ci drugie imię, chciałem w ten sposób dać do zrozumienia, że ci ufam.

- Tylko że ja tobie nie ufam.

- Rozważny ruch. I nie ufając... udzieliłaś mi schronienia i zaopiekowałaś się mną. Dlaczego?

- To ty masz opowiadać o sobie, nie ja.

Uznał, że obiegowe opinie na temat górali z Arkansas zdecydowanie mijają się z prawdą. Ludzie chyba nie doceniają ich inteligencji.

- Co wiesz... o tym, o co mnie oskarżono i za co zostałem skazany na High Ridge?

Uznała, że na to pytanie może odpowiedzieć. Wpychając w niego kolejny kęs jajka, powiedziała mu wszystko, co usłyszała na ten temat w radiu.

- Jestem niewinny - oznajmił, kiedy skończyła. - Nie zabiłem Joe'go Mastersa... i nie zdefraudowałem pieniędzy.

- Po takim wysiłku musiał odpocząć, klnąc siebie w duchu za słabość i niemożność sklecenia dwóch zdań. - Wrobiono mnie... i mogę to udowodnić, gdy tylko dostanę się do Memphis.

Tate zawiesiła rękę z widelcem w połowie drogi.

- Memphis? Podobno kierowałeś się z powrotem do Houston?

- A czy tędy prowadzi droga do Houston?

- Ta droga zdaje się prowadzić donikąd.

Skrzywił się i zamknął oczy. Jakby się wyczerpał, zwątpił w siebie. Zawsze, przez wszystkie lata, uważał, że nie ugnie się przed niczym, że sam sobie ze wszystkim poradzi. A teraz, po raz pierwszy, zdał sobie sprawę, do jakiego stopnia jest zdany na łaskę tej kobiety. Powinien przedstawić siebie w lepszym świetle, w przeciwnym razie kolejnym miejscem, dokąd się uda, będzie High Ridge. I to będzie jego ostatni przystanek.

- Mastersa zabił niejaki Josiah Gallagher - powiedział.

- Gallagher i ja pracowaliśmy w jednym oddziale. - Zrobił pauzę, odpoczął, po czym ciągnął dalej. - Pracowaliśmy razem, ale kiedy sprawa się wydała, nieźle mnie przerobił. To on... zdefraudował pieniądze, ale tak zmanipulował pliki, żeby wszystko przemawiało przeciwko mnie. Potem dał cynk Mastersowi, który... przeprowadził niespodziewaną kontrolę.

- I ty nic o tym nie wiedziałeś?

- Wtedy jeszcze nie.

- Zabawne. Nie wyglądasz na człowieka, którego można łatwo zaskoczyć, a zwłaszcza w coś zrobić.

Wolałby, żeby nie była taka spostrzegawcza.

- Od tamtego czasu wiele się nauczyłem. - Otworzył oczy i przyjął następną porcję jedzenia.

- Zakładając, że mówisz prawdę, to dlaczego nic z tego nie wyszło na jaw podczas procesu?

- Mój adwokat przysięgał, że zostanę zwolniony. Nie można było mi niczego dowieść... ani defraudacji, ani morderstwa. Powiedział też, że nie ma nic, czym by można obciążyć Gallaghera.

- Dlaczego Gallagher zamordował Mastersa, skoro Masters ciebie uważał za malwersanta?

- Ponieważ Masters nie... wierzył w to. Od momentu, kiedy mu udowodniłem, że Gallagher mógł to zrobić sam. Udał się do Gallaghera... a ten go zabił. Ale tak to zaaranżował, że wyglądało, jakby to była moja robota.

Tate nakarmiła go ostatnim kęsem jajka. Wyglądał tak, jakby wysiłek tłumaczenia się kompletnie go wykończył.

- I, jak sądzę, także Gallagher przekabacił twoją ciotkę. Simon przełknął. Czuł dziwny ciężar w żołądku, który tak długo był pusty. Także głowa opadała mu jakoś dziwnie. Zbyt dziwnie, żeby szybko myśleć.

- Nie bardzo rozumiem, co masz na myśli - powiedział wreszcie.

- Ponieważ, jak sądzę, uważasz, że nie wiem wszystkiego o przebiegu procesu. - Tate sięgnęła po filiżankę z herbatą. Wystygła i była w sam raz.

Gwałtownie usiłował sobie przypomnieć, co on wie. Po chwili dotarło do niego.

- Nie byłem u ciotki i popełniłem... błąd, namawiając ją, żeby podtrzymała moją wersję. Ale nie mogłem... powiedzieć sądowi prawdy.

- Wielka szkoda.

- Byłem z... kobietą. Tate pokiwała głową.

- Erin. Przywoływałaś ją. - Przechyliła filiżankę, żeby mógł wypić.

Zajął mu trochę czasu, zanim zrozumiał.

- Zgadza się. Erin... żona Gallaghera. - Spodobała mu się taka wersja. Gallagher też by potrafił to docenić.

- I co z tego? Gdybyś miał alibi, zostałbyś zwolniony od podejrzeń. A Erin nie mogła być twoim alibi, skoro była alibi Gallaghera.

Spojrzał na nią spode łba.

- Powinnaś być moim adwokatem. On... przekonał mnie, że nie mam się... czym przejmować i że po skończeniu mojej sprawy prokurator dobierze się do skóry... Gallagherowi. - Zrobił pauzę. Gubił się. Ani jego język, ani umysł nie pracowały dość szybko. A przecież musi przekonać Tate o swojej niewinności, bo w przeciwnym razie zginie.

Zdobył się na kolejny wysiłek.

- Tylko że ja nie orientowałem się, iż część świeżego majątku Gallaghera idzie... do kieszeni mojego adwokata. Erin zniknęła... kiedy zostałem skazany, ale wiem, gdzie ona jest. Gdybym tylko do niej dotarł... porozmawiał z nią, mógłbym ją przekonać... żeby się ujawniła i powiedziała prawdę. Ale muszę zrobić to sam. Ona boi się... Gallaghera i... ma ku temu powody.

Kończyła go karmić i jednocześnie zastanawiała się nad tym, co jej opowiedział. Był kompletnie wykończony, wiedziała, że już dłużej nie może go męczyć i domagać się wyjaśnień. Opowieść nie jest pozbawiona sensu, ale to o niczym nie świadczy. Bystry psychopata przekonałby nawet świętego Piotra. Co znaczy jedno czy dwa kłamstwa wobec morderstwa? Czy rzeczywiście spodziewała się, że Simon wyzna jej, iż zabił Joe'go Mastersa i że zrobiłby to jeszcze raz, gdyby było trzeba?

Postawiła filiżankę na tacy i wstała.

- Niezależnie od tego, czy mówisz prawdę, czy nie, nadal nie rozumiem, dlaczego twojemu życiu grozi niebezpieczeństwo w High Ridge? Czyż Gallagher nie dostał tego, co chciał? A ty byłeś bezpieczny za kratkami.

- No tak, ale za kratkami nadal potrafiłem jeszcze mówić. Sprawą zainteresował się... pewien dziennikarz. W ostatnim tygodniu doszło do mnie, że Gallagher opłacił jednego więźnia... żeby mnie zabił, zanim ten dziennikarz... przeprowadzi ze mną wywiad.

- Nie mogłeś zwrócić się z tym do naczelnika więzienia?

- Nie.

Zdziwiło ją, że w jednym słowie można zawrzeć tyle pogardy.

- Tate?

Odwróciła twarz ku niemu.

- Ja nie zabiłem Joe'go Mastersa.

Jego opowieść za bardzo przypominała serial telewizyjny, żeby mogła być prawdziwa. Ale z jakiegoś irracjonalnego powodu Tate nie mogła pogodzić się z myślą, że mógł zamordować kogoś z zimną krwią. Sama nie wiedziała, dlaczego. Przez większość czasu, jaki z nim spędziła, był nieprzytomny. Co ona o nim wie? Co wie naprawdę?

- Zamierzasz mnie wydać?

Zastanowiła się nad pytaniem, podobnie jak zastanawiała się każdego dnia.

- Sama nie wiem.

- To więcej... niż mógłbym się spodziewać. Pokiwała głową, po czym, biorąc tacę, ruszyła w stronę drzwi.

- Lepiej się prześpij. Później zmienię ci opatrunek.

Simon pomyślał, że kobieta, która zamierza złożyć wizytę szeryfowi, tak by nie mówiła. Pomyślał też, że bez trudu mógłby wykraść jej klucz od kajdanków. Nawet zadziwiająco łatwo. Ale w jakim celu? Jest za słaby, żeby uciec, a od Memphis i Aarona dzieli go lata świetlne. Trudno sobie wyobrazić lepsze, bezpieczniejsze miejsce na przeczekanie i odzyskanie sił niż to tutaj.

Tak czy inaczej był zbyt wycieńczony, żeby podjąć jakąś decyzję i do tego wprowadzić ją w czyn.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Następnego ranka Simon jeszcze spał, gdy Tate zjawiała się w sypialni, pobrzękując długim zardzewiałym łańcuchem jak jakiś galernik. Stała w progu i przyglądała się swojemu więźniowi. Poprzedniego dnia, po ich porannej rozmowie, budził się kilkakrotnie, ale tylko na tyle, żeby zamienić parę słów i przełknąć trochę płynu. Niewielka temperatura, jaką miał po południu, spadła pod wieczór. Rana na nodze nadal wymagała interwencji lekarskiej, ale oznaki infekcji ustępowały.

Wyglądał lepiej. Nie miał już tej szarej woskowej cery, choć nadal utrzymywała się bladość. Pod patchworkową narzutą okrywającą jego wychudzone ciało unosiła się i opadała klatka piersiowa, jak podczas normalnego snu. Wracał do zdrowia, ponieważ był silny, a także dzięki troskliwej opiece i pielęgnacji.

Tate zastanawiała się, jaka pielęgniarka przykułaby swojego pacjenta do łóżka? Opowieść Simona nie dawała jej spokoju i bez przerwy zaprzętała jej myśli. Daleka była od dania wiary temu, co jej opowiedział, ale dopóki nie zdecyduje co dalej, pozostanie jej więźniem.

Przez parę ostatnich dni był zbyt słaby, żeby się poruszać. Teraz, kiedy czuje się lepiej, będzie bardziej niespokojny, a przykucie do łóżka na pewno nie zmniejszy jego złego nastroju. Wreszcie wymyśliła sposób na rozwiązanie tego dylematu. Wyjęła stary łańcuch ze stodoły i zdjęła kłódkę z drzwi wędzarni. Przyczepi łańcuch do ramy łóżka, a następnie umocuje kajdanki do łańcucha. W ten sposób zapewni mu większą swobodę ruchu. Łatwiej mu będzie także załatwiać osobiste potrzeby.

Miała nadzieję, że zmontuje to wszystko, nim on się obudzi. Na sekundę czy dwie będzie go musiała uwolnić. I chociaż miała się do niego nie zbliżać z kluczem do kajdanków, teraz, żeby zrealizować swój pomysł, będzie musiała to zrobić.

Śpij, błagała w duchu.

Podeszła cicho do łóżka od strony okna, pobrzękując niemiłosiernie łańcuchem przy każdym kroku. Simon nadal zdawał się pogrążony we śnie. Oddychał równo i powoli, a kiedy podeszła bliżej, nie drgnął żaden mięsień jego twarzy. Dokładnie przemyślała, jak ma to zrobić i gdzie przymocować łańcuch, żeby mu dać jak największą swobodę. Idealny był narożnik łóżka. Mogła przeciągnąć łańcuch między ramą i metalowym wezglowiem, i gdyby nawet Simon zdołał odkręcić sworznie, łańcuch zawsze będzie go trzymał.

Nie budząc go, dosięgnęła narożnika. Ostrożnie, poruszając się jak najwolniej, zaczęła przeciągać łańcuch. Metalowe ogniwa skrzypiały, łańcuch zapierał się, zgrzytał, jakby był zmuszany do skrętu, o jakim już dawno zapomniał. Simon ciągle spał.

Zadowolona, że wreszcie umocowała łańcuch, sięgnęła po kłódkę, którą położyła na podłodze przy łóżku, i szczepiła nią dwa ogniwa łańcucha.

Podejrzewała, że kłódka wisiała na drzwiach wędzarni od dziesiątek lat. Na pewno była starsza od niej, a jeżeli kiedykolwiek miała klucz, to powędrował on na wieczność do królestwa kluczy. Prawdopodobnie w czasach młodości ojciec przechowywał w wędzarni różne skarby, takie jak szynka i bekon, i kłódka była zamykana, ale odkąd ona tu jest, służyła już tylko do przymyknięcia drzwi, ale nigdy nie była zamknięta.

Teraz walczyła z nią i usiłowała zatrzaskać. Kłódka popiskiwała, ale za każdym razem, gdy Tate zwalniała uścisk, zamek odskakiwał.

Simon ciągle spał. Tate odrzuciła do tyłu łaskoczące ją w policzek włosy. Jak można spać w takim hałasie? Przyjrzała mu się uważnie, ale nie dostrzegła najmniejszego śladu, który wskazywałby, że jest świadomy jej obecności. Sen jest najlepszym lekarstwem, a on korzysta z niego tak obficie, że do południa stanie na nogi.

No cóż, do tego południa czy do następnego, czy też do południa w następnym tygodniu. Jedno jest pewne: gotowy jest ruszyć w dalszą drogę, jeżeli mu tylko na to pozwoli. Oddaliła od siebie tę myśl, koncentrując uwagę na najtrudniejszej części zadania. Nie spuszczać wzroku z Simona, powolusieńku wyjmowała z tylnej kieszeni dzinsów klucz do kajdanków. Gdy tak wpatrywała się w niego, nagle z zakamarków pamięci coś wyskoczyło. O ile się nie myli, podawali w radiu jego wiek. Zdaje się, że ma trzydzieści siedem lat.

Aż na tyle nie wygląda. Teraz, przy wypoczętej twarzy, wygląda młodziej, znacznie młodziej niż na trzydzieści siedem lat. Zwłaszcza jak na kogoś, kto tyle przeszedł.

Oczywiście, trudno jest powiedzieć, co kryje się pod brodą i wąsami. Zabawne, że kiedy wykrzywił twarz, poruszał nimi naraz. Trzeba przyznać, że fascynowała ją jego broda. Znała ją też z dotyku. Była zadziwiająco miękka, choć nie była długa. Była też gęsta i zmysłowa jak złoty gronostaj, gęsta na tyle, żeby wypełnić jego zapadnięte policzki. Może nawet na tyle gęsta, że czyniła go młodszym.

Sen także sprawia, że ludzie wyglądają młodziej, prawdopodobnie dlatego, że nie widać ich oczu. Tate dokładnie pamięta, jak wyglądają oczy Simona. Zimne jak gład. Matowe. Stare oczy, o całe pokolenia starsze od trzydziestosiedmiolatka, nawet jeżeli twarz wygląda młodziej.

Trzymała przed sobą klucz i szykowała się na ostatnie zmagania, a on nadal miał zamknięte oczy. Czy zaryzykować i na chwilę otworzyć kajdanki, żeby przypiąć je do łańcucha? Doszła do wniosku, że jeżeli ma to zrobić, to albo teraz, albo nigdy.

Klucz zazgrzytał w zamku. Otwieraniu kajdanków towarzyszył wystrzał podobny do rewolwerowego. Niemal w tej samej sekundzie Tate poczuła żelazną obręcz na swoim nadgarstku.

Tego ranka jego oczy nie były matowe. Świeciły się, promieniały.

- Czyżbyś zamierzała mnie wypuścić?

Powtórzyła słowo, które w myślach powiedziała już wcześniej:

- Śpij.

- Wygląda na to, że sprawa wymyka ci się z rąk. - Simon szarpnął kajdanki w swoją stronę. Tate je chwyciła i pociągnęła w swoją.

Trwali tak w zawieszeniu przez jakąś chwilę, po czym, gdy Simon szarpnął jeszcze mocniej, Tate była zmuszona je puścić. Wpił palce w jej nadgarstek. Pociągnął ją i położył obok siebie. Szarpała się, ale jego uchwyt był jak imadło.

- Puszczaj mnie!

Głos Simona był spokojny:

- Nic ci nie zrobię.

- Akurat ci uwierzę!

- Przestań ze mną walczyć i posłuchaj. Wycelowała łokciem w jego zębra, ale przekręcił się na bok, pociągając ją za sobą. Rozkraczyła się niezgrabnie, częściowo na materacu, częściowo na jego piersi.

Ręką w kajdankach przygniół jej plecy, drugą mocno ją trzymał za nadgarstek. Nie wiedziała, skąd bierze tyle sił. Podniosła głowę i stwierdziła, że ich twarze znajdują się zaledwie kilka centymetrów od siebie.

Patrzył na nią dziwnie, prawie jakby ją widział po raz pierwszy.

- Puść mnie! Nie zrobił tego.

- Jeszcze nigdy nie widziałem tak odważnej kobiety. Rzuciła mu wściekłe spojrzenie.

- Ani tak współczującej.

- Bzdura! - Znowu zaczęła się szarpać i wrywać.

- Uratowałeś mi życie. Sądzisz, że po tym wszystkim mógłbym cię skrzywdzić?

- Nie wykluczam tego!

- Przestań ze mną walczyć. Wysłuchaj mnie.

- Za parę minut się zmęczysz. Myślisz, że długo tak będziesz mógł mnie trzymać?

Uśmiechnął się, a raczej był to nikły cień uśmiechu, ale jednak był.

- Dopóki mnie nie wysłuchasz. Zrób tę łaskę nam obojgu, dobrze? Zamilknij.

Zacisnęła wargi, wyrażając swój stosunek do sprawy gniewnym wyrazem oczu.

Simon podziwiał gęste rzęsy, spod których jej niebieskie oczy ciskały gromy. Pachniała jesiennym sosnowym lasem i czystym górskim powietrzem, a on zastanawiał się, czy jej delikatna skóra podobnie smakuje. A może ma bardziej egzotyczny smak, bardziej tajemniczy i nieziemski?

Coś go poruszyło. W innym życiu, przed miesiącami spędzonymi w High Ridge, nazwałby to pożądaniem. Teraz nazwał to reakcją wstrząsową. Pożądanie jest ludzką emocją. Cokolwiek w nim było ludzkiego, uległo rozkładowi i przestało istnieć w Bloku Więziennym A.

- Muszę się stąd wydostać. - Wypowiedział to miękkim tonem. - Muszę wiedzieć, czy mnie wypuścisz. Nie zamierzam tu czekać jak kaczka na odstrzał. Zamierzam jeszcze trochę pożyć, jeżeli mi się uda.

Tate chciałyby umieć kłamać z większym przekonaniem i pewnością siebie, ale Jess i Krista uwielbiali właśnie ten jej sposób kłamania. Potrafiła być brutalnie szczerą wobec siebie, natomiast zapomniała, że należy tak samo podchodzić do innych.

- Jeszcze nie wiem, co zrobię. - Patrzyła w oczy Simonowi, wiedząc, że okłamywanie go na nic się nie zda.

- Uwierzyłaś w to, co wczoraj powiedziałem?

- Nie.

- Więc dlaczego jeszcze nie pojechałaś po szeryfa?

- Ponieważ jest jedna szansa na sto, że powieźdźś prawdę.

- Nie zabiłem Joe'go Mastersa.

- To ty tak mówisz.

Widziała, że jest coraz bardziej zmęczony. Ręka, którą przyciskał ją do siebie, zadrżała.

- Muszę się stąd wydostać. - Z najwyższym trudem usiadł i popchnął ją do tyłu na łóżko, po czym szybko przygwoździł ciężarem własnego ciała. Z trudem oddychał, z wysiłku chwiała mu się głowa.

- Nawet nie dojdiesz do najbliższej farmy! - Nadal czuła strach, ale przestała się opierać. Niech tylko minie strach, a wszystko będzie dobrze. Musi poczekać na odpowiednią chwilę. Jeden kopniak w nogę, którą tak troskliwie pielęgnowała, a będzie wolna.

Ku jej zdumieniu, przytaknął jej, kiwając głową.

- Ale tobie spadnie problem z głowy. A tymczasem moja szansa na udowodnienie, że mówię prawdę, jest tylko poza tym domem. Przykuły do łóżka, mogę liczyć jedynie na ciebie. Poprosiłem cię, żebyś była moim sędzią i ławą przysięgłych jednocześnie. Nie twoja wina, że nie potrafisz.

- Niepokoi cię mój dylemat moralny?

- Niepokoję się o własne życie.

Dłużej zatrzymała na nim wzrok. Wyglądał męsko i bardzo groźnie, ale, o dziwo, nie czuła strachu. Jeszcze niedawno jego zimne szare oczy miały tylko pozory człowieczeństwa. Teraz zobaczyła w nich coś, czego nie potrafiła nazwać.

- Pozwól mi wstać - powiedziała, ale nie brzmiało to jak rozkaz.

Nie zdziwiła się, kiedy ją puścił.

Usiadła, odwróciła się i spojrzała na niego. Znowu był śmiertelnie blady.

- Niełatwo będzie przedostać się stąd do Memphis. Umrzesz po drodze.

Pomimo zaciśniętych warg uśmiechnął się szyderczo.

- I wtedy wreszcie pozbędziesz się swojego dylematu moralnego.

Wiedziała, że kolejny ruch należy do niej.

- Dlaczego wybrałeś moją chatę, Petersen? - zapytała znużonym głosem.

- Przypadek, los.

- To ten cholerny księżyc!

- Dasz mi fory, zanim pojedziesz po szeryfa?

- Może jestem idiotką, ale nie aż taką, żeby ci pozwolić tu sterczeć, gdy już będziesz silniejszy... chyba że znowu założę ci kajdanki.

- A gdy ci pozwolę przyczepić się do tego łańcucha, pognasz radośnie do miasta i sprowadzisz szeryfa.

- Rozumiem, że zastanawiasz się, czy możesz mi zaufać.

- Więc powiadasz, że mnie nie wsypiesz?

Tate unikała zobowiązującej odpowiedzi, mając nadzieję, że coś się wydarzy, co zwolni ją od decyzji. Ale wiedziała, że nic takiego nie nastąpi. W jej życiu bowiem nic nigdy nie było proste i łatwe. Dlaczego teraz miałoby być inaczej?

- Gdybyś miał tu zostać, żeby nabrać sił, musiałbyś nosić kajdanki. Jeśli chcesz odejść, zrób to teraz. Nikomu o tobie nie powiem, jeśli to cię niepokoi.

Zastanawiał się nad swoimi szansami. Szybki, dudniący w uszach puls przyspieszył jego decyzję. Był jeszcze potwornie słaby. Wystarczyła niewielka szarpanina z nią, żeby go

wykończyć. W ten sposób nie dotrze nigdy do Memphis. Zwłaszcza lasami i drogami obstawionymi szukającymi go ludźmi.

Ostatkiem sił pochylił się i sięgnął po łańcuch. Przejechał po nim palcami. Po czym zatrzasnął kajdanki na jego ogniwie.

Tate wstała. Znow był jej więźniem. Fakt, że zostaje, sprawił jej nieoczekiwaną ulgę, chociaż wiedziała, że lepiej byłoby, gdyby odszedł.

- Przygotuję ci śniadanie. Musisz nabrać sił, zanim staniesz się problemem dla kogoś innego.

O dziwo, zdobył się na uśmiech.

- Mam nadzieję, że pewnego dnia przekonasz się, że podjęłaś słuszną decyzję.

- Mam nadzieję, że pewnego dnia wybaczę sobie popełnione głupstwo.

Jak automat zaprogramowany na kilka funkcji, tak i Simon przez następne dni tylko spał i jadł. Tate obserwowała jego powrót do sił. Teraz sam siadał i jadł, a ręce, które początkowo drżały, stawały się coraz sprawniejsze. Gdy przestał gorączkować, skończyła z obmywaniem go, tylko każdego ranka po śniadaniu przynosiła mu miskę wody, a on, zrzedząc, jakoś sam sobie radził.

Kiedy trzeciego ranka wróciła trochę za wcześnie po miskę, zastała go siedzącego, z opuszczonym do bioder prześcieradłem, starannie myjącego się gąbką. Delikatna mgielka wody otulała jego klatkę piersiową, złociste włoski schodzące do pępka poskręcały się od wilgoci, a całości dopełniała opalona skóra.

To już nie był zdesperowany chory zbieg, który znalazł drogę do jej chaty. Porównanie do lwa w klatce, leżącego i czekającego na pojawienie się opiekuna, bardziej odpowiadało rzeczywistości.

Naszły ją jeszcze inne myśli. Dlaczego wpatruje się w niego? Dlaczego nie odwróciła się i nie wyszła natychmiast, gdy zobaczyła, że jeszcze nie skończył się myć? A przede wszystkim, dlaczego tak szybko wróciła?

Już chciała odejść, kiedy ją zatrzymał.

- Wszystko w porządku, już skończyłem. Niewiele da się zrobić z miską brudnej wody.

Zwróciła uwagę na szerokie otwarte „o” w słowie „woda” i słabo zaznaczone „d”. A także na niezadowolony ton głosu.

- Męczy cię to inwalidztwo, Petersen.

- Męczy mnie bycie psem na łańcuchu.

- Czy już mogę zmienić ci opatrunek?

Wytarł się i wciągnął jedną z miękkich flanelowych koszul jej ojca. Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że bardziej by mu pasował szyty na miarę frak.

- To mnie doprowadza do szału. Sięgnęła do szafy po apteczkę.

- Swędzenie? Przytaknął skinieniem głowy.

- Goi się.

- Być może, ale do pełnego zdrowia jeszcze daleko.

- Ściągnęła narzutę i koc, odsłaniając jego nogę. - Jeśli ją w jakikolwiek sposób przeciążysz, rana się otworzy.

- Ruszam nią tak często, jak mogę.

- Tylko uważaj, żebyś nie wrócił do punktu wyjścia.

- Nie chciałbym do końca życia chodzić jak kangur.

- Kangury nie chodzą.

- No właśnie, one skaczą.

Pomyślała, że skoro żartuje, to może jest w lepszym humorze, ale na jego twarzy nie zaobserwowała uśmiechu.

- Gdy tylko to będzie możliwe, musisz pójść do lekarza i zacząć odpowiednie ćwiczenia.

- Jasne. Wyszukam kogoś w książce telefonicznej i udam się prosto do niego.

Niewykluczone, że jest mordercą - a właściwie to prawie na pewno - ale znowu zrobiło się jej go żal. Jest zbyt niebezpiecznym człowiekiem, żeby cokolwiek do niego czuć, i co zdrowy rozum podpowiadał jej na każdym kroku. Ale gdyby - no, powiedzmy, gdyby - był niewinny, oznaczałoby to, że jego życie zostało przewrócone do góry nogami bez powodu, za nic, i że jeszcze musi odbyć długą żmudną drogę, żeby dowieść swojej racji.

Odwinęła stary bandaż, ale musiała jeszcze oderwać plaster, który przykleił się do skóry. Kiedy to robiła, nie skrzywił się, choć wiedziała, że go musi boleć.

Rana goiła się. Przy interwencji lekarza pewnie już by się zablizowała. A tak, trzeba się cieszyć, że przynajmniej udało się zapobiec infekcji. Upłynie jeszcze trochę czasu, nim będzie mógł chodzić. Obmyła wokół ranę i posmarowała maścią z antybiotykiem.

Zaczęła się podnosić, by sięgnąć po nowy bandaż, kiedy poczuła na ramieniu jego rękę.

- Mówili coś nowego na mój temat? Ciągłe mnie szukają?

- Chwilowo ich nie interesujesz. Nie było specjalnego komunikatu.

- A w zwykłych wiadomościach?

- Mówią tylko, że poszukiwania trwają nadal. Nie siedzę na okrągło przy radiu i nie słucham. I tak wiem o tobie więcej niż ktokolwiek.

- Muszę się stąd wydostać.

- Podzielałam twoje zdanie. Ale jest jeszcze za wcześnie. Po przejściu stu metrów będziesz się czołgał.

- Nie zamierzam iść.

- Tu nie ma pociągów, a najbliższe lotnisko znajduje się w Memphis, dokąd się wybierasz, albo w Little Rock, gdzie twoją podobizną oblepili wszystkie ściany i mury.

Nie odpowiedział.

- Co ty kombinujesz? - Gdy ciągle nie odpowiadał, wypowiedziała na głos swoje podejrzenia. - Chcesz mnie zabić i wziąć samochód?

- To nawet kuszące. Z jednym drobnym zastrzeżeniem. Spojrzała na niego.

- Ja nie zabijam ludzi.

Przypomniała sobie światło wyjętego spod prawa księżycy, połyskujące na kolbie jego rewolweru. I moment, kiedy wręczył jej broń, podczas gdy bez trudu mógł ją zabić.

- Więc do czego zmierzasz?

- Naprawdę chcesz wiedzieć? Na razie możesz być spokojna. Nie tknę twojego samochodu.

- Nie tkniesz nikogo i niczego, bo jesteś nadal moim więźniem.

- Przyjdzie taka chwila, kiedy mnie wypuścisz.

Nie podjęła tematu. Odwróciła się, chcąc wstać i wyjść.

- Tate? - Wahał się chwilę, zanim sformułował kolejne zdanie. - Nie podziękowałam ci.

- Nie musisz. Zresztą mnie samej trudno uwierzyć, że robię coś takiego.

Poczuła, jak jego ręka zamyka się na jej dłoni. Była tym więcej niż zdumiona, była oszołomiona. Sama dotykała prawie każdej części jego ciała, ale to było co innego. Ich ręce pasowały do siebie, jakby specjalnie tak zostały stworzone. Trzymał ją delikatnie, a jednocześnie stanowczo, jak gdyby chował w rękę przerażonego ptaka.

Nie zdążyła się cofnąć, kiedy podniósł jej rękę do ust. W porównaniu z zagłębieniem jej dłoni jego wargi były gorące i wilgotne, a siła pocałunku tak wielka, że poruszyła każdy jej nerw. Po czym wszystko, równie szybko, jak się zaczęło, skończyło się. Puścił jej rękę.

- Nie powiem dziękuję - obiecał. - Powiem, że nigdy nie spotkałem nikogo takiego jak ty.

Poderwała się z łóżka.

- Jadę do miasta. Muszę zrobić zakupy. - Przy drzwiach odwróciła się. - Jeżeli to może mieć jakiegokolwiek znaczenie, to ja też nigdy nie spotkałam nikogo podobnego do ciebie - powiedziała.

- I masz nadzieję, że drugi raz takiego nie spotkasz.

- Za drugim razem mogłabym tego nie przeżyć.

W słoneczny dzień Kalix Road mogłaby nawet uchodzić za malowniczą. Dzisiaj, przy groźnych burzowych chmurach, wyglądała na taką, jaką była: marna droga w biednym hrabstwie.

Oczywiście, ponieważ spieszyła się do domu, wiedziała, że jej nastrój może odbijać w krzywym zwierciadle to, co oferowała jej sceneria. Po wszystkim, czego dowiedziała się w miasteczku, trudno się dziwić, że nawet niebo straciło swój urok.

Zaopatrzyła się w Mountain Glade w żywność i lód, po czym udała się do apteki. Kupiła tam wszystko, co trzeba, a następnie, odczekawszy, aż Wally zacznie robić wykład kolejnemu klientowi, zadzwoniła do Kristy. Nie oczekiwała cudów, nie spodziewała się, że zastanie Jessa w domu, a on natychmiast udzieli jej informacji na temat Carla Petersena, ale też nie miałyby nic przeciwko temu. Zamiast tego dowiedziała się, że od czasu ich ostatniej rozmowy Krista nie miała od Jessa ani jednej wiadomości.

Po wyjściu od Allena zatrzymała się i kupiła „Arkansas Gazette”, mimo że była sprzed czterech dni. Po raz pierwszy potrzebowała innego kontaktu z zewnętrznym światem niż tylko radio. W ostatnich dniach odnosiła chwilami wrażenie, że ona i Simon są jedynymi ludźmi w kosmosie lub ekscentrycznymi pionierami życia na odludziu, bliskimi amoku.

Od razu otworzyła gazetę na kolumnach zamieszczających lokalne wiadomości. Okazało się, że cała czołowa strona jest poświęcona ucieczce Carla Petersena z więzienia. W jednym artykule opisywano High Ridge, z konkluzją, że warunki tam są opłakane. W drugim rozważano, jak mogło dojść do ucieczki więźnia i gdzie Petersen mógł znaleźć schronienie. Trzeci i najciekawszy artykuł opowiadał historię Carla Petersena. Carla Williama Petersena.

A więc nie Simona, a Williama!

Bardziej niepokojące od rozbieżności w sprawie drugiego imienia Petersena były jego zdjęcia zamieszczone w gazecie. Widniejący na nich mężczyzna był cięższy o jakieś dwadzieścia pięć kilo. To prawda, że zdjęcia zrobiono w czasie procesu. To prawda, że więzienie w High Ridge mogło realizować swój własny wypróbowany program zrzucania wagi. Ale gdyby nawet dodać Simonowi dwadzieścia pięć kilo, nigdy nie wyglądałby jak ten mężczyzna na zdjęciu. Ten Carl Petersen miał dzieciinną okrągłą twarz. W żaden sposób nie da się jej pogodzić ze szlachetnymi rysami Simona. To przecież dwie różne twarze!

W twarzy człowieka z gazety było coś miękkiego, prawie kobiecego, podczas gdy ten, którego znała jako Simona, był uosobieniem męskości. Nawet wtedy, gdy jego życie spoczywało w jej rękach, pozostał hardy. Dwa dni temu, choć słabł z każdą chwilą, szarpał się z nią o kajdanki. Sam, w lesie, walczył resztkami sił o przetrwanie, zanim trafił do jej chaty. Mężczyzna na fotografiach robił wrażenie kogoś, kto poddałby się bez walki. Mężczyzna leżący w jej łóżku nigdy by się nie poddał. Koniec, kropka.

Ale istnieją też pewne niezaprzeczalne fakty. Simon zjawił się w jej chacie w obszarpanym mundurze strażnika więziennego z High Ridge. Trzymał ją na muszce, a w ciągu swojej wędrówki został trafiony kulą w nogę. Powiedział jej, że nazywa się Carl Petersen. Ma blond włosy i brodę, jak ten mężczyzna na zdjęciach w gazecie... No tak, ale to mężczyzna z fotografii uciekł z High Ridge, ten z okrągłą chłopięcą twarzą, a nie ten, który jest teraz w jej chacie.

Biorąc jeden z węższych zakrętów na Kalix Road, Tate mocno trzymała kierownicę. Włochata, czarna tarantula dreptała wzdłuż pobocza drogi, tuż na krawędzi pola widzenia Tate. Na jej widok zadrżała. Świat roił się od rzeczy, na które raczej nie powinna zwracać uwagi. A tak się dziwnie składało, że właśnie one pojawiały się w jej życiu i absorbowały. Simon do nich należał. Nie szukała go, a teraz, gdy ich losy niefortunnie się splotły, nie życzyła sobie, żeby wszystko posypało się w drzazgi.

Ale czy jej się to podoba, czy nie, Simon jest jak najbardziej realny i stanowi bardzo poważny problem. Jest także kłamcą, o ile nie zawodzą jej wzrok i instynkt.

Na ostatniej prostej przed domem dodała gazu. Musi to natychmiast wyjaśnić. Da mu tylko jedną szansę. Po czym, jeżeli jego wyjaśnienie nie usatysfakcjonuje jej, zadenuncjuje go albo... wyrzuci.

Była już blisko drogi wiodącej do chaty, kiedy nagle poczuła, że coś jest nie w porządku. Zwolniła, wlokła się prawie, wyostrając wszystkie zmysły i próbując wydedukować, co jest nie tak. Na drodze nie było nikogo, zaś z nieba, które pociemniało, jeszcze nie padało.

Zatrzymała samochód, opuściła szybę, pociągnęła nosem. Wzmagający się wiatr nie przyniósł ze sobą żadnego nieznanego zapachu, ani dymu z ogniska, ani krztyny zanieczyszczenia powietrza z przetwórnicy węgla drzewnego zlokalizowanej kilkadziesiąt kilometrów stąd na zachód.

A jednak chłodny wiatr wpadający do samochodu przyniósł rozwiązanie. W końcu usłyszała to, co ją zaalarmowało na początku i postawiło w stan pogotowia. Psy. Gromada psów, wyjących gdzieś w oddali.

Psy Willa? Wiedziała, że ma ich co najmniej kilka. Czasami, późnym wieczorem, kiedy było jeszcze na tyle ciepło, by spać przy otwartym oknie, słyszała ich szczekanie. Dźwięk niósł się dziwnym echem po uśpionych górach i czasami zdawało się, że psy szczekają pod jej oknem. Cinn, w rzadkich chwilach, kiedy czuł przyływ energii, dołączał swoje jedno lub dwa szczeknięcia, ją zaś, o dziwo, to ujadanie, zamiast złościć, napawało otuchą, działało na nią kojąco.

Ale ten harmider nie miał w sobie nic kojącego.

Wrzuciła jedynekę i ruszyła drogą prowadzącą do chaty. Szczekanie może oznaczać wszystko. W górach pełno jest zabłąkanych zwierząt. Czasami łączą się w stada i zagrażają żywemu inwentarzowi, dopóki miejscowi farmerzy ich nie wypłoszą. Może właśnie taka gromada wałęsa się gdzieś w pobliżu. A może wcale się nie wałęsa, tylko robi to, do czego dobre rasowe psy są wytresowane...

Przerzuciła na dwójkę i pomknęła drogą. Jej bronco podskakiwał i rwał jak jego imiennik*, ale nie zwracała na to uwagi. Chciała dotrzeć do Simona, zanim zrobią to psy.

Na wzniesieniu, po drugiej stronie domu, zahamowała. Przed chatą stała biała więzienna furgonetka. Obok niej samochód szeryfa.

Przez głowę przeleciały jej głupie, pełne paniki myśli i usłyszała, jak głośno je wypowiada:

- Człowiek przykuty do mojego łóżka? Chyba żartujecie. Ciekawe, jakim cudem tu się wziął?

Wiedziała, czym jest przerażenie. Kiedyś, jako czternastoletnia uciekiniarka, wpadła w szpony nowoorleańskiego stręczyciela. Teraz, na widok przedstawicieli prawa, poczuła podobny, gwałtownie narastający strach. Co ma im powiedzieć, jeżeli weszli do środka i znaleźli Simona? Nagle wszystkie jej argumenty, przemawiające za tym, żeby na niego nie donosić, przestały mieć sens. Niezależnie od faktu, że był przykuty do łóżka, kto jej uwierzy, że nie jest współniczką w jego ucieczce?

Odmówiła cichą dziękczynną modlitwę za to, że z powodu nierówności terenu okno sypialni znajduje się wysoko nad ziemią. Może nie próbowali, albo nie mogli, zajrzeć do środka. Może wystarczy, że z nimi pogada i odprawi ich w dalszą drogę.

Było za późno, żeby się wycofać i pojechać do Wirginii. Mężczyzna, w którym z daleka rozpoznała szeryfa Monroe'a Howarda, już ją zauważył i pokazywał na nią palcem. Zaczęła zjeżdżać ze wzgórza ku domowi. Będąc już blisko, uprzytomniła sobie, że ci inni

* Bronco - dziki, tylko częściowo ujarzmiony koń, żyjący na zachodnich równinach Stanów Zjednoczonych. (Przyp. tłum.)

dwaj mężczyźni to ludzie z High Ridge. Poznała ich po mundurach, tyle że nie były postrzępione jak ten, w którym zjawił się Simon.

Zatrzymała się obok furgonetki i wyłączyła zapłon. Dostrzegła, że drzwi chaty są zamknięte. Cinn leżał przed domem i udawał martwego. Miała nadzieję, że jego obecność podziałała odstraszająco.

Okazując maksymalny spokój, otworzyła drzwi auta i powoli wysunęła nogi.

- W taki pochmurny dzień aż się prosi o towarzystwo, nieprawda, panowie?

Podszedł do niej szeryf. Miał szpakowate włosy, ale był zbudowany jak zawodnik futbolu. Tate wiedziała, że są jakoś tam spokrewnieni, choć nie miała pojęcia, jak.

- Dzień dobry, panno Cantrell.

- Dzień dobry. - Poprzestała na tym, ale on nie powiedział nic więcej. - Jakiś problem? - dorzuciła.

- Można tak powiedzieć.

Jeden z funkcjonariuszy więziennych ruszył w ich stronę. Tate zaobserwowała, że drugi obchodzi wokół chatę.

- Dzień dobry pani. Nazywam się Jim Cooney i jestem z High Ridge. Przeczესujemy teren w poszukiwaniu mężczyzny, który zbiegł z więzienia tydzień temu. Coś pani o tym słyszała?

Tate jak nikt potrafiła udawać idiotkę. Ci mężczyźni są powolni w ruchach i w mowie, ale szybcy w myśleniu.

- Petersen? - zapytała. - Właśnie czytałam o nim w niedzielnej gazecie, którą kupiłam w miasteczku. Raczej nieszczęśliwa atrakcja turystyczna!

Jim Cooney zachichotał.

- W gazecie piszą, że szukacie go na południe stąd - ciągnęła. Pisali też, że prawdopodobnie wkrótce poszukiwania zostaną odwołane, co oczywiście okazało się nieprawdą.

- Tak było. Szukaliśmy tam, ale wygląda na to, że się pomyliliśmy. Według naszego obecnego rozeznania mógł zająć gdzieś tutaj.

- Dlaczego? Przecież stąd daleko do głównych szlaków.

- Niektórzy uważają, że mógł spłynąć rzeką. Przeszukiwaliśmy teren z psami i jakieś pół kilometra stąd znaleźliśmy kilka strzępów materiału. Wyglądają, jakby pochodziły z munduru. - Zaśmiał się znowu. - Był w mundurze. A ściślej, w moim mundurze.

A więc to był ten mężczyzna, którego Simon rozebrał do naga. Aż dziw, że mu tak wesoło.

- Cała jego ucieczka wydaje się zastanawiająca. Jak on to zrobił? Z gazety wynikało, że wymknął się przez okno, ale czyż okna więzienne nie są okratowane?

Cooney jakby się spieszył.

- W większości. Ale on znalazł jedno, które nie było okratowane. Teraz chcielibyśmy wiedzieć, czy możemy przeszukać dom i zabudowania. Pracujemy z psami, ale zanim tu dotrą, upłynie trochę czasu. Gdybyśmy znaleźli cokolwiek podejrzanego, ściągniemy je od razu.

- No cóż, możecie oczywiście szukać, ale oszczędzę wam trudu co do chaty. Niedawno z niej wyszłam. Trudno więc sobie wyobrazić, żeby ktoś mógł tam być.

- Tak by się mogło zdawać, proszę pani. Ale jak długo przebywała pani poza domem? Od rana? Ktoś mógł tam wejść podczas pani nieobecności.

Tate zdobyła się na nikły uśmiech.

- Przy Cinnie, pilnującym drzwi? To zabijaka.

- Mimo wszystko poczulibyśmy się lepiej, gdybyśmy sprawdzili.

Za to ona poczuje się znacznie, ale to znacznie gorzej. Postanowiła wykorzystać ostatnią kartę.

- Niech więc będzie. Ja pójdę do środka, a wy obejdźcie zabudowania. Jeżeli zauważę coś podejrzanego, krzyknę. - Zatrzasnęła drzwi samochodu i zaczęła iść w stronę domu.

Szeryf Howard od razu znalazł się przy niej.

- Nie pozwolę, żeby córka Miliarda weszła do tego domu sama. Może nie czujesz jeszcze, że jesteśmy rodziną, ale wiedz, że my potrafimy zatroszczyć się o swoich.

Nie miała czasu zastanawiać się nad jego słowami. Myślała intensywnie, jakby go zniechęcić. Gdyby tylko dotarła do Simona i zdjęła mu kajdanki, mogłaby mu jeszcze jakoś pomóc.

Gdy podeszli do ganku, Cinn nadal leżał w poprzek drzwi. Wyglądało na to, że szeryf Monroe Howard miał z nim już wcześniej do czynienia. Szturchnął psa czubkiem buta, aż ten otworzył oczy.

- Zjeżdżaj!

Cinn uderzył ogonem o podłogę, ale nie ruszył się z miejsca.

- Tęskni za Miliardem - powiedział szeryf.

- Po czym to poznać?

- Wszyscy za nim tęsknimy. - Otworzył drzwi, ale ręką dał znak Tate, żeby się cofnęła.

- Najpierw sam się rozejrzę.

- To wszystko jest zupełnie niepotrzebne - upierała się, mówiąc najgłośniej, jak mogła.
- Jestem pewna, że wszyscy mocno przesadzacie. Kilka strzępów materiału o niczym nie świadczy.

- Może. Są w trakcie analizy. - Wchodząc do środka, szeryf Howard wyciągnął rewolwer. Nim Tate zdążyła powstrzymać Cinna, ten poderwał się z ganku i ruszył za mężczyzną.

Szeryf zlustrował pomieszczenie, a rewolwer poruszał się równoległe z jego wzrokiem. Następnie zadarł głowę i spojrzał na poddasze. Znaczna jego część, poza najodleglejszymi narożnikami, była widoczna z dołu.

Gestem ręki, w której trzymał rewolwer, zasygnalizował chęć wdrapania się tam i sprawdzenia. Przemierzył pokój. Cinn go nie odstępował. Kiedy i ona zaczęła wchodzić do chaty, mając nadzieję, że zajrzy do sypialni, gdy szeryf będzie sprawdzał poddasze, znów ruchem ręki kazał jej się cofnąć.

Jej możliwości skurczyły się do zera. Może już tylko czekać, aż odnajdą Simona.

Po paru sekundach szeryf zszedł na dół. Ruszył do sypialni, gdzie w drzwiach stał Cinn. Tate zignorowała żądanie szeryfa i, trzymając się na pewną odległość, podążyła za nim.

Zawahał się, następnie mocno popchnął drzwi i odskoczył do tyłu, by uniknąć ewentualnego strzału.

W chacie panowała cisza. Wychylił się więc do przodu i zerknął w stronę łóżka, a następnie wszedł do środka, gdzie przed chwilą zniknął pies. Tate nie pozostało nic innego, jak pójść za nimi.

Już od progu zobaczyła, że łóżko jest puste. Było starannie zasłane, a pokój posprzątany. Nic nie wskazywało na to, że kogoś tutaj zakuto w kajdanki. Obok łóżka, na podłodze, z nosem na łapach i z tęsknym wzrokiem, leżał Cinn.

Szeryf ukucnął obok Cinna i zajrzał pod łóżko, następnie podszedł do szafy i otworzył ją. Oszołomiona Tate zobaczyła, że nawet miska i apteczka zniknęły.

Podobnie jak rewolwer Jima Cooney'a.

- No i miałaś rację. Nikogo tu nie ma. Ale nie zawadziło sprawdzić - powiedział szeryf.

- Jasne.

- Nie podoba mi się, że mieszkasz tu sama, bez telefonu, zwłaszcza kiedy ten z High Ridge wyrwał się na wolność. Jo Ann i mnie będzie miło cię gościć u nas do czasu, kiedy go złapią. Wiem, że Will i Dovey też by cię chętnie wzięli do siebie.

Tate wytrzeszczyła oczy. Jakby nie rozumiała, co do niej mówi. W końcu potrząsnęła głową.

- Dzięki za propozycję. Ale mam jeszcze masę roboty przed zimą.

- No cóż, jesteś dzieciakiem Miliarda, a więc wiesz, co robisz. W porządku. Tylko uważaj na siebie. - Nasunął kapelusz i dużymi krokami przemaszerował przez sypialnię, znikając w drzwiach prowadzących do głównego pomieszczenia. Po chwili trzasnęły drzwi wejściowe.

Gdy skończyli sprawdzać teren, zaparzyła i poczęstowała ich kawą, zdawała się też przysłuchiwać rozmowie, kiedy oddawali się domysłom, gdzie też ten Carl Petersen mógł zniknąć. A kiedy odjeżdżali, nawet im pomachała ręką na do widzenia.

Ale przez cały ten czas tylko jedna myśl jej nie opuszczała. Gdzie podział się Simon i jak tego dokonał?

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Nie wiedziała, czy gorzej jest mieć Simona w chacie jako więźnia w swojej sypialni, czy może gorzej jest, gdy przebywa znowu na wolności. Wszechobecny, wyczaiący z każdego kąta, zza każdego drzewa.

Nie była pewna. Wiedziała tylko, że nie lubi niespodzianek, zwłaszcza gdy chodzi o uzbrojonych zbiegów. A nie ulegało wątpliwości, że Simon jest teraz uzbrojony.

Słońce zachodziło za górną krawędź lasu, gdy porzucała względne bezpieczeństwo, jakie dawały cztery ściany chaty, i udawała się po drewno na opał. Cinn leżał w wydłużonym cieniu wędzarni i nie spuszczał z niej wzroku. Otrząsnęła się z przykrego uczucia, że oto jeszcze jedna para oczu śledzi jej ruchy. Simon, jeśli w ogóle to imię miało cokolwiek wspólnego z mężczyzną, który okupował jej łóżko, z pewnością kuśtyka teraz w kierunku Memphis.

- Co z ciebie za stróż? - zawołała do psa. Cinn, choć się nie ruszał, obserwował każdy jej ruch. Wystarczyło, iż poczuł, że w chacie nie ma mężczyzny, by zdezerterował. - Mogliby mnie zastrzelić, a ty, co najwyżej, dopilnowałbyś pogrzebu! - Zorientowała się, że odreagowuje stres i frustrację na wyjątkowo niemrawym zwierzęciu, któremu, jak się wydaje, bynajmniej to nie przeszkadzało.

Zdjęła z kołka kraciatą kurtkę ojca i zabrała się za rozłupywanie siekierą klocków drewna na mniejsze kawałki. To była wyczerpująca praca. Kiedy ją po raz pierwszy wykonywała, siekiera odskoczyła od klocka i zmierzała prosto ku jej nodze. Gdyby trafiła, mogłaby tu wykrwawić się na śmierć, czyli umrzeć samotnie. Podobnie jak w tamten wieczór, kiedy Simon złożył jej wizytę, gdyby tylko okazał się innym człowiekiem.

Co ona najlepszego robi pośrodku nieistniejącego miejsca na mapie, z mordercą, który wyrwał się na wolność? Czy po ojcu, człowieku, którego nigdy nie знаła, odziedziczyła upodobanie do pustelniczego życia? Była krwią z jego krwi? To jakieś czyste wariactwo!

Teraz wyżywała się w pracy i już po paru chwilach miała całą naręcz drewna. Wprawiała się w machaniu siekierą. Była też ekspertem od palenia w piecu. Nauczyła się sadzić drzewka sosen i posługiwać się starym pługiem ojca. Przekopła nim dużą połąć ogrodowej działki, która rozkwitnie na wiosnę. Poznała nawyki gęsi i nazwy ptaków zamieszkujących las.

A wszystko to po co? W jakim celu?

Wracała z drewnem do domu. Słońce jeszcze nie dotknęło wierzchołków drzew. Dzień zdawał się nie mieć końca, pewnie noc będzie jeszcze dłuższa. Każdy odgłos, każdy cień i poruszenie na dworze mogą oznaczać czyhającego na nią Simona.

I gdzie on teraz jest? Jego noga nie jest jeszcze na tyle zdrowa, żeby unieść ciężar ciała. Nie ma tutaj zwalniających pociągów, do których można by wskoczyć, nie ma też potężnych, osiemnastokolowych ciężarówek, którymi wyjęci spod prawa mogliby podróżować autostopem. Będzie musiał opuścić ten górzysty teren na własnych nogach. Na jednej nodze... skacząc jak kangur.

Przypomniała sobie jego żart. Przypominała sobie wiele rzeczy z nim związanych, jak na przykład to uczucie, które towarzyszyło jej od początku, że jest on kimś więcej, niżby można sądzić. Czy nie dlatego zaryzykowała własne bezpieczeństwo i zaopiekowała się nim? Ponieważ wierzyła, na przekór wszystkim dowodom, że jest niewinnym człowiekiem?

Przy drzwiach odchyliła się do tyłu i opierając na piersi naręcz, wysunęła spod niej jedną rękę i przekręciła gałkę. Kilka dni wcześniej, gdy wchodziła w ten sam sposób, w jej życiu nastąpił nieoczekiwany zwrot. Jeszcze niejedną raz będzie przeżywać tę chwilę, jak i wszystkie inne, które po niej nastąpiły. Simon uciekł z więzienia, by wkroczyć w jej życie. Na dobre i na złe. A przy okazji zmusił ją, by uświadomiła sobie, że ona również uciekała przed życiem, które dla innych nie stanowiło problemu.

- Zastanawiałem się, gdzie jesteś.

Tate stała w otwartych drzwiach. Dwa polana zsunęły się z naręczy i poturłały od drzwi do stóp Simona.

Szok był tak wielki, że musiała zamknąć oczy, ale obraz Simona stojącego przed nią, z niedbale opadającym pasem rewolwerowym, wcale nie zniknął.

- Przepraszam, jeżeli cię przestraszyłem - powiedział.

- Witaj, zaczynam się przyzwyczajać. - Tate otworzyła oczy. Obraz nie uległ zmianie.

- Towarzystwo wyniosło się?

- Próbowałam zatrzymać ich na herbacie, ale wiesz, jak ci ludzie są zapracowani... spieszyli się. Są tacy gorliwi...

Przelotny uśmiech złagodził nieco rysy jego twarzy.

- Tak, wiem. Lepiej niż ktokolwiek.

- Nie będziesz miał nic przeciwko temu, że odłożę to drewno? - Przemierzyła pokój i położyła bierwiona obok paleniska. Wzięła pogrzebacz i poruszyła nim kilka kawałków węgla drzewnego, tłących się od czasu porannego palenia. Kiedy się wyprostowała, nadal trzymała w ręku pogrzebacz.

Nie słyszała, jak stanął za nią, ale kiedy się odwróciła, już tam był. Podał jej dwa bierwiona, które upuściła.

Z pogrzebaczem w ręku trudno jej było je odebrać. Zorientowała się, że rozszyfrował jej wahanie.

Sam wrzucił kawałki drewna do paleniska.

- Tate, gdybym zamierzał zrobić ci krzywdę, miałem tysiąc innych okazji. Zapomnij o tym, co, jak sądzisz, wiesz o mnie, i skoncentruj się na tym, kim naprawdę jestem.

- Naprawdę wiem tylko tyle, że nie masz na drugie imię Simon. I wiem, że fotografia mężczyzny, który był sądzony w Little Rock, nie bardzo cię przypomina.

- Odłóż pogrzebacz i pozwól, że ci to wytłumaczę.

- Już raz tłumaczyłeś. Zapomniałeś?

- Kłamałem.

- Niestychane! Od razu poczułam się lepiej.

- Chciałem dość do siebie. - Simon odwrócił się plecami, był bezbronny, gdyby zdecydowała się go zaatakować.

Zaciskała pogrzebacz w rękach, ale nie była w stanie się zamachnąć. Patrzyła na niego, jak opada na sofę na wprost paleniska. Wcześniej odpiął pas z kaburą i położył go na sąsiednim krześle. Gdy usiadł, rewolwer znalazł się poza jego zasięgiem.

Stała bokiem do paleniska, dorzucając zmięte gazety i sosnowe szczapy. Następnie, gdy ogień chwycił, dołożyła najmniejsze bierwiono. Jej myśli krążyły w kółko jak szalone. Po dodaniu kolejnego kawałka drewna poczuła, że dłużej nie wytrzyma napięcia.

Gdy już nic nie zostało do zrobienia, usiadła na krześle na wprost tego, na którym Simon położył rewolwer. Oparty o ruszt paleniska pogrzebacz znalazł się poza zasięgiem jej ręki.

- Poddaję się - powiedziała. - Gdzie byłeś i jak się uwolniłeś?

- Byłem pod łóżkiem.

- Nie wciskaj mi kitu. Cinn i szeryf zaglądali pod łóżko. Ja też tam kilka razy zaglądałam.

- I wiesz, co pod nim jest?

- Przestrzeń pozaziemska? Inny wymiar czasu? - zapytała sarkastycznie.

- Muzeum.

Kiedy zmienił pozycję, dostrzegła na jego twarzy skurcz bólu. W całym tym zamieszaniu prawie zapomniała o jego nodze. Wstała i zanim pomyślała, co robi, przeszła dzielącą ich odległość.

- Pozwól, że rzucę okiem. - Uklękła i zaczęła podwijać nogawkę kombinezonu, który najwidoczniej wziął z szafy.

- Nie boisz się?

Nie traciła czasu na udzielanie odpowiedzi. Bandaż, który rano tak starannie założyła, teraz był popstrzony krwią.

- Mówiłam, żebyś jej nie obciążał! Teraz masz za swoje.

- Miałbym za swoje, gdyby Jim Cooney znalazł mnie przykutego łańcuchem do łóżka. Tate usiadła z powrotem, obejmując rękami kolana.

- Powiedz, jak się wydostałeś?

- Jakies dwadzieścia minut po twoim odjeździe usłyszałem szczekanie psów. - Simon przechylił głowę, oparł ją na sofie i zamknął oczy. Czuł się paskudnie, był zły, że te proste czynności tak bardzo go wyczerpały. - Już wcześniej wykradłem klucz od kajdanków i kłódkę, a otworzyłem je wkładem do długopisu, który znalazłem w koszuli twojego ojca.

Nie była pewna, czy bardziej dziwi ją fakt, że wykradł klucz, czy to, że jej ojciec używał czegoś tak nowoczesnego jak długopis.

- Nauczyłeś się tej sztuczki w High Ridge?

- Nie ma takiego zamku, którego bym nie otworzył.

- Co miałeś na myśli, mówiąc o muzeum pod łóżkiem?

- Jest tam zapadnia. Nie znalazłbym jej, ale kiedy ubrałem się i pozbierałem dowody rzeczowe, zaszczeakał pies.

- Cinn nie szczeka.

- Tym razem zaszczeakał. Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem podjeżdżającą więzienną furgonetkę. Wiedząc, że nie zdążę uciec, zacząłem się rozglądać za miejscem, gdzie można by upchnąć łańcuch i kajdanki.

- A ty sam?

- Zamierzałem uciec przez komin. - Mówiąc to, lekko się uśmiechnął. A był to jego pierwszy prawdziwy uśmiech, jaki zobaczyła, i na moment zapomniała o wszystkim innym, zniewolona jego czarem. Ale tylko na moment.

- Niezły z ciebie numer.

Simon otworzył oczy i zatrzymał wzrok na niej. Przynajmniej to go nie męczyło. Nawet w dzinsach była piękną kobietą. Jeszcze rano myślał, że już jej więcej nie zobaczy. A raczej... postanowił, że jej więcej nie zobaczy. Teraz, po ciężkim i denerwującym dniu, poczuł się prawie tak, jakby wyrok został odroczoney.

- Dlaczego nie powiedziałaś o mnie szeryfowi? - zapytał.

- Skąd wiesz, że nie powiedziałam? Popatrz na nią uważniej.

- Miałaś po temu okazję parę dni temu i nie skorzystałaś z niej. Ale dlaczego nie wydałaś mnie teraz, kiedy mogłaś, gdy nikt by cię nie podejrzewał, że udzieliłaś mi schronienia?

- Uznałam, że twoja historia jest tak ciekawa, że chciałabym poznać jej dalszy ciąg.

- Powiedzmy, że tak jest naprawdę. - Podniósł rękę, żeby uprzedzić jej protest. - No więc postanowiłem przeciągnąć łańcuch i kajdanki przez sprężyny, które są pod spodem materaca, tak żeby ich nie zobaczyli. Będąc pod łóżkiem, zauważyłem, że wszystkie deski na powierzchni ponad metra schodzą się w tym samym miejscu. Kiedy się lepiej przyjrzałem, stwierdziłem, że to są drzwi do piwnicy. Doskonale ukryte.

Tate zmarszczyła czoło.

- Rzeczywiście jest tu piwnica, coś w rodzaju spiżarni, ale nie głębsza od stojącej szafy. Daleko nie sięga, a gdy tam raz byłam, nie zauważyłam w suficie żadnej kłapy.

- Bo, jak sądzę, od muzeum oddziela ją kolejna ściana.

- Jakie znów muzeum? - zirytowała się.

- Zejdiesz tam, to sama się przekonasz. Nie potrafię ci tego wytłumaczyć.

No i zabrnęliśmy w ślepią uliczkę, pomyślała. Jakkolwiek by to nie było interesujące, jest inny, znacznie ciekawszy temat. I o wiele poważniejszy.

- Dlaczego mnie okłamałaś? I kim ty właściwie jesteś? Ciągle jeszcze ją obserwowałam, jakby się zastanawiał, co jej odpowiedzieć.

- Tylko tym razem nie kłam - ostrzegła go. - Nie mam nastroju do wysłuchiwanie kolejnych bajek.

- Chyba byłoby bezpieczniej, gdybym znów skłamał. Bezpieczniej dla ciebie.

- Ale nie dla ciebie.

- Naprawdę byłoby lepiej, żebyś nie wiedziała. A poza tym, masz prawo w to nie uwierzyć.

- Niewykluczone, że masz rację.

Zapadło dłuższe milczenie. Już zamierzała postawić mu ultimatum, gdy zaczął mówić.

- Nie jestem Carlem Petersenem, choć gdyby go pozbawić jedzenia na miesiąc czy dwa, można by się dopatrzeć między nami pewnego podobieństwa. Mamy takie same wąsy i brodę... ale na imię naprawdę mam Simon.

- Jak to możliwe, że nikt tego nie zauważył? Znaczy, że ty nie jesteś Petersenem...

- Nie było powodu, dla którego ktokolwiek w High Ridge miałby śledzić przebieg procesu Petersena, który częściowo odbywał się przy zamkniętych drzwiach. Ze względów

prestżowych bank wolał nie nagłośnić tej sprawy. Po procesie przez parę miesięcy Petersen był przetrzymywany w Teksasie. Potem przekazano opinii publicznej, że przeniesiono go do High Ridge, które jest więzieniem federalnym.

- Znowu tam?

- Akurat teraz siedzi pod kluczem zupełnie gdzie indziej. Następnie zostanie przetransportowany do Leavenworth, gdzie odsiedzi krótszy wyrok, ponieważ poszedł na współpracę z nami...

- Z wami?

- Z Departamentem Sprawiedliwości. Tate wytrzeszczyła oczy.

- No tak - powiedziała w końcu. - Jesteś więc jednym z tych grzecznych chłopców z FBI...

Skrzywił się.

- To kwestia oceny. Funkcjonariusze więzień także powinni być grzecznymi chłopcami, pilnującymi prawa, ale czasami nie są. Czasami mordują więźniów i defraudują pieniądze, tak samo jak przestępcy, których mają pilnować.

- A więc jesteś agentem FBI i zostałeś wsadzony do High Ridge pod przybranym nazwiskiem, po to, żeby zdemaskować jakiegoś funkcjonariusza?

Uśmiechnął się, słysząc jej cyniczny ton.

- Nie.

- Co nie?

- Nie jestem etatowym agentem FBI. Pracuję na własną rękę, a Departament Sprawiedliwości czasami zleca mi jakieś zadanie i płaci mi za to.

- Czyżby nie mieli własnych pracowników?

- Mają, i to bardzo dobrych, ale czasami potrzebują takich jak ja... wolnych strzelców.

Zastanawiała się chwilę.

- Więc powiesz mi w końcu, dlaczego znalazłeś się w High Ridge?

- Sam bym chciał to wiedzieć.

Tate podniosła się z krzesła i podeszła do paleniska. Wybierając kolejne bierwiono, starała się nie stać tyłem do Simona.

- To raczej nie brzmi sensownie.

- Bo też trudno dopatrzeć się w tym sensu. Mężczyzna o nazwisku Josiah Gallagher, funkcjonariusz Departamentu Sprawiedliwości, poprosił mnie, żebym się wcielił w Petersena. Gallagher jest moim starym przyjacielem... - Urwał i zaśmiał się gorzko. - Powinienem raczej powiedzieć: był. Miałem wobec niego dług, a on postanowił odebrać należność. Zgodziłem

się na jego propozycję i pozwoliłem się zamknąć w High Ridge jako Petersen. Departament chciał mieć tam kogoś, kto by na miejscu zbadał oskarżenia o panujące w więzieniu nieludzkie, niezgodne z prawem warunki. Poza tym Gallagher chciał, żebym się zbliżył do dwóch przestępców z Oklahoma City, którzy wkrótce mieli wystąpić o warunkowe zwolnienie. Chciał wiedzieć, co planują po wyjściu z więzienia. Podejrzewano, że mogli się dogadać z Carlem Petersenem.

- Po co?

- Ponieważ Petersen jest specem od przekrętów komputerowych, a tym dwóm zależało na informacji, jak by najlepiej prowadzić swoje kanty w dwudziestym pierwszym wieku. A ponieważ Gallagher rzadko pułkuje...

Tate stanęła plecami do ognia.

- Zakładając, że to nie jest jedno z kolejnych twoich kłamstw, co takiego zaszło w High Ridge, że musiałeś uciekać? Dlaczego po prostu nie zadzwoniłeś do swojego przyjaciela Gallaghera?

- Miałem tam spędzić najwyżej miesiąc. Później, bez żadnego uprzedzenia, czy to ze strony Gallaghera, czy kogokolwiek z Departamentu, zrobili się z tego dwa, a następnie trzy miesiące. Nikt w High Ridge nie wiedział, że jestem wtyczką. Zdobyłem wiele informacji, ale nikt się po nie nigdy nie zgłosił. Podczas drugiego tygodnia mojego tam pobytu kapitan Shaw poczuł do mnie sympatię.

Choć cała ta historia wydawała się nieprawdopodobna, Tate zaczynała w nią wierzyć. Żaden aktor nie wypowiedziałby ostatniego zdania z tak powściąganym jadem.

- Kapitan Shaw, naczelnik?

- Ten sam. Jest też mordercą i złodziejem.

- To ty tak mówisz.

- Mam dowód... a raczej miałem.

- Straciłeś go, oczywiście.

- W końcu, kiedy się płynie w dół rzeki w środku nocy, i jest się półżywym, umierającym z każdą minutą, coś takiego może się zdarzyć.

- O czym my właściwie mówimy?

Miał spokojny wzrok i patrzył jej w oczy. Pomyślała, że jeśli kłamie, to jest w tym mistrzem.

- Dobry pan kapitan przeniósł mnie do więziennego biura tak szybko, jak tylko pozwalała na to przyzwoitość. Powiedział, że powinienem wykorzystać umiejętności komputerowe w dobrej sprawie. Już po pierwszym dniu przeniósł mnie do swojego gabinetu, tak,

żeby nikt o tym nie wiedział. Oficjalnie co wieczór, między szóstą a ósmą, miałem korzystać z biblioteki prawniczej. Potem strażnik miał mnie przyprowadzać do gabinetu Shawa, dawać kolację i pilnować w czasie, gdy fałszowałem więzienne rachunki.

- Fałszowałeś rachunki?

- Otrzymane rachunki, rachunki do zapłacenia i rachunki odprowadzane na osobiste konto Shawa. - Kiedy po wyrazie jej twarzy zrozumiał, że zaczyna kapować, pokiwał głową. - To nie takie trudne, trzeba tylko znać się na komputerach. A ja się znam.

- Powiedziałeś, że kapitan Shaw jest mordercą.

- Mniej więcej po miesiącu wykonywania tej brudnej roboty powiedział, żebym zaczął redagować więzienne pliki. Redagować, czyli zmieniać lub tuszować fakty, których nie chciał zachować w głównej kartotece, na przykład takie, jak liczba podejmowanych ucieczek, przyczyny czyjejś śmierci etc. Musiałem łamać szyfry, znajdować hasła i wchodzić do sieci stanowej, a czasami nawet do federalnych komputerów. Do tego trzeba być niezłym specem, tak zwanym hakerem. A haker to najczęściej przestępca. Żaden z opłacanych przez niego ludzi nie był na tyle dobry, by temu sprostać. Do takiej pracy najlepiej nadaje się więzień, ponieważ gdy ją kończy, po prostu znika.

Choć Tate stała przy ogniu, poczuła dreszcz zgrozy.

- Znika, czyli zostaje zamordowany?

- Nie byłbym pierwszy. Dwaj faceci, wsadzeni za przestępstwa komputerowe, po zakończeniu pracy dla kapitana zostali zabici, rzekomo przez współwięźniów. Shaw sądził, że ich więzienna kartoteka została odpowiednio „skorygowana” i że nikt nie powiąże ich zniknięcia z nim, ale ja znalazłem utajniony plik. Drugi z facetów, gdy zorientował się, co się dzieje, zachował te dane, zaś Shaw za mało się na tym znał, żeby je usunąć. Jest też inna informacja, która mogłaby pogрузić Shawa.

- I to było na dyskietce, którą znalazłam w twojej kieszeni?

Milczał. Jego oczy mówiły same za siebie.

- Znalazłam ją. Myślałeś, że ją zgubiłeś w rzece?

- Miałem dwie dyskietki. Widocznie jedną zgubiłem. A drugą masz ty.

- Czy po tym, jak zamokła w wodzie, może się jeszcze na coś przydać?

- Chyba nie. Ale kapitan Shaw nic o tym nie wie.

- I dlatego zmontowano taką wielką obławę. Skinął głową.

- Petersen nadużył pełnionej przez siebie funkcji i dopuścił się przestępstwa. Kiedy został przyciśnięty do muru, zastrzelił kontrolera bankowego, ale nie jest niebezpiecznym kryminalistą. Kiedy ucieka ktoś taki jak on, to po paru tygodniach zostaje schwytyany, nawet

jeżeli już nikt go nie szuka. Wpada za pogwałcenie przepisów drogowych albo próbując podjąć gotówkę na lewy czek. Nikt nie ma powodu obawiać się czegokolwiek za strony takiego człowieka jak Petersen.

- Nikt poza Shawem.

Simon podniósł się z miejsca, a Tate powstrzymała się, by nie kazać mu siedzieć. Już nie miała nad nim kontroli i dotarło to do niej z całą jaskrawością. Kulejąc, ruszył w jej stronę, a ona zastanawiała się, czy nie sięgnąć po pogrzebacz.

- Już niedługo miałem być tym następnym więźniem, który kończy gwałtowną śmiercią. - Zatrzymał się parę metrów od niej. - Stopniowo przestawałem być przydatny. Shaw zaaranżowałby jakiś wypadek, a po mnie pozostałoby tylko wspomnienie.

- Wciąż nie powiedziałaś, dlaczego nie skontaktowałeś się z kimś z Departamentu Sprawiedliwości.

- Wychodzące z High Ridge telefony są monitorowane, a numery sprawdzane. Poza tym, odkąd zacząłem pracować dla kapitana, zabroniono mi jakichkolwiek telefonów.

- A przez komputer? Chyba mogłeś połączyć się z komputerem Departamentu i zostawić Gallagherowi wiadomość?

- Zastanawiałem się nad tym. Ale, jak już mówiłem, miałem zostać w High Ridge nie dłużej niż miesiąc. A upłynęły trzy i nie otrzymałem słowa od Gallaghera.

- Może zaszła jakaś pomyłka...

- Żadna pomyłka.

Próbowała połączyć fakty w całość, ale okazało się to zbyt skomplikowane.

- Ująłbym to prościej. - Kulejąc, Simon zbliżył się do ognia, żeby ogrzać ręce. - Gallagher zostawił mnie, żebym tam zgnił albo został zamordowany. Nie wiem, dlaczego to zrobił, ale wiedziałem na pewno, że nie powinienem zwracać się z tym do Gallaghera, tak jak nie zrobię tego teraz. Chciał mojej śmierci. Nie mam cienia wątpliwości, że ci ludzie, którzy przeszukują teren, działają z jego polecenia.

To była niedorzeczna historia, choć, w przeciwieństwie do poprzedniej wersji, tutaj wszystkie elementy do siebie pasowały. Nie poruszył tylko jednego.

- A co powiesz o Erin?

Simon oparł się o ścianę, stawiając nogę na obudowie paleniska, żeby jej nie przeciążać.

- Źle mnie zrozumiałaś. Albo się przesłyszałaś. Nie Erin, ale Aaron. To kwestia wymowy. Nie ma żadnej Erin.

- Ktoś tu coś kręci, ale na pewno nie ja! - zachnęła się Tate.

- Aaron. Na początku jest litera a, nie e. Aaron Reynolds, płeć męska. Jest agentem. Josiah, Aaron i ja razem rozpracowywaliśmy tworzącą się na północnym zachodzie mafię. Omal nie zostałem zabiły. Josiah uratował mi życie, a także Aaronowi. To miałem na myśli, mówiąc, że mam wobec niego dług. Po tym wszystkim Aaron przeszedł w stan spoczynku. Teraz mieszka w Memphis. Prowadzi firmę ochroniarską i w każdy weekend łowi ryby, ale jak znam Aarona nadal trzyma rękę na pulsie tego, co dzieje się w Waszyngtonie. Jedyne Aaron może wywęszyć, dlatego Gallagher chce mnie wyeliminować z tej gry.

Żeby to wszystko zrozumieć, Tate musiałaby zadać jeszcze wiele pytań. Ale nie była w stanie zebrać myśli. Stała i w milczeniu przyglądała się Simonowi.

Wiedział, że ma wszelkie podstawy, by mu nie wierzyć. Zwłaszcza że już raz nadużył jej zaufania. Ku własnemu zdziwieniu stwierdził, że jest jedną z tych nielicznych osób w jego życiu, na których opinii zależy mu najbardziej. Ale przecież nie zmusi jej, żeby mu uwierzyła. Jest niezależna i uparta, co tylko dodaje jej jeszcze większego uroku.

- Najlepiej chwyć pogrzebacz i uderz mnie - odezwał się po chwili. - Teraz albo nigdy, Tate. Możesz mi wierzyć albo nie, ale zdecyduj się. Teraz już wiesz, że przykuwanie mnie łańcuchem do łóżka niczego nie załatwia. - Uśmiechnął się lekko. - Prawdę mówiąc, nigdy niczego nie załatwiało.

- Dlaczego tu zostałeś? Mogłeś wyjść frontowymi drzwiami, kiedy ja wyszłam tylnymi jakiś czas temu. Mogłeś odejść i nigdy mi tego wszystkiego nie opowiadać.

Odpowiedź była bardziej bolesna niż wszystko, czego doświadczył podczas całej ucieczki.

- Ponieważ nie mogę tego zrobić o własnych siłach. Chciałbym, ale nie mogę. Myślałem, że będę mógł. Usłyszałem rano, jak odjeżdżasz, i pomyślałem, że uwolnię cię od siebie raz na zawsze. Zamierzałem zgolić brodę, przedostać się do sąsiedniego hrabstwa i złapać jakąś okazję do Memphis. Nigdy nie powinnaś była poznać tej prawdy o mnie.

- Dlaczego? Uważam, że powinieneś od razu mi to wszystko powiedzieć. Co ci przyszło z kłamstwa?

- Wiedza o tym wszystkim mogłaby cię narazić nawet na śmierć. - Zdenerwowany, przeciągnął rękami po włosach. - Jeden Bóg wie, kto mnie tropi, i czy w końcu nie wpadną na twój ślad. A już oni potrafią wydobyć prawdę z każdego! A kto by się przejął zniknięciem samotnej młodej kobiety, mieszkającej na odludziu w górskiej chacie, kobiety, która wiedziała o sprawach, o których nie powinna wiedzieć?

Na myśl o tym przeszedł ją dreszcz, ale szybko wzięła się w garść.

- Mylisz się. Nie jestem na tym świecie sama. Jess Cantrell na pewno by się przejął. A kiedy Jessa coś poruszy, wywróci do góry nogami cały świat, żeby poznać prawdę.

- Cantrell, ten znany dziennikarz? Autor tych głośnych reportaży?

- Tak. To mój ojciec.

- Sądziłem, że twój ojciec nie żyje...

- Jeden żyje, a drugi nie, ale to długa i skomplikowana historia. Moim zniknięciem mógłby także przejąć się wujaszek Grady. Wiesz, o kim mówię? O sławnym prokuratorze stanowym z południowej Florydy, Gradym Claytonie. Ważna postać. Podejrzewam, że szeryf z Mountain Glade też by się przejął moim zniknięciem. Podobno jest jakoś ze mną spokrewniony. Nie ma takich chodów jak Grady czy Jess, ale gdybym go potrzebowała, zrobiłby wszystko, co trzeba.

- Dużo masz jeszcze tej rodziny?

- Więcej niż myślałam - odparła z lekkim uśmiechem.

- Ale na razie te wzgórza roją się od ludzi, którzy chcą mnie zabić. Być może i ciebie.

Narażasz się.

- Owszem, ale przyznaj, że potrzebujesz mojej pomocy.

- No... niby taak... - Przeciągał słowa, jakby mu było nie w smak.

- Nie powiem, żebyś był jakoś szczególnie wdzięczny i uprzejmy.

- Nie mam w tym żadnej praktyki.

W zachodzącym świetle dnia dojrzała jego pobladała twarz. Nie ruszył się, nie próbował usiąść. Dostatecznie go poznała, by wiedzieć, że nigdy nie okaże słabości, chyba że straci przytomność.

- Co chcesz, żebym zrobiła? - zapytała.

- Uważam, że jeszcze możesz wybierać: albo weźmiesz pogrzebacza i uwolnisz mnie od problemów, albo przechowasz mnie, dopóki nie stanę mocniej na obu nogach, a oni nie skończą przeczesywać okolicy.

- Dobrze, że masz przynajmniej na tyle rozumu, by wiedzieć, że kiedy stąd pójdziesz, mogą cię złapać.

- Szkoda tylko, że nie mam wielkiego wyboru. Instykt podpowiadał jej, żeby mu pomóc. Nie była aparatem do wykrywania kłamstw, ale na tyle znała się na ludziach, by wiedzieć, że tym razem Simon mówi prawdę.

A jeżeli się myli? Jeżeli to tylko kolejna opowieść, mająca ukazać go w dobrym świetle, jako człowieka znajdującego się po właściwej stronie, po której może wcale nie jest?

Gdy tak zastanawiała się nad jego słowami i swoim wyborem, pojawiła się trzecia opcja.

- A gdybyś wcale nie musiał jechać do Memphis? Gdybym to ja pojechała do miasteczka i zadzwoniła do Aarona?

- Wtedy byś się przekonała, że mówię prawdę.

- Aaron mógłby ci pomóc.

- To dobry pomysł, tyle że niewykonalny. Zdziwiona, uniosła brwi.

- Gdybym dotarł do Aarona od razu po ucieczce, mogłoby się udać. Teraz zaś jego telefon prawie na pewno jest na podsłuchu. Gallagher wie, że Aaron będzie pierwszą osobą, z którą zechcę się skontaktować.

- A gdybym zadzwoniła z publicznego telefonu?

- Wtedy uzyskają namiar na tę okolicę. Bez najmniejszego trudu.

- Tak mówisz, jakbyś wszystko z góry wiedział.

- Bo wiem.

- Więc nie będę miała okazji sprawdzić, czy kłamiesz.

- Nic straconego. - Skrzywił się, przenosząc ciężar ciała na obie nogi. Był zły, że okazał słabość. - Możesz wykonać inny telefon. Pojedziesz do miasteczka i zadzwonisz pod wskazany przeze mnie numer. Tylko nic nie mów, a słuchaj uważnie. Przy odrobinie fartu może przekona cię to, co usłyszysz.

Kiedy nie padły dalsze wyjaśnienia, wzruszyła ramionami.

- I chcesz powiedzieć, że zastanę cię po powrocie?

- Tak.

Jeszcze się wahała.

- I chcesz powiedzieć, że mogę zabrać rewolwer, żebyś do mnie nie strzelił, kiedy wrócę?

- Naprawdę marnujesz się tutaj z twoim talentem do asekuracji...

Simon przeszedł dzielącą ich przestrzeń i położył rękę na jej ramieniu. Nie zatrzymał jej, a dotyk jego palców odczuła jak miłą pieszczotę.

- Nie chcę, żeby cię spotkało coś złego. Jeżeli nie będziesz chciała nadal mi pomagać, zrozumie to. - Nie zdjął ręki. Przesunął ją tylko i delikatnie dotknął jej szyi.

Wstrzymała oddech i na chwilę całkowicie skapitulowała. Czy Simon był tym, za kogo się podaje, czy nie, miał niewątpliwie wielki talent w osiągnięciu swojego celu.

Nie na darmo była adoptowaną córką Jessa Cantrella. Podobnie jak on umiała słuchać. Ze skomplikowanej opowieści Simona wywnioskowała, że jego życie nie było łatwe.

Powiedział, że nie jest agentem FBI, jak gdyby chciał ją uspokoić, zdobyć jej zaufanie. Ale wyczuła w tym coś więcej. Ten człowiek nigdy nie podda się ograniczeniom, jakie narzuca taka czy inna agencja. Jeżeli mu to nie będzie odpowiadać, nie podporządkuje się żadnej władzy nad sobą i żadnym przepisom.

Sam to najlepiej wyraził. Pracuje dla siebie. I sam ustanawia swoje własne prawa. A co jego prawo mówi o uwodzeniu?

Cofnął rękę.

- Jedź. Zatelefonuj. - Schylił się i oddał kawałek gazety, naskrobał numer piórem, które wyjął z kieszeni.

Zastanawiała się, czy tym samym piórem otworzył kajdanki.

Wyprostował się i wyciągnął rękę z karteczką.

- Jeżeli zechcesz, żebym odszedł po twoim powrocie, zrobię to niezwłocznie.

Kiedy wyszła, dzień miał się ku zachodowi, a z daleka dochodziło stłumione szczekanie psów.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Apteka Allena była prawie zawsze otwarta do siódmej, chociaż w hrabstwie, w którym niewielu ludzi miało unormowany czas pracy, rzadko kto o tej porze telefonował. Tate podejrzewała, że Wally dlatego tak późno zamyka aptekę, ponieważ nie chce przepuścić żadnej nadarzającej się okazji do podsłuchania plotki. Teraz jednak była zadowolona z jego skłonności do podsłuchiwania. Wystarczył rzut oka na aparat przy stacji benzynowej, by stwierdzić, że jeszcze go nie naprawiono. Skorzysta więc z telefonu w aptece.

Kiedy tam wchodziła, właśnie opuszczało ją dwóch chłopczków z czekoladowymi batonami. Gdy się mijali, jeden z nich wytarł ręce w jej dżinsy, na co drugi zachichotał.

Płynące z głośników dźwięki muzyki zespołu Living Strings brzmiały tak, jakby magnetofon pracował na zwolnionych obrotach. W głębi sklepu Wally prowadził ożywioną rozmowę z dwoma dobrymi znajomymi. Jeden z nich miał ogromny brzuch i cienkie nogi. Miała nadzieję, że może Wally jej nie dostrzeże, ale wiedziała, że szanse są nikłe.

- Dobry wieczór, Tate. Jak noga? - zawołał.

- Znacznie lepiej. Świetnie mi poradziłeś.

- Wiesz, sporo się zastanawiałem i w końcu nie skapowałem, jak mogłaś skaleczyć się aż tak wysoko?

Ile razy, po tym jak Wally wypisał jej receptę, mogła być głównym tematem rozmów?

- Wymachiwałam nią - zademonstrowała ruch, idąc do telefonu. - I podniosłam ją w ten sposób. A potem za ostro się zamachnęłam i straciłam kontrolę. - Skrzywiła się, jakby właśnie otworzyła się rana. - Sądzę, że jeszcze nie za dobrze radzę sobie z siekierą, choć już się miałam za fachowca.

- Jeszcze się zabijesz - ochoczo podjął temat brzuchaty mężczyzna. - Zabijesz się, a myszolowy rozniosą twoje kości, zanim ktokolwiek cię znajdzie na tym odludziu.

- Ale byłaby historia! Mężczyzna z powagą pokiwał głową.

- Szkoda, że już nie ma z nami Miliarda. On by to pięknie opowiedział! On naprawdę potrafił opowiadać historie.

Tate nie znalazła na to odpowiedzi, ponieważ historie Miliarda były dla niej równie tajemnicze, jak on sam. Zdobyła się więc na uśmiech - co i tak było wielkim wysiłkiem, ponieważ wszystkie jej myśli koncentrowały się wokół telefonu - po czym w bocznej części apteki zaczęła studiować szampony i odżywki do włosów. Trwało to akurat tyle, żeby w końcu mężczyźni stracili ochotę na dalszą z nią pogawędkę. Kiedy Wally poświęcił całą

swoją uwagę opowiadaniu jakiejś historii myśliwskiej, a pozostali mężczyźni rwali się, żeby dodać swoje własne spostrzeżenia, Tate przesunęła się bokiem w stronę telefonu.

Zadzwoniła. Czekając, zastanawiała się, co powie. Simon powiedział, że ma tylko słuchać, ale uważała, że jeśli nic nie powie, będzie się czuła jak jakaś płatająca figle smarkula. Po czterech dzwonekach i krótkiej ciszy usłyszała głos:

- Tu Simon Vandergriff Chwilowo jestem nieobecny, ale proszę zostawić wiadomość. Oddzwonię przy najbliższej okazji.

Kolejna krótka pauza i bip... bip...

Wszystko odbyło się tak błyskawicznie, że musiała się skupić, żeby zrozumieć to, co usłyszała. Wsłuchiwała się w głuchy telefon, choć przecież nie miała żadnej wiadomości do przekazania. Mężczyzna, do którego należał głos, mieszkał w jej chacie.

Simon Vandergriff. Szukała powodu, jakiegokolwiek powodu, dla którego automatyczna sekretarka Carla Petersena miałaby informować, że telefon należy do Simona Vandergriffa. Po zastanowieniu się doszła do wniosku, że Carl Petersen i Simon Vandergriff to dwie różne osoby.

Ale kim on jest? Czy tym, za kogo się podaje - mężczyzną wrobionym przez jednego z najbardziej zaufanych przyjaciół i zostawionym na pewną śmierć w więzieniu w High Ridge?

Wiedziała z doświadczenia, że czasami najbardziej niewiarygodne historie są prawdziwe. Historia Simona jest niewiarygodna, choć wy głosił ją bez wahań i płynnie, a także z całą powagą. Oczywiście, że może okazać się kłamcą. A jeśli tak, to najprzedniejszym.

I znowu doszła do punktu wyjścia. Powrót do domu będzie aktem dobrej wiary. Będzie mogła powiedzieć, że mu uwierzyła. A nawet, że mu zaufała. Że gdyby mu nie ufała, nie wróciłyby do domu.

Po chwili zdała sobie sprawę, że w ręku nadal trzyma słuchawkę. Już niczego więcej się nie dowie. Simon dał jej dowód - swego rodzaju dowód. Teraz musi tylko zdecydować, czy w niego uwierzy.

Już miała powiesić słuchawkę, kiedy na linii usłyszała słaby szmer. Początkowo złożyła to na karb swojej przewrażliwionej wyobraźni. Po czym usłyszała głosy, ten sam rodzaj oddalanej rozmowy, jaką *zdarza* się słyszeć przy połączeniach międzymiastowych, kiedy kable są przeciążone.

- Namierzyłeś?

- Jeszcze nie. Ale połączenie nie zostało przerwane.

Upłynęła chwila, a potem kolejna, zanim sobie uświadomiła, o co chodzi. Błyskawicznie, jakby już dłużej nie mogła udźwignąć słuchawki, powiesiła ją na widelkach.

A więc telefon Simona jest na podsłuchu.

Ale kto go podsłuchuje? Czy ten ktoś wie o jego ucieczce? Oczywiście, przecież każdy słyszał o jego spektakularnym wyczynie.

Odpowiedź nasunęła się bezzwłocznie. Telefon jest na podsłuchu, ponieważ ktoś ma nadzieję, że w ten sposób trafi na jego trop. Niewykluczone, że ten ktoś ma nadzieję, iż sam Simon zechce odsłuchać nagrane do siebie informacje.

- Czyżby wciąż bez skutku, panno Tate? - zawołał Wally zza lady.

Odwróciła się ku niemu.

- Obawiam się, że tak. - Jaka szkoda, pomyślała, że nie może mu opowiedzieć o Simonie. Gdyby tylko mogła, nikt w Mountain Glade nie miałby wątpliwości, że córka Miliarda również ma parę dobrych historii do opowiedzenia.

Kiedy zaparkowała swoje bronco, chata zdawała się niezamieszkała. Przed wyjściem z apteki wykonała jeszcze kilka telefonów i zdobyła trzy dodatkowe informacje. Po pierwsze dowiedziała się, że numer kierunkowy Simona to numer Waszyngtonu D.C. Następnie, że także Aaron Reynolds ma założony podsłuch w Memphis. Wreszcie, że Jess jeszcze nie wrócił, ale że Krista z nim rozmawiała i że jest cały i zdrow, choć wróci do Stanów nie wcześniej niż za trzy tygodnie.

Tate zastanawiała się, co też Jess odkryje, o czym ona jeszcze nie wie. Chyba niewiele.

Na razie obejdzie się bez czyjejkolwiek rady. Jest kobietą świadomą, rozważną, opanowaną, tylko czasami niespokojną, zbuntowaną, ale kobietą zdolną do podjęcia decyzji.

I podjęła decyzję.

Znalazłszy się w środku chaty, rozejrzała się po pokoju. Ani śladu Simona. Podejrzewała, że może nie chce się pokazywać, dopóki nie upewni się, że jest sama.

- Simon! - zawołała. - Wróciłam. Z własnej nieprzymuszonej woli.

Otworzyły się drzwi sypialni i pojawił się w nich... jakiś mężczyzna.

Dopiero po chwili go poznała.

- Zgoliłeś brodę.

Stał w drzwiach i spoglądał na nią. Światło księżyca rzucało srebrzysty blask na jej włosy i pieściło jej hardo uniesioną głowę. Jadąc do miasteczka, Tate nie zdążyła się przebrać, zawiązała tylko poły flanelowej koszuli na supeł, ściągając ją mocno w talii.

Koszula podkreślała jej szczupłość i świetne proporcje. Obcisłe dzinsy ukazywały śliczny zarys jej bioder i fantastyczną długość nóg.

Coś się w nim wrywało ku niej. Z trudem wziął się w garść.

Wyjechała ponad godzinę temu. Nie pamięta, żeby kiedykolwiek czekał tak długo, aż ktoś zadecyduje o jego losie. Po piętnastu minutach czekania wiedział już, że ufa jej równie mocno, jak jeszcze tylko kilku osobom. Po pół godzinie wiedział, że zależy mu na jej pozytywnej decyzji. Liczył się z jej opinią. W jakiś sposób znał ją lepiej niż kogokolwiek.

Ta świadomość wprawiła go w zakłopotanie. A teraz czuł się jeszcze bardziej zakłopotany.

Ruszył w jej stronę. Zatrzymał się, gdy dzieliły ich zaledwie metry.

- Carl Petersen nosi brodę. Ja nie.

Wolałaby, żeby to nie była prawda. Myła jego brodę, która była taka delikatna i taka... pociągająca. Jej brak jakby zakłócał dotychczasowy porządek. Bez brody jego twarz była surowsza, bardziej bezwzględna. Teraz bardziej przypominał uciekiniera, mniej zaś mężczyznę, którym opiekowała się w czasie jego choroby.

- Oto świeżo ogolony Simon Vandergriff - obwieściła Tate.

- A więc odsłuchiłaś moją automatyczną sekretarkę.

- Zrobiłam coś więcej. Nagrałam się... a raczej nagrał mnie twój telefon. -
Opowiedziała mu o wszystkim.

Zaklął i twarz mu stężała.

Tate nie odrywała od niego zdumionych oczu. Broda maskowała coś więcej niż jego tożsamość. Ukrywała jego najgłębszą istotę. Teraz nie było wątpliwości, kim jest mężczyzna naprzeciw niej: to błędny rycerz, który może stawić czoło więzieniu pełnemu kryminalistów - po obu stronach bariery - i jeszcze wyjść stamtąd żywy.

Uważała, że jest przystojny. Teraz wiedziała, że to nie jest właściwe słowo. Niebezpieczny? Groźny? Tak, jeśli się nie jest po jego stronie. Atrakcyjny? To za słabe określenie. Bliższe prawdy byłoby: wspaniały, a także pociągający, chociaż lepiej tego nie sprawdzać.

- Odłożyłaś słuchawkę od razu po usłyszeniu głosów?

- Tak mnie to zaskoczyło, że... - Tate zauważyła, jak zwięzają mu się źrenice. - Nie, nie odłożyłam - przyznała. - Trzymałam ją jeszcze parę sekund. Dopiero, gdy to do mnie dotarło, rozłączyłam się.

Powstrzymał się i nie skrytykował jej.

- Sądząc po sposobie, w jaki rozmawiali, wyglądają mi na partaczy. Może nas nie namierzili. Nie każdy w agencji dorównuje Gallagherowi.

- Jak twoja noga?

- A jak stan twojego umysłu?

Odkąd wszedł do pokoju, nie uśmiechnął się. Tate wiedziała, że czeka, by się dowiedzieć, czy uwierzyła w jego historię.

- Gdybym była przy zdrowych zmysłach, nie dałabym ci forów w ucieczce.

- Wierzysz mi teraz? - zapytał wprost, podchodząc do niej bliżej.

- Wierzę. - Nie spodziewała się, że poczuje taką ulgę, wypowiadając to jedno słowo. Było jak przyzwolenie, podobnie jak słowa wypowiedane podczas ceremonii ślubnej. Teraz, mówiąc je, przypieczętowała swoją decyzję. Koniec z podejrzeniami i wątpliwościami.

Simon znał wagę słów.

- Dziękuję ci.

Podjeżdżała, że nie należy do ludzi, którym słowa wdzięczności łatwo przychodzą. Podobnie jak nie przyznają się do słabości czy do... bliskiej więzi.

Pielegnowała go. Doglądała, gdy bredził w gorączce, użyła wszystkich swoich umiejętności, żeby mu pomóc w czasie choroby, chroniła go, podczas gdy kto inny, w podobnej sytuacji, mógłby go wydać. Ta więź pojawiła się na samym początku, skłaniając ją do podjęcia ryzykownej decyzji.

Teraz ta więź była jeszcze mocniejsza, i, jak sądziła, w przeciwieństwie do łańcucha, którym go przykuła, trudniej będzie ją rozerwać. Nawet kłamstwa, które jej naopowiadał, nie zerwały łączącego ich ogniwa.

- Witaj w domu, Simonie Vandergriff.

- Raczej zyc sobie, żebyś nigdy nie usłyszała mojego nazwiska.

- Skończyłam z pobożnymi życzeniami. Myślę, że jestem na ciebie skazana.

Kiedy się uśmiechnął, zobaczyła, że bez brody ma jeszcze bardziej olśniewający i niebezpieczny uśmiech.

- No cóż, przynajmniej nie jesteś skazana na lepiącego się od brudu uciekiniera. Mimo prymitywnych urządzeń kąpielowych, jakoś sobie poradziłem.

Wyobraziła go sobie, dźwigającego wodę z ganku i grzejącego ją.

- Nie powinienes się za bardzo forsować.

- Były pewne miejsca, do których zapewne nigdy nie sięgałaś, kiedy mnie myłaś.

Zaczerwieniła się, choć nieczęsto jej się to zdarzało. Nawet już nie pamięta, kiedy.

- Ciesz się, że w ogóle cię myłam!

- Wiem, że spotkało mnie szczęście. I nadal mnie spotyka. - Niepewnym ruchem wyciągnął ku niej rękę. - Nie znałaś mnie. Nie miałaś żadnego powodu, żeby mi ufać, i wiele powodów, żeby mi nie ufać. Nawet teraz moja historia może okazać się kłamstwem. - Chciał się cofnąć, a zamiast tego dotknął jej policzka. - Może mi powiesz, dlaczego jednak uwierzyłaś?

- Pewni ludzie dali mi kiedyś szansę, choć nie powinni. Byłam szczególnie trudnym przypadkiem. Nie szczędziłam im przykrości i kłopotów, a oni mnie nie opuścili i do końca we mnie wierzyli. Może czegoś się nauczyłam.

- Jest też wielu nic nie wartych sukinsynów, którzy nie potrafią skorzystać z danej im szansy.

- Los się do mnie uśmiechnął.

- I nauczyłaś się nazywać po imieniu różnicę między dobrem i złem.

- Nie, po prostu nauczyłam się starać, żeby odróżniać dobro od zła.

Chciał cofnąć rękę, a zamiast tego podniósł ją i musnął pasemko jej włosów za uchem.

- Fascynujesz mnie. - Głos jego był niski. Zdawał się dobywać z jakiegoś głęboko ukrytego w nim miejsca.

Mężczyźni ją adorowali i pożądali. Ale żaden nigdy jej nie powiedział, że go fascynuje. Wydawała się sobie najbardziej prostolinijną i bezpośrednią kobietą. Nie było w niej nic tajemniczego czy egzotycznego. A jednak wyraźnie widziała, że Simon nie kłamie, podejrzewała też, że niełatwo ulega fascynacjom.

Postanowiła to wyjaśnić.

- Jeżeli przez fascynację rozumiesz nieustanne myślenie o drugiej osobie, to ty również mnie fascynujesz.

Nie była otwarta, jak wiele kobiet, które znał, a w tej chwili, był tego prawie pewny, czuła się dodatkowo niezręcznie. Simona nigdy specjalnie nie intrygowała niewinnością. Zbyt długo żył na pograniczu dwóch światów, by znaleźć czas na eleganckie zalecanie się do kobiety. Teraz, pierwszy raz w życiu, zapragnął tego. Była kobietą nie do końca pewną wrażenia, jakie wywiera na mężczyznach, jemu zaś zależało, żeby zaprezentować się jej z jak najlepszej strony. Powoli wargi jego rozchylił uśmiech, poskramiając w ten sposób całą namiętność.

- Uważasz, że jestem śmieszna? - zapytała.

- Wszystko, tylko nie to. Mam ci powiedzieć, za kogo cię uważam?

Przestraszyła się.

- Chyba nie.

Cofnął się, żeby poczuła się swobodniej - jeden centymetr, może dwa. Był aż nadto świadomy, że to powinny być całe kilometry. Okazało się nagle, jak niewiele mają bezpiecznych tematów do rozmowy. Postawił na jedzenie.

- Mogę przygotować kolację.

- Lepiej, żebyś oszczędzał nogę.

- Mogłabyś mi przestać matkować. Nie ma już takiej potrzeby.

Zaczerwieniła się po raz drugi.

- Tak to odbierasz?

- Łatwiej jest matkować niż wybrać tę drugą możliwość. I znów wołała nie wnikać, co ma na myśli.

- Przyjaźń - wyjaśnił bez pośpiechu. - Możemy zostać przyjaciółmi, Tate?

- A długo w tym wytrwasz?

- To zależy od ciebie... i od ludzi, którzy mnie tropią.

- Możesz tu zostać, jak długo chcesz. Dopóki nie będziesz bezpieczny. - Nie dodała nic poza tym, chociaż nie była pewna, czy Simon nie oczekuje od niej czegoś więcej niż bezpiecznego schronienia.

- Masz miejsce w piwnicy, gdzie możesz mnie ukryć. Ono zdało już egzamin.

Zupełnie zapomniała o „muzeum”. Teraz był odpowiedni czas, żeby to zbadać.

- Chciałabym tam zejść.

- Drzwi są niewidoczne. Składają się jak żaluzje i dają się otworzyć tylko pod łóżkiem. Kiedy tam zszedłem, było bardzo ciemno, pomimo dochodzącego z sypialni światła. Gdy zamknąłem drzwi, stało się czarno jak w nocy. Teraz, kiedy na dworze jest już ciemno, musisz wziąć latarnię.

- Najpierw coś zjem.

- Idź teraz, a przez ten czas ja przygotuję, co trzeba.

- Nie zejdiesz ze mną?

Chciał przez chwilę побыć bez niej i otrząsnąć się z emocji, których może nigdy nie wyrazi.

- Uważam, że powinnaś to zobaczyć sama.

Tate zdała sobie sprawę, że to będzie ostatni sprawdzian zaufania do Simona. Przecież, gdy będzie w piwnicy, on może zablokować drzwi, a kolejny mieszkaniec chaty znajdzie po latach jej kości.

- To nie potrwa długo.

- W czym problem? - zapytał, uśmiechając się nieznacznie.

- Gdybyś chciał mnie usunąć ze swojej drogi, zamykając mnie na dole, jest na to łatwiejszy sposób.

- Ale ja wcale nie chcę usunąć cię z drogi... - Urwał. Co by miał dodać? Że nie chce, aby kiedykolwiek zeszła z jego drogi?

Tate nie poprosiła go, żeby dokończył. Ich związek był już i tak ze wszech miar skomplikowany.

- Miałeś tyle okazji pozbycia się mnie, iż sądzę, że mogę zaryzykować.

Simon pokuśtykał do paleniska i zdjął z półki jedną z dwóch latarni. Wziął również zapalki i poszedł za Tate do sypialni.

Stała przy łóżku i zastanawiała się głośno.

- Nie moglibyśmy przysunąć łóżka do ściany, żeby łatwiej było zejść? Później przestawimy je z powrotem.

- W normalnej sytuacji, tak. Ale gdyby przypadkiem ktoś mnie znowu szukał i wszedł do środka, bez trudu wypatrzyłby rysy na podłodze.

Już miała zaprotestować, kiedy sobie przypomniała, że w jego zawodzie trzeba uważać na każdy szczegół, nawet taki jak ten.

- Podasz mi latarnię, kiedy już runę jak worek kartofli na podłogę i wyląduję pod łóżkiem na brzuchu.

- Będę tu stał i podziwiał ten widok.

- Niczego tutaj nie widzę - zawołała, kiedy wczołgała się pod łóżko.

Z największym trudem ukucnął na podłodze.

- Bo zakryłaś sobą całe drzwi. Przesuń się do tyłu i uważnie przypatrz się deskom. Na jednej z nich znajdziesz lekkie zagłębienie. Nie różni się wiele od zwykłej skazy w drewnie. - Zaczekał, aż się trochę cofnie, po czym pokazał palcem: - O tam.

Przejechała ręką wzdłuż deski i znalazła wgłębienie.

- Popchnij to w moją stronę - instruował ją Simon. Zrobiła tak, choć nie było to wcale takie łatwe. Tak jak powiedział, miejsce ugięło się i złożyło jak harmonia, otwierając się z dwóch stron na tajemniczą przestrzeń. Ziała na nią nieprzytulna, ciemna jak noc, stęchła, podejrzana dziura.

- Nawet mi nie powiedziałeś, co tam jest - zawołała, przeciągając słowa.

- To prawda.

- Niewiele wiem o moim ojcu.

- Nie?

- Mam nadzieję, że nie zamordował nikogo siekierą, co?

- Wolałbym ci nie psuć niespodzianki. Ale nie musisz się niczego bać.

Podsunał jej latarnię, a następnie podał zapalki.

- A na ile wystarczy tej nafty?

- Akurat na tyle, żebyś tam zeszła i zapaliła latarnie, które już tam są. Przekręć się w drugą stronę i opuść nogę, aż wymacasz drabinę. Jest mocna, ma ze dwa i pół metra długości. Najpierw to zrób, a dopiero potem zapal latarnię.

- Czuję, że po tym wszystkim będę miała niezły apetyt.

- Gdy wrócisz, wszystko będzie gotowe.

Tate ustawiła się do zejścia. Następnie, trzymając się mocno krawędzi składanych drzwi, zaczęła schodzić w dół.

Przygotowanie posiłku z mizernych zapasów było nie lada wyzwaniem, ale Simon lubił wyzwania. Gotował posiłki, mając za spiżarnię cały Paryż. Gotował też inne, mając za jedyne składniki roślinność i stworzenia, które oferowały deszczowe lasy Brazylii.

To wyzwanie było znacznie łatwiejsze dzięki możliwościom, jakie się otwierały w tej zapomnianej przez świat górskiej chacie w Arkansas. W jednym tylko kredensie znalazł puszkę tuńczyka, sześć puszek rosółu z kurczaka, kubek topionego sera, pół bochenka czerstwego chleba i sól, pieprzu niestety nie było. W chłodni znalazł dwa jajka i kawałek masła, a także butelkę białego wina. W pojemnikach stojących na blacie za kuchnią była mąka, mleko w proszku, kawa, herbata i ryż. Natomiast pod zlewem odkrył co najmniej roczny zapas pszennych chrupek, pałki prawoślazu i czekoladowe batony.

Z sera i tuńczyka przyrządził sandwicze, zanurzył je w jajku roztrzepanym z mlekiem i wrzucił na masło. Rozbił drugie jajko i wlał je cieniutką nitką na gotujący się kurzy rosół, a kiedy lane kluseczki były gotowe, odstawił rondel na bok, na gorącą blachę, by zupa nie wystygła.

Tate jeszcze się nie wynurzyła spod łóżka, jak posiłek był gotowy. Simon pokuśtykał na ganek po wino, które włożył do wiadra z wodą. W zetknięciu z policzkiem butelka była zimna. Wino pochodziło z Ohio, było tanie i pewnie za słodkie, ale po trzech miesiącach picia wodnistych fusów, które nazywano kawą, i lurowatej herbaty, daleki był od jakiegokolwiek wybrzydzenia.

Otworzył butelkę, postawił ją z boku paleniska i poszedł po Tate. Będąc w sypialni, zawołał ją, ale nie otrzymał odpowiedzi. Myśl o czyhających na nią w piwnicy niebezpieczeństwach - szcurkach i innych gryzoniach - oddaliła jeszcze niedawne wspomnienie uciążliwego schodzenia po drabinie. Wczołgał się pod łóżko i już po chwili zeskakiwał na jednej nodze po szczeblach.

Stała pośrodku pomieszczenia, pochylona nad oprawionym w skórę tomem. Kiedy podniosła głowę, jej policzki były mokre od łez.

Był zły na siebie, że ją tu wysłał samą. Nie wiedział, co ma powiedzieć.

- Mój ojciec mnie chciał - powiedziała. Miała spokojny głos, choć nabrzmiały łzami, które zniekształcały każde słowo. - Przez całe lata, kiedy myślałam, że nikomu nie jestem potrzebna, mój ojciec mnie chciał... Simonowi brakowało słów.

- Zostawił ci to miejsce, prawda?

- Nie wiedziałam, dlaczego. Aż do teraz. - Uśmiechnęła się blado, a Simon poczuł, jak coś się w nim skręca. Wiedział, że nie powinien, ale objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

- Opowiedz mi o tym. - Poczuł, jak drży, jak gdyby chciała siłą powstrzymać wszystkie nie wypłakane dotąd łzy.

Spróbowała się cofnąć.

- Nie potrafię.

Zrozumiał: „Jeszcze nie teraz”.

- Więc powiedz coś o książce, którą masz w ręku. Tate wiedziała, że powinna go odsunąć. Zamiast tego przestała się opierać i objęła go w pasie. Tak było dobrze. Może trochę krępująco, może nawet niebezpiecznie, ale teraz to nie miało znaczenia.

- Ten tom to jeden z dzienników ojca. Jest ich cała półka, zawierają trzydzieści lat jego życia. Nigdy bym ich nie znalazła, gdybyś nie...

- Schował się tam? - Zaśmiał się lekko. - Dziwne zrządzenie losu.

- Twoja noga! - Odwróciła ku niemu twarz. - Zejście po tych stopniach musiało cię...

Nie zamierzał jej tulić, ani całować. Przecież miał dobre zamiary...

A jednak całował ją. Czuł, jak bardzo delikatne, podatne i młode są jej wargi. Musiał pochylić głowę, żeby ich usta się spotkały, musiał ją mocniej przytulić. Jego zmysły zdawały się chłonać i rozkwitać, delektując się zapachem kurzu połączonego ze świeżą wonią jej włosów, ciepłym i aksamitnym dotykiem jej warg, słabutkim jękiem, jaki wydała, kiedy pogłębił pocałunek.

Kiedy nagle zeszywniała, puścił ją. Za nic w świecie nie chciał, żeby znów się go bała.

- Nie po tu zszedłem - szepnął.

Wyraz jej twarzy wskazywał dobitnie, jak bardzo czuje się zagrożona, choć jej słowa zabrzmiały swobodnie i niewymuszenie:

- Jak na mężczyznę, który spędził w więzieniu trzy miesiące, potrafisz nieźle całować.

- To jest jak z jazdą na rowerze.

- Już zaczynałam sądzić, że wiem, kim jesteś...

- Nie zmieniłem się. Jedyne, co się zmieniło, to to, że już nie kłamię.

- A jaką prawdę wyraża pocałunek?

- Możemy to przeanalizować i spróbować znaleźć odpowiedź.

- Lepiej nie. - Tate odwróciła się. Przy migającym, nierównomiernym świetle piwnica wydawała się równie tajemnicza, jak to, co się właśnie stało.

Pomieszczenie przypominało odciętą od świata pracownię naukowca. Miliard przez większą część życia gorliwie gromadził pamiątki z regionu wyżyny Ozark, a także ważniejsze relacje i dane dokumentujące tutejszy folklor. Odgrodził tę część pomieszczenia od starej piwniczki i zamienił je w mauzoleum odchodzącej w przeszłość kultury. Widać wolał nie przekazywać kolekcji ani do muzeum regionalnego, ani do jakichś uniwersyteckich zbiorów.

Tate wsunęła dziennik ojca na miejsce. Z trudem oparła się pragnieniu odwrócenia się i pocałowania Simona.

Nadal trzymał ręce na jej ramionach.

- Co o tym sądzisz?

- Nie rozumiem tego.

- Mam ci powiedzieć, co myślę?

- Oczywiście!

- Myślę, że ta chata jest starsza od twojego ojca. Jest zbudowana z kasztanowych bali, a kasztanowce ucierpiały od szkodników i wyginęły na początku stulecia. W tym pomieszczeniu znajdowała się leżakownia whisky. Whisky produkowanej domowym sposobem, mocnej, o bardzo jasnym zabarwieniu i raczej niedługo przechowywanej. Dlatego to miejsce jest tak dobrze ukryte.

- To by tłumaczyło obecność dzbanów. - Tate wysunęła się z delikatnego uścisku Simona i przeszła w drugi kąt piwnicy. Zrobiła to, ponieważ chciała trochę zwiększyć dystans między nimi, a także jeszcze trochę poszperać. W kącie, wzdłuż ściany, w równym rzędzie, stało około tuzina glinianych dzbanów.

Podniosła jeden z nich i podsunęła mu do zbadania. Wyciągnął z szyjki ręcznie wymodelowany korek i powąchał zawartość. Natychmiast chwycił go atak kaszlu.

- Pachnie jak przedni bimber - wykrztusił.

Chętnie podjęła rozmowę o czymś, co nie dotyczyło ich dwojga.

- Chcesz powiedzieć, że jest pełny?

- Pełny i pewnie równie stary, jak ta chata. - Podsunął jej dzban go do powąchania.

Omal się nie zakrztusiła.

- Myślisz, że ojciec to wszystko chomikował w tajemnicy?

- Myślę, że albo twój ojciec był historykiem, albo należał do tych, co to nie potrafią niczego wyrzucić.

Stanąła w obronie człowieka, którego nie znała.

- Był historykiem.

- A zatem „muzeum” okazało się właściwym słowem.

- Dowiem się czegoś więcej po przeczytaniu pamiętników. - Zaczęła obchodzić półki.

Wszystko stało równiutko, w idealnym porządku, pokryte cienką warstwą kurzu. Pomieszczenie zostało tak skonstruowane i uszczelnione, że powietrze w nim było zadziwiająco suche i chłodne.

Poza dziennikami Miliarda były tu jeszcze trzy półki z książkami, które od razu rozpoznała, ponieważ jedną, w podobnej oprawie, znalazła na poddaszu. Tytuły wskazywały, że większość jest poświęcona folklorowi wyżyny Ozark. Niektóre wyglądały na bardzo stare i były oprawione ręcznie. Otworzyła jedną z nich i dotknęła palcem dołu strony, świadoma obecności Simona za plecami.

- Czy wiesz, że nie należy zmieniać imienia koniowi, bo to przynosi pecha?

- Czy to dotyczy również ludzi? Przewróciła stronę.

- Nie wiem, ale noszenie cudzego ubrania tak, więc tak czy owak musisz uważać. -

Odstawiła książkę i sięgnęła po następną. Otworzyła ją na chybił trafił i przez chwilę czytała.

- Powiedziane tu jest, że Jesse James zaszył się gdzieś w górach Ozark i umarł naturalną śmiercią.

- Zdecydowanie najlepszy rodzaj zejścia z tego świata. Od chwili pocałunku Tate unikała wzroku Simona. Teraz na niego spojrzała. Przy migoczącym świetle latarni trudno było powiedzieć, o czym myśli, ale i bez tego wiedziała. Myślał o niej, dziwił się, że tak łatwo znaleźli porozumienie. Odstawiła książkę na półkę, by przejść do innej półki. Leżały na niej różne przyrządy ze starannie opisanymi etykietkami. Były tu żeliwne kuchenne sprzęty, które Simon oglądał z zainteresowaniem.

- Tym się obiera jabłka, a tym dryluje wiśnie. - Wziął każde z nich do ręki i jakby porównywał ich wagę.

Tate pochyliła się do najniższej półki. Leżały tu wykonane ręcznie instrumenty muzyczne, wśród których były cymbały zrobione być może z miejscowych gatunków drzew.

Z półki z wyrobami szklanymi i staroświeckimi butelkami Simon zdjął słój z cynową pokrywą, służący dawniej do przechowywania jedzenia.

- W środku jeszcze coś zostało. Jak myślisz, co ojciec tam trzymał?

- Jad kielbasiany? - Tate była oszołomiona odkryciem tego podziemnego muzeum, nie mogła się doczekać, kiedy dokładnie przejrzy dzienniki ojca.

No i ten pocałunek Simona...

Dostrzegł jej rozterkę. Wyglądała jak ktoś, kto właśnie odkrył, że nic nie jest już takie, jak było.

Zastanawiał się, czy to dotyczy także jego osoby.

Wyciągnął do niej rękę. Wahala się. Wiedziała, że teraz jest zbyt bezbronna i słaba. Od samego początku jego ręce dziwnie ją zniewalały.

Powoli, jakby niezależnie od niej, jej ręka podniosła się, a on ją ujął w swoją.

- Wróćmy na górę, nakarmię cię i napoję. I opowiesz mi o swoim ojcu, a ja ci powiem, dlaczego nie może cię spotkać nic złego z mojej strony.

- I znowu mnie okłamiesz? - zapytała łagodnie.

- To się okaże - odparł zagadkowo.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Przed paleniskiem, na dywaniku utkany z kawałków szmatek, Tate rozłożyła narzutę.

- Nie zamierzam ci wcale matkować - powiedziała - ale jeżeli nie dasz odpocząć nodze, to znów wylądujesz w łóżku, a ja już mam dość opiekowania się tobą.

Za sobą usłyszała jego stłumiony śmiech. Wdrapanie się po drabinie zajęło mu trochę czasu, domyślała się więc, jak bardzo boli go noga.

- Możesz się śmiać, zobaczymy, co powiesz, kiedy nie będzie się goić. Spróbuj skoczyć na jednej nodze do Memphis, a zobaczymy, jak daleko zajdziesz.

- Czyżbym słyszał w twoim głosie osobistą troskę? - Simon z ulgą pochylił się nad narzutą. Kiedy już usiadł, wiedział, że nieprędko wstanie.

- O siebie czy o ciebie? Dzielę chatę z poszukiwanym mężczyzną.

- To by mogło nie być wcale takie złe, zależy tylko, kto by mnie szukał.

- Powiedz raczej, kto cię nie szuka? Władze stanowe, federalne, strażnicy więzienni i twój były przyjaciel Josiah - wyliczała, udając, że nie rozumie podtekstu. - Powiedz lepiej, co dostanę na kolację.

- Na piecu jest zupa i sandwicze.

- Ten człowiek dokonuje cudów!

- Gdyby ten człowiek nie był cudotwórcą, nie nakarmiłby nikogo tym, co znalazł w twojej kuchni.

- Następnym razem włam się do chaty z lepiej zaopatrzoną spiżarnią.

- A gdzie bym się tak rozerwał, jak tutaj? Zaryzykowała i spojrzała na niego. Wpatrywał się w nią, a jednocześnie pozostawał czujny. Miała wrażenie, że gdyby w tej chwili ktoś wyłamywał frontowe drzwi, byłby tam, zanim jeszcze drzwi roztrzaskałyby się o podłogę.

- Nie ruszaj się. Przyniosę jedzenie.

- Zaczniemy od wina. - Pokazał kciukiem miejsce, gdzie zostawił butelkę.

- Dostaniesz tylko jeden kieliszek. Trzeba je oszczędzać.

- Oszczędzać? To coś?

- A wiesz, z jakim trudem to coś zdobyłam?

- Nie, ale na pewno gra nie warta była świeczki.

- Tu jest jałowa i sucha ziemia. Po to coś musiałam jechać aż do sąsiedniego hrabstwa. Jest tam jeden sklep z alkoholem, a jedzie się najgorszą, najbardziej karkołomną drogą, jaką kiedykolwiek widziałam, a do tego to bardzo daleko stąd.

- I wszystko po to, żeby kupić wino z Ohio? Jedną butelkę wina z Ohio?

- Rzeczywiście nie mają wielkiego wyboru. Tutaj wino nie sprzedaje się najlepiej. - Tate przyniosła butelkę i dwa kieliszki, które przygotował. - To dobrze, że zostawiłeś je otwarte, żeby pooddychało. Tylko że do tego czasu już pewnie cały alkohol wyparował.

- Spróbujmy i przekonajmy się.

- Domyślałam się, że od trzech miesięcy nie piłeś nic mocniejszego.

- Niestety, w High Ridge nie serwują wina do posiłków. Choć starał się mówić lekko, usłyszała złość w jego głosie.

- To musi być straszne miejsce - powiedziała, a oboje wiedzieli, że nie mówi o napojach, które tam podawano.

- Nie życzę tego nikomu.

- Nie wiedziałeś wcześniej, jakie tam panują warunki? - zapytała, napełniając kieliszki.

- Niezupełnie. - Wzniósł toast: - Za Tate, która mi uratowała życie.

Spojrzeni sobie w oczy. Sączyli wino, nadal wpatrując się w siebie.

- Smakuje jak kwaśny sok grejpfrutowy - powiedział wreszcie Simon. - Ale jest to najlepszy ze wszystkich soków grejpfrutowych, jakie dotąd piłem.

- A pomyślałeś, że nie jestem koneserką?

- Myślę, że znalazłoby się jeszcze parę innych cech, których nie posiadasz.

- Na przykład?

- To, że w połowie nie jesteś taka cyniczna, za jaką chciałabyś uchodzić, ani taka twarda.

- Właśnie uroniłam parę łez tam na dole. To już była poważna oznaka słabości.

Uśmiechnął się tylko.

- Weź zupę i sandwicze, i opowiedz, dlaczego płakałaś.

- Może cię to znudzić.

- Nie sądzę.

Tate stwierdziła, że Simon do perfekcji poznał tajemnice kuchni, podczas gdy ona notorycznie paliła wszystko, cokolwiek próbowała upiec.

- Jak ci się udało rozpracować piec? - zapytała, niosąc miseczki z dymiącą zupą.

Odebrał swoją i przyglądał się jej, kiedy szła po sandwicze. Czekał z odpowiedzią, aż usiądzie z powrotem.

- Kiedy dorastałem, mieliśmy w naszym domu na wsi kuchnię na węgiel drzewny. Jako chłopiec pomagałem naszej kucharce palić pod nią. W tajemnicy przed rodzicami nauczyła mnie trochę gotować.

- Dom na wsi? - Gwizdnęła cicho. - Domyślałam się, że różnił się znacznie od mojej chaty.

- Porozmawiajmy o tobie.

Tate nieobca była konspiracja. Przez długie lata uważała, że sama ją wymyśliła.

- Pod warunkiem, że i ty opowiesz o sobie.

- Opowiedziałem ci historię mojego życia.

- Ani słowem nie wspomniałeś co najmniej o dwóch etapach twojego życia.

Simon wyciągnął się, układając wygodnie nogę.

- Najpierw ty.

Była w połowie zupy, kiedy zaczęła.

- Nie bardzo wiem, gdzie się urodziłam. Moja matka, kiedy zaszła w ciążę, pracowała w czymś w rodzaju wędrującego wesołego miasteczka. Urodziła mnie gdzieś po drodze i nie zatrzymała się, żeby dopełnić formalności. Podejrzewam, że miałam dużo szczęścia, gdy wkrótce potem wylądowała w swoim rodzinnym mieście, gdzie zdążyła przekazać mnie swojej matce. Babka nadała mi imię i nazwisko, i wychowywała mnie. Ponownie zobaczyłam matkę, dopiero gdy miałam dziesięć lat, a moja babka właśnie umarła. Sąsiadka znalazła w papierach babci adres matki i powiadomiła ją. Przyjechała po pogrzebie i zabrała mnie.

Simon zachował obojętny ton głosu. Wiedział, że najmniejszy przejaw współczucia może przerwać potok jej słów.

- Nadal pracowała w wesołym miasteczku?

- Nie, wówczas była kelnerką i przyrządzała koktajle.

Podejrzewam, że wypijała dwa drinki na jeden, który podawała. Kiedy wracała do domu, z trudem trafiała do łóżka. Nie widywałam jej rano. Musiałam sama dotrzeć do szkoły, za to czekała na mnie po południu. - Skończyła jeść zupę. To były wspomnienia, które starała się wymazać z pamięci. Teraz odkryła, że wciąż są żywe i bolesne.

- Nienawidziła mnie. - Spodziewała się, że podobnie jak wielu ludzi wcześniej, również Simon wpadnie jej w słowa i powie, że to niemożliwe. Była mu wdzięczna, że tego nie zrobił. - Teraz wiem, że była chorą kobietą. Była uzależniona od alkoholu i leków nasennych. Ale wówczas nie byłam w stanie tego zrozumieć i wszystkie jej złe stany kładłam

na karb alkoholu i tych wszystkich pigulek, bez których nie mogła się obejść. Myślałam, że to moja wina, że coś złego tkwi we mnie.

- A teraz wiesz, że to nieprawda?

Uśmiechnęła się do niego, ale nie odpowiedziała od razu. Postawiła pustą miseczkę i zabrała się za sandwicza, mówiąc między kęsami.

- Dowiedziałam się o tym dopiero po jakimś czasie. To nie dzieciaki przyprawiają o szaleństwo rodziców. Jest wręcz odwrotnie, i tak było ze mną, dopóki nie postanowiłam uciec. Miałam trzynaście lat, kiedy zwiałam. Złapali mnie i odesłali z powrotem, ale znów zwiałam. Łapali mnie jeszcze dwa razy, wyznaczali mi kolejne miejsca pobytu, najpierw dom zastępczy, a potem zakład dla nieletnich uciekinierów. To nie były złe miejsca, ale ponieważ nauczyłam się nikomu nie ufać, uciekałam.

- Byłaś za młoda, by żyć na własną rękę. - Głos Simona był już mniej opanowany.

Uśmiechnęła się melancholijnie.

- Na ulicy czułam się bezpieczniej i lepiej niż w domu, choć wcale nie było mi dobrze. I może nic by się nigdy nie zmieniło, gdybym nie spotkała pewnej kobiety, Kristy Jensen. Myślałam, przynajmniej na początku, że i ona jest uciekinierką. Podawała się za taką, sądząc, że w ten sposób odnajdzie swoją siostrę. Była razem z Jessem Cantrellem, który zbierał materiał do swojej książki. Simon zaczynał rozumieć.

- Zaadoptowali cię?

- Nie mogli odnaleźć Roseanny, siostry Kristy. Na początku podejrzewałam, że mam ją w jakiś sposób zastąpić, ale później przekonałam się, że im obojgu naprawdę na mnie zależy. Pobrali się i otworzyli w Wirginii schronisko dla uciekinierek, które nazwali „Zajazdem dla Dylizansów”. Uciekałam i od nich, ale zawsze wracałam. Aż pewnego dnia wróciłam, żeby zostać. Wszczęli wtedy postępowanie, mające na celu pozbawienie mojej matki praw rodzicielskich. To była ohydna walka. Matka mnie nie chciała, ale też nie życzyła sobie, żeby mnie ktoś inny pokochał. Kosztowało ich to dużo pieniędzy, ale w końcu wygrali i adoptowali mnie. Nigdy więcej nie zobaczyłam matki. Umarła jakieś pół roku temu w przytułku dla kobiet.

- A jak w to wszystko wpasować twojego ojca?

- Nie dowiedziałam się nigdy, kim on był. Moja babka też nie wiedziała. Matka nigdy i z nikim nie chciała na ten temat rozmawiać. Kiedy zapytałam, powiedziała tylko, że był łajdakiem i że wrodziłam się w niego.

Zastanawiał się, jak po tylu krzywdach i upokorzeniach stała się taka pogodna, pozbierana w sobie, odważna.

- Mieszkałam z matką tylko trzy lata - powiedziała, jakby czytając w jego myślach. - A moja babka była dobrą kobietą. Była stara i schorowana, ale nigdy nie dała mi odczuć, że jestem dla niej ciężarem. Gdyby nie ona, nie byłabym taka, jaka jestem. - Podniosła swój pusty talerz. - Kucharka nieźle cię nauczyła.

- Którego dnia, kiedy będzie z czego, pokażę ci, co naprawdę potrafię.

Podniosła się i sięgnęła po jego naczynia, dając znak ręką, żeby nie próbował wstawać.

Patrzył na nią, kiedy podchodziła do kuchni. Miała wyprostowane, lekko cofnięte ramiona i wysoko uniesiony podbródek. Nienawiść matki nie złamała jej, choć zadany ból na pewno tkwił w niej głęboko. Jednak wzniosła się ponad to i stała się tym, kim jest, co świadczyło o jej sile i inteligencji.

Nie spieszyła się z powrotem. Rozmowa o dzieciństwie nigdy nie była łatwa.

Kiedy w końcu wróciła, przyniosła ze sobą składniki do deseru.

- Czy twoja kucharka nauczyła cię robić specjalne kanapeczki?

- Najwyraźniej to przeoczyła.

- A więc żałuj. - Podeszła do ognia i usiadła na dywaniku jak przy ognisku. - Są podobne do sandwicza. Łamiesz pszenną grzankę na pół, a potem na jednej stronie kładziesz kawałek czekolady. - Zdarła opakowanie z tabliczki czekolady i połamala ją na kawałki, kładąc po jednym kawałku na grzance. - Następnie musisz przypiec prawoślaz. Tę część każdy sam sobie robi. Tu są dwie skręcone pałki, po jednej dla każdego. Piekłeś kiedyś prawoślaz? - zapytała.

Potrząsnął przecząco głową, a Tate skrzywiła się.

- Musisz się tyle nauczyć. Czego jeszcze nie robiłeś? Jego wzrok powędrował wzdłuż jej ciała, a usta ułożyły się w lekki uśmiech.

- Nieważne - powiedziała, odwracając się do ogniska. Nie była pewna, czy czerwieni się przez niego, czy od żaru płomieni. - To wymaga precyzji, więc patrz i ucz się.

Simon chciałby jej powiedzieć, że nic nie jest w stanie oderwać jego oczu od niej, ale powstrzymał się.

- Kiedy prawoślaz zarumieni się, wewnątrz będzie jeszcze zimny i czekolada nie rozpuści się - instruowała go.

- To brzmi poważnie. Nie wiem, czy sobie poradzę.

- Wystarczy, że będziesz trzymał prawoślaz parę centymetrów od węgla drzewnego i wciąż nim obracał. Kiedy zacznie zwisać, będzie gotowy.

- Zwisać?

- Spróbuj, to sam zobaczysz.

Przysunął się bliżej niej, tak że muskali się ramionami. Razem wsunęli skrecone pałki do paleniska.

- Ile to potrwa? - zapytał.

- Musisz się uzbroić w cierpliwość.

- Jestem wyjątkowo niecierpliwy.

Przesunął się i teraz już się dotykali, a nie tylko muskali.

- Więc opowiedz mi, w jaki sposób dowiedziałas się o Miliardzie i o tej chacie.

Czuła jego biodro i ramię, i zastanawiała się, czy próbuje jej powiedzieć, że jest tutaj na wypadek, gdyby nagle zapragnęła pocieszenia w jego ramionach. W rezultacie poczuła się nie tyle pocieszona, co mocno zaniepokojona.

- Moja matka na krótko przed śmiercią opowiedziała całą historię pani Phillips, pracownicy przytułku, gdzie matka umarła. Podobno żałowała, że tak się ze mną obeszła, ale ja sądzę, że po prostu się bała.

- Sądu Ostatecznego?

Tate obracała pałkę prawoślazu. On robił to samo.

- Coś w tym rodzaju.

- Co jej opowiedziała?

- Brenda, tak miała na imię moja matka, poznała Miliarda w wesołym miasteczku w Little Rock. Pokazywała tam jakieś sztuczki, a Miliard opowiadał ludowe baśnie w jednym z namiotów. Podobno zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia i już pierwszej nocy poczęli mnie. Miliard chciał się z nią ożenić. Przywiózł ją tutaj, ale Brendę przeraziły warunki, w jakich żył. Sądzę, że znajdę coś na ten temat w jego dziennikach, ale wiem od pani Phillips, że Brenda chciała, by Miliard przeprowadził się do Little Rock, ale on nie chciał.

- Nie był wielkomijskim chłopakiem.

- Musiał przeczuwać, że w Little Rock nie będzie szczęśliwy. Natomiast obiecał jej, że założy tu elektryczność i instalację wodno - kanalizacyjną, a także dobuduje nowe skrzydło.

Simon wyciągnął swój prawoślaz, żeby mu się przyjrzeć.

- Ale to nie zadowoliło Brendy?

- Nic by jej nie zadowoliło. - Tate wyciągnęła rękę w stronę jego prawoślazu, przypadkowo muskając jego rękę. Natychmiast ją cofnęła. - Jeszcze nie jest gotów.

Przyglądał się jej. Opowiadała wydarzenia ze swojego życia, jak jakąś interesującą historyjkę. Być może odziedziczyła po Miliardzie większy talent niż sądzi, ale przecież

wiedział, że za tym wszystkim kryje się cierpienie i ból. Nie może być inaczej. Żałował, że nie umie pocieszać. Jego życie toczyło się zbyt szybko, nie zdążył osiąść umiejętności podnoszenia na duchu. Ale teraz naprawdę chciał, żeby było inaczej.

Przypiekli prawoślaz na złocisty kolor.

- Gotowe - oznajmiła wreszcie Tate. Wyjęła swoją pałkę z ognia, położyła prawoślaz na grzance i czekoladzie, przykrywając całość drugą połową chrupiącego chlebka. Simon zrobił to samo. - A teraz jedz, póki gorące.

Podpatrzył, jak odgryza pierwszy kęs. Czekolada i prawoślaz wypłynęły na brzegi sandwicza. Jej drobne, białe zęby zacisnęły się, a język oblizał krawędzie, chwytając miękką zawartość.

Widok był pasjonujący.

- Zabieraj się do jedzenia - popędzała go.

Nie powiedział jej, że patrzeć na nią, kiedy je, sprawia mu znacznie większą przyjemność niż jakieś chrupiące kanapeczki. Ugryzł kawałek, ale nie spuszczał z niej oczu.

- Co sądzisz?

Przez chwilę nie był pewny, o co go pyta. Co sądzi o historii jej życia? Nie był mściwym człowiekiem, ale chętnie by wskrzesił Brendę i zemścił się za to, co zrobiła swojej córce. Co myśli o samej Tate? Pomyślał, że w swoim krótkim życiu wykazała więcej odwagi niż ktokolwiek. Co sądzi o słodyczy na jej języku, gdy zlizuje roztopioną czekoladę z dolnej wargi?

- O tym deserze. Co o nim sądzisz? - uściśliła.

- Pyszny.

- No chyba! - Pokiwała z uznaniem głową. Kończyli w milczeniu, a żadne z nich nie przestawało patrzeć na drugie. Simon zjadł pierwszy. Kiedy i Tate skończyła, położył ręce na jej ramionach i delikatnie pociągnął ją ku sobie.

- Chodź tutaj.

- Po co?

- Bo potrzebujesz tego. - Nie zdążyła się wyrwać, kiedy ją odwrócił i położył kciuki na jej górnych kręgach. Zaczął je delikatnie ugniatać. - Jesteś spięta, jak skazany na dożywocie więzień przed pierwszą apelacją.

- Jeżeli jestem spięta, to z powodu tego, co robisz.

- Kłamczucha.

- Przy ganiał kocioł garnkowi. - Wbrew temu, co powiedziała, pomyślała, że jednak to on ma rację.

Simon wsunął palce pod jej kołnierzyk, żeby skutecznie uciskać kręgi. Miała tak delikatną skórę, jak sobie wyobrażał.

- Zupełnie jakbym masował kowadło.

- Nie obrażaj kowadła.

- Co zrobiła Brenda, gdy się zorientowała, że nie ściągnie Miliarda do Little Rock?

- Zabrała się stąd. - Tate pozwoliła opaść głowie do przodu, mógł więc zacząć ugniatać mięśnie jej karku. - Wyniosła się pewnego ranka, kiedy Miliard był gdzieś czymś zajęty. Nie napisała słowa, nie podała adresu, gdzie mógłby ją znaleźć. Po prostu zniknęła i nigdy więcej nie skontaktowała się z nim.

- I Miliard nie mógł jej odnaleźć?

- Miliard nigdy się nie dowiedział, czy Brenda urodziła dziecko, czy zrobiła skrobankę. Podobno próbował jej szukać, ale gdzieś się zaszyla.

- I nigdy nikomu nie powiedziała, kto jest ojcem jej dziecka?

- Nikomu. Włącznie z dzieckiem. Sądzę, że doszła do wniosku, iż największą karą dla Miliarda będzie trzymanie mnie z daleka od niego. To tak, jakby każde jej okrucieństwo wobec mnie było wymierzone przeciwko niemu.

Chciała wypowiedzieć te słowa obojętnie. Nie udało się. Wszystko było w porządku, dopóki Simon nie zaczął jej dotykać. Teraz czuła się osaczona. Nie przejmowała się matką. To była zamierzchnia przeszłość. Dawno, bardzo dawno temu przeszła do porządku nad faktem, że matka ją opuściła. Dawno temu...

Simon poczuł drzenie jej ramion. Objął ją i przyciągnął do siebie, żeby mogła się na nim oprzeć.

- No, wypłacz się - powiedział łagodnie, prawie szepcząc jej do ucha.

- Nie mam powodu do płaczu! Myślisz, że powinnam płakać, bo nigdy nie znałam ojca? Jestem pewna, że nie pogrążał się w rozmyślaniach nad moim losem. Był zajęty... szczęśliwy, o ile wiem. Nawet nie wiedział, czy żyję. Nie wiedział...

Przygarnął ją mocniej.

- No, pofolguj sobie.

- To nie jest terapia grupowa, do diabła!

- Nie, to jest coś między dwojgiem ludzi, którzy o siebie się troszczą. - Pocałował ją we włosy. Potem drugi raz. - Ulżyj sobie.

Miała wrażenie, że się dusi. Łzy, które uroniła w piwnicy, były niczym w porównaniu z potokiem, który w niej się gotował. Chciała odepchnąć Simona, ale bez trudu ją przytrzymał.

- Wyplakałbym się za ciebie, gdybym mógł.

I wtedy trysnęły łzy. Nie były to łzy dziecka. Ani łzy zranionej nastolatki, wciąż odrzucanej przez pałającą nienawiścią matkę. To były łzy kobiety, która dopiero zaczyna podliczać straty.

Simon odwrócił ją ku sobie, żeby mogła wypłakać się na jego piersi. Każda jej łza zdawała się oczyszczać go z czegoś, aż w końcu mechanizmy obronne, którymi się tak obwarował, ustąpiły. Jakby się odrodził. Z trudem siebie poznawał.

- Ja nie chcę płakać! - prawie wrzasnęła Tate.

- Ja też nie chcę, żebyś płakała. Ale musisz. I przejdziemy przez to. - Simon przytknął policzek do jej włosów i trzymał ją mocno w swoich ramionach. W tej chwili była dla niego uosobieniem wszystkiego, o czego istnieniu prawie zapomniał. Odwaga i wrażliwość. Siła i udręka. Żar i łzy. Zapomniał o tym w ciągu miesięcy spędzonych w High Ridge. Może wcześniej. Może bardzo dawno temu.

- Marzyłam o ojcu - powiedziała wreszcie, wstrząsana szlochem. - Marzyłam, żeby przyszedł i mnie zabrał. To było dziecinne marzenie, które porzuciłam, gdy zaczęłam żyć na ulicy. Gdybym tylko wiedziała...

- Jak się dowiedziałaś, że zostawił ci tę chatę?

- Przypadkowo. Ktoś z Mountain Glade natknął się na Brendę niedługo przed jej śmiercią. Ojciec już nie żył, ale ten człowiek powiedział jej, że to miejsce Miliard zapisał mnie, choć nie wiedział, czy w ogóle istnieję.

Wzięła głęboki oddech. Simon głaskał ją po włosach. Zaczęła się powoli odprężyć.

- I wtedy matka powiedziała mu, że urodziła córkę, którą miała z Miliardem, ale że nie zamierza jej szukać. Podejrzewam, że zrobiłaby wszystko, co w jej mocy, żeby jeszcze bardziej skomplikować sprawę. Gdybym się nie znalazła w ciągu dziesięciu lat, Will, kuzyn ojca, odziedziczyłby to miejsce. Więc gdyby wyparła się mojego istnienia, wszystko przeszłoby od razu na niego. A tak, to ani on nie mógł dziedziczyć, ani ja, ponieważ nic mi nie było wiadomo, że czeka mnie jakiś spadek.

- Szkoda, że twoja matka w lepszy sposób nie wykorzystwała swoich talentów.

- No, w końcu przed samą śmiercią wyspowiadała się i wyraziła skruchę. Dla niektórych to może ma jakieś znaczenie...

- Może dla niektórych - powtórzył tonem, który wskazywał, że on do nich nie należy. - Szczęśliwi są ci, którzy wierzą w przebaczenie i zmazanie win. Chyba lżej im umierać.

- Powiedziała pani Phillips, że zaadoptował mnie Jess Cantrell. A Jessa nietrudno odnaleźć. Kobieta napisała do niego i opowiedziała całą historię.

- I oto tu jesteś. - Zrozumiał teraz wiele spraw, które na początku wydawały mu się dziwne. Opowieść Tate wyjaśniała, dlaczego wybrała to spartańskie życie. Wyjaśniła mu również powód, dla którego przy pierwszej okazji nie wydała go szeryfowi. Doznała wielu krzywd. Wiedziała, co to znaczy nie móc zdobyć czyjegoś zaufania. I na swój sposób wiedziała, czym może być więzienie. Część jej życia upłynęła w niezgodzie z prawem. Przekonała się na własnej skórze, że zaufanie jest czymś, co ofiarowuje się tym, którzy na nie zasłużyli, a nie zdobywa się go z pozycji siły i władzy. Końcem jego koszuli wytarła oczy i odsunęła się.

- Założę się, że nie możesz się doczekać, kiedy się wreszcie stąd wydostaniesz - powiedziała, unikając jego wzroku. - Uciekłeś z więzienia prosto w kałużę łez.

- Mimo wszystko wolę to od High Ridge. - Ujął ją za podbródek. - Ile masz lat?

- Dwadzieścia jeden.

- Pewnie dociągniesz do setki. Wiesz, że jestem starszy od ciebie o dziesięć lat?

- No to co? Dożyjesz dwustu. Uśmiechnął się.

- Chciałbym.

- Ostatni raz tak płakałam, gdy poprosiłam matkę, żeby mi pozwoliła wrócić do domu. Miałam czternaście lat i mieszkałam na ulicy od ponad roku.

- Teraz to odreagowałaś. Oplakałaś też ojca.

- Życie tutaj już odcisnęło na mnie ślad. - Spotkali się wzrokiem. - A potem zjawiłeś się ty.

- Zjawiłem się. - Zmusił się, by nie dotykać jej. Jeśli ją teraz pocałuje, to tak, jakby dawał i odbierał dziecku lizaka. Potrzebowała pocałunków, potrzebowała kogoś, kto by jej mówił, jak bardzo jest godna pożądania, ale to nie on powinien mówić jej to. Nie miał jej nic do zaoferowania. A jego życie nie było warte więcej niż parę centów.

A jednak ją pocałował. Bez namiętności, ale i bez zastanowienia. Jeszcze mogłaby pomyśleć, że jej nie akceptuje. Nie zaprotestowała. Podała się pocałunkowi z namiętnością nowicjuszeki.

Trzymał ją w pasie, a palcami głaskał jej ciało pod koszulą. Przywarła do niego, obejmując go za szyję, rozchylając usta. Bardzo jej pożądał...

Tate poczuła, jak ciepło ich ciał przenika się wzajemnie. Stanowili jedność, byli jak dwie złączone namiętnością i zrozumieniem dusze. Simon już nie był kimś obcym, kimś, kogo trzeba się bać. Identyfikowała się z jego walką i zmaganiem, on zaś z jej smutkiem. Poznawała jego smak, jego żar, bez strachu, zasmakowała też w dotyku jego palców na swojej skórze.

Simon był w pełni świadomy, że w jakimś momencie przestanie panować nad sytuacją. Jakaś cząstka jego nadal czuwała, podpowiadając mu, żeby się wycofał, chronił siebie i tę kobietę. Był to ten sam głos, który niejednemu raz uratował mu życie, a który teraz ledwie szeptał.

Ale i szept wystarczył. Oderwał usta od jej warg i przytulił głowę Tate do swojej piersi.

- Żądamy więcej niż potrafimy unieść.

- Niczego nie żądam.

Ujął w obie dłonie jej twarz.

- Oboje tego żądamy. Chcę ciebie. Ale ściga mnie pół stanu Arkansas. I muszę stoczyć walkę, i prawdopodobnie ją przegram. A gdy to się stanie, nie chciałbym się martwić o ciebie.

Patrzyła na niego i próbowała znaleźć drogę do niego, usunąć tarczę, którą się odgradził.

- Nie ukryjesz się przede mną - powiedziała na koniec. - Poznałeś historię mojego życia. Jesteśmy po tej samej stronie. Ale nawet gdybyś nie był poszukiwany, i tak nie chciałbyś tego...

- Czego?

- Idziesz samotnie. Tak jak ja. Zachowujesz się tak, jakbyś niczego się nie bał, ale myśl o tym, że mógłbyś iść ze mną, przeraża cię śmiertelnie.

- Ja nie idę, ale uciekam. Nawet wówczas, kiedy nikt mnie nie goni.

Wiedziała, ile go musiało kosztować takie wyznanie.

- Boisz się, że chciałabym ci dotrzymać kroku.

- Boję się za nas oboje.

Nabrała powietrza w płuca i powoli je wypuściła.

- Już wiesz, dlaczego ja ciągle uciekam, ale nie powiedziałeś mi, dlaczego ty też to robisz.

- Moja opowieść nie jest tak jednoznaczna jak twoja.

- Bo i ty nie jesteś jednoznaczny.

Podziwiał ją. Igrające na jej twarzy refleksy ognia, jej wilgotne od pocałunku wargi czyniły z niej najbardziej intrygującą kobietę, jaką kiedykolwiek widział. Ale intrygowała go nie tylko jej uroda. Ujęła go swoją odwagą, swoją determinacją, by nadać sens jakże pokiereszowanemu życiu, a także zaangażowaniem w pielęgnowanie go i chronienie, na przekór wszystkiemu.

Mógłby się w niej zakochać. On, który uważał miłość za coś tak ulotnego, że wręcz nierealnego.

Chciał jej to wytłumaczyć.

- Zawsze wiedziałem, kim są moi rodzice. Obecnie nie żyją, ale w dzieciństwie nie było dnia, żeby mi nie przypomniano, kim naprawdę jestem. Urodziłem się nad rzeką Hudson, w posiadłości należącej do rodziny jeszcze przed rewolucją 1775 roku. Podobnie jak wszyscy moi przodkowie, wychowy - wałem się i kształciłem w Anglii i w Holandii. Moja krew jest bardziej błękitna niż twoje dzinsy, a moje nazwisko widnieje na tablicach genealogicznych obu królewskich rodzin.

- To by wyjaśniało twój akcent.

Uśmiechnął się lekko, dziękując w duchu, że nie imponuje jej byle co.

- Mówię pięcioma językami, w tym czterema płynnie. Potrafiłbym pełnić honory królewskie, gdyby w nieoczekiwany sposób sprzątnięto dwanaście osób i nagle posadzono mnie gdzieś na tronie.

- Król Simon...? Trudno to sobie wyobrazić - dodała po chwili namysłu.

- Wolisz tę część mojej historii od tej, którą już poznałaś?

- Najpierw muszę jej wysłuchać do końca.

- Niewiele tego jest. Oczekiwano, że zostanę kimś, kim nie mogłem być, kimś statecznym, absurdalnie arystokratycznym. Tymczasem mnie pasjonowały opowieści o moim dziadku. Był bohaterem II wojny światowej. Uratował setki Żydów, przemycił ich z Holandii do Szwecji, pod nosem nazistów. Zginął podczas jednej z akcji, ale tym się nie przejąłem. Chciałem być taki jak on. Więc gdy zwrócono się do mnie w Oxfordzie o podjęcie się misji szpiegowskiej na rzecz pewnego europejskiego rządu, zgodziłem się.

- A twoi rodzice?

- O niczym nie wiedzieli. Nie sądzę, żeby nawet cokolwiek podejrzewali. Wiedzieli tylko jedno. Że nie jestem takim synem, jakiego by sobie życzyli.

- Zostałeś bohaterem?

Zasepił się, zwlekał z odpowiedzią.

- Zrobiłem to i owo, z czego jestem dumny, nigdy też nie podejmowałem się zadań, jeżeli nie wierzyłem w ich słuszność. Ale gdzieś po drodze doszedłem do wniosku, że pracą nie można zasłużyć na bohaterstwo. Bohaterowie nie biorą pieniędzy.

Nie powiedział jeszcze o wielu sprawach, ale Tate i tak już wiele rozumiała. Mogła sobie wyobrazić chłopczyka z domieszką królewskiej krwi, który nigdy nie mógł się przypodobać swoim ambitnym rodzicom i sprostać ich wymaganiom. Mogła sobie wyobrazić

młodzieńca, który wybrał własną drogę, ale który nigdy nie podobał się sobie. I który ciągle pędzi, ucieka od zwyczajności, i nie znajduje swojego miejsca.

- I tak aż do śmierci będziesz próbował zostać bohaterem? - zapytała, pochylając się ku niemu, jakby chciała usłyszeć odpowiedź.

- Można powiedzieć, że byłem już bliski bohaterskiej śmierci! Gdybym wylądował jeden czy dwa domy dalej, byłoby po mnie.

- Tylko mnie nie bierz na głodne kawałki i nie opowiadaj, że zawdzięczasz życie temu domowi. Masz przemożną wolę życia. Może nie czujesz się jak bohater, ale nie mów mi, że nie lubisz tego, co robisz. A teraz po prostu boisz się, że ci wejdę w drogę.

Wsunął palce w jej włosy, choć mniej delikatnie niż poprzednio. Chciał ją przytrzymać, sprawić, żeby zmierzyła się z prawdą.

- Skrzywdzę cię. Jesteś znacznie wrażliwsza i podatna na zranienia niż myślisz. Najlepiej skończyć z tym teraz. Czujemy coś do siebie, ale na tym koniec. Jutro spróbuję dostać się do Memphis.

- Słyszałeś psy. Wpadniesz przy pierwszej próbie.

- Nie mogę tu tkwić wiecznie!

- Więc zgódź się, żebym cię zawiozła do Memphis. - Nie zdążył zaprotestować, kiedy położyła palec na jego ustach. Była zła. - Nie, najpierw mnie wysłuchaj. Daj mi szansę, Simon! Już to przemyślałam. Jutro wieczorem, o zmierzchu, wyjedziemy stąd moim bronco. Załaduję tył różnymi rzeczami, zza których nikt cię nie zobaczy. Kiedy dojedziemy do Memphis, skontaktuję się z Aaronem. Zrobię wszystko, jak każesz, ale jakkolwiek to zrobię, i tak będziesz bezpieczniejszy niż gdybyś robił to sam.

- Nie chcę cię w nic więcej wplątywać!

- Dobre sobie! Już i tak tkwię w tym po uszy. Myślisz, że ci pozwolę, ot tak po prostu, wyjść tylnymi drzwiami, podczas gdy ja będę tu siedzieć i umierać z niepewności i wyobrazać sobie Bóg wie co? Włamałeś się do mojej chaty. Omal nie przestrzeliłeś mi głowy, przykułeś mnie kajdankami do własnego łóżka. I za to wszystko musisz teraz się zgodzić i pozwolić mi pomóc ci jeszcze tylko ten jeden raz.

- Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz?

- Simon!

Zastanawiał się, czy przypadkiem już się w niej nie zakochał. Niczego tak nie pragnął, jak znów wziąć ją w ramiona i okazać jej uczucia, które go rozpierały. W końcu jednak uznał, że dla nich obojga będzie bezpieczniej, jeżeli zamiast tego pozwoli jej zawieźć się do Memphis.

- Będę miał przy sobie rewolwer Cooney'a. Jeżeli mnie znajdą w twoim samochodzie, powiesz, że cię zmusiłem, żebyś mnie podwiozła - powiedział.

Skinęła głowę.

- Tylko jeden warunek. Kiedy będzie po wszystkim, kiedy już będziesz bezpieczny, wrócisz tutaj, żebym wiedziała, że żyjesz.

- A jeżeli nie?

- Wtedy, jak sądzę, będę się zamartwiać do końca życia. - Zawahała się chwilę. - Albo inaczej, będę musiała odszukać Josiaha Gallaghery i zobaczyć, co ma mi do powiedzenia.

- Nie zbliżaj się do Gallaghery! Rozumiesz?

- Udałabym się do samego diabła, gdyby było trzeba! Burknął coś i jeszcze raz przyciągnął ją do siebie. Jego pocałunek miał smak rozpachy i żalu. Po czym odsunął ją i wstał.

Odszedł, zamykając za sobą drzwi sypialni.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Rano psy podeszły bliżej domu. Tate słyszała dokładnie, kiedy zaczęły szczekać, mogłaby nawet wskazać miejsce, gdzie obecnie są.

Noc dłużyła się w nieskończoność. Teraz, gdy słońce zaczęło oświetlać pola i lasy, polujący na Simona ludzie mogli wznowić poszukiwania i osaczyć swoją ofiarę.

Usiadła na łóżku i zawinięta w narzutę, zerknęła przez okno. Z tego miejsca na poddaszu miała szerszą perspektywę na otaczające wzgórza.

- Więc ty je także słyszałaś.

Przeżrana, z trudem chwytając powietrze, odwróciła się, żeby ujrzeć wyłaniającego się z mroku, stojącego na szczycie schodów Simona.

- Przepraszam, jeśli cię przestraszyłem. - Kuśtykając, przemierzył poddasze i opadł na łóżko obok niej. - Widziałaś coś?

Siedział niedbale, niepodobny do mężczyzny, który prześladował ją w myślach i w marzeniach przez długą noc. Miał na sobie dzinsy jej ojca i koszulę zapiętą tylko do połowy, a do tego zmierzwione włosy i nie ogoloną twarz.

Nie powinien wyglądać tak pociągająco. Ubranie było na niego za duże, wydawał się bledszy niż poprzedniego dnia. Ale taki, jaki był teraz, poruszał ją do głębi, wyzwalał długo drzemiące w niej instynkty. Onieśmielona tym odkryciem, nie była w stanie wyrzec słowa.

Z powrotem odwróciła się w stronę okna. Teraz ważniejsza jest obecna chwila, a ta nawoływała do rozsądku. Życie Simona było w niebezpieczeństwie. Że też wszystko musi być tak skomplikowane!

- Niczego nie widziałam. Ale szczekanie psów wydaje się coraz bliższe - odezwała się, nie patrząc na niego.

- Czy zawsze śpisz zakutana jak Eskimos, a może wstydzisz się mnie?

Nie miała na sobie nic poza cienką bawełnianą koszulką z koronkowymi ramiączkami i majtkami bikini. W jego głosie pobrzmiwała ironia.

- Za wiele sobie przypisujesz - powiedziała, nadal na niego nie patrząc.

Jej widok, rozczochranej i zaróżowionej od chłodnego poranka, rozpałił Simona. Chciał ją objąć, a kiedy już miał to zrobić, rozległo się szczekanie psów.

- Podejrzewam, że gdybym został dłużej w tym domu, znaleźlibyśmy dla ciebie inny sposób na spanie.

Odwróciła się od okna.

- Obietnice, obietnice.

Kiedy odrzuciła głowę, jedwabiste włosy zafalowały i musnęły jej policzek, a jej zmysłowość była niewiarygodnie naturalna. Patrząc na nią, Simon nie zauważył, żeby była świadoma wrażenia, jakie na nim robi. Celowo, acz niechętnie, odwrócił się do okna.

- Są coraz bliżej. Jeżeli nie zбочą, dotrą tu jeszcze przed południem.

- Skąd taka precyzja?

- Prędkość wiatru, fale dźwięków odbijających się od zboczy górskich, liczba psów pomnożona przez liczbę drzew na odcinku między rzeką a nami.

- Bierzesz to wszystko pod uwagę?

- Zgadza się.

- A co, jeśli psy poczują twój zapach, kiedy podejną bliżej? Jeśli nawet będziesz w piwnicy, zawsze może znaleźć się ktoś, kto zna rozkład chaty i zechce tam zajrzeć. Dziwię się, że szeryf nie znalazł jej wczoraj.

- Może uda ci się sprawić, że nie poczują mojego zapachu.

- Jakim cudem?

- Czym czyścisz dom?

- Czymś tanim, co zastałam na miejscu. Nie wiem, co to jest, ale piecze w oczy, kiedy tego używam.

- Doskonale.

- Co masz na myśli?

- To musi być coś z amoniakiem. I dzięki temu teraz te psy gończe będą się nadawały jedynie na pokaz. Nie poczują mojego zapachu, ponieważ trop jest zbyt stary, a poza tym, od czasu gdy przebywałem w lesie, padał deszcz.

- Ale byłeś na dworze. Wychodziłeś na ganek z tyłu.

- Nawet dalej. Poszedłem za dom.

- Wiedziałam, że w końcu znajdę rozsądne uzasadnienie, żeby skanalizować chatę.

- Obu gankom i przybudówce nie zaszkodzi dzisiaj porządne szorowanie. Wlej do wiadra dziesięciokrotnie silniejszy roztwór i polej tym ganki, a także teren wokół przybudówki. Amoniak na długo pozbawi psy węchu.

Uśmiechnęła się lekko.

- Gdzieś się tego nauczył?

- A jak myślisz, o czym faceci w High Ridge gadają wieczorami?

- O kobietach?

- O ucieczce.

- Pewnie mają cię teraz za bohatera.

- Teraz najważniejsze, żeby nie dać się złapać. - Simon wstał, starając się nie zwracać uwagi na przeszywający ból w nodze. Nie zamierzał mówić Tate, że kiedy się obudził, bandaż był przesiąknięty krwią. Ale na razie, póki nie dotrze bezpiecznie do Memphis, nie będzie się tym zajmował.

Tate także wstała i owinęła się kocem jak sari. Każda inna kobieta wyglądałaby w tym głupio, pomyślał Simon, ale nie ona.

Choć owinięta od stóp do głów, czuła jednak chłód. Była niewyspana. Myśl o Simonie nie dawała jej w nocy spokoju. Zasnęła na krótko, a kiedy obudziła się rano, miała wrażenie, że wszystko, a zwłaszcza te cudowne pocałunki, to jej czczy wymysł.

Dopiero teraz mogła się przekonać, jak bardzo jej wyobraźnia nie dorasta do rzeczywistości. Rzadko oddawała się romantycznym fantazjom; na dobrą sprawę dawno się ich pozbyła. Simon nie był wytworem jej fantazji. Takiego mężczyzny - jednocześnie ludzkiego i pociągającego - nie potrafiłaby wyczarować nawet w swoich marzeniach.

Chciała przeczesać palcami jego zmierzwiłone włosy, zapiąć flanelową koszulę, żeby nie marzył, przejechać ręką po drapiącej brodzie. Chciała go pocałować, przypomnieć sobie ciepło jego warg, przytulić się do niego.

Ale nie pozwoliła sobie na nic takiego. Jako dziecko podglądała czasami innych ludzi: specyficzną więź między matką i córką, radość z jazdy „na barana” na plecach tatusia, żarty i śmiechy zebranej wokół stołu rodziny. A teraz poczuła się tak, jakby znowu podglądała, co mają inni - satysfakcję z wyciągnięcia rąk do drugiego człowieka i znalezienia się w jego ramionach, radość ze wspólnie dzielonego życia, ekstazę kochanków.

Jeszcze raz ta czysto ludzka przyjemność znajdowała się poza jej zasięgiem.

- Ubiegnę ich - odezwał się Simon. - Mogę się ulotnić w ciągu pięciu minut. Nie musisz nic więcej dla mnie robić.

Uświadomiła sobie, że Simon nie ma pojęcia, o czym ona naprawdę myśli. Że też w ogóle może przypuszczać, iż wolałaby, żeby zniknął i nie komplikował jej życia, skoro jest wręcz przeciwnie!

- Przecież wiesz, że zrobię co w mojej mocy, żebyś był bezpieczny.

- Masz taką smutną twarz.

Spróbowała wyjawic odrobinę z tego, co czuje.

- Czasami odnoszę wrażenie, że jestem na karuzeli. Widzę wszystko, co tylko chcę, a równocześnie wszystko znajduje się poza moim zasięgiem, na ziemi, podczas gdy ja pędzę wkoło i pędzę... - Uśmiechnęła się, żeby ująć słowem trochę smutku. - Są dni, kiedy mam

ochotę zeskoczyć na ziemię, bez względu na szybkość, z jaką pędzi karuzela. Może warto zaryzykować.

Wymamrotał coś i przyciągnął ją do siebie.

- Jesteś za młoda, żeby wiedzieć, czego chcesz. W twoim życiu nie ma miejsca na kogoś takiego jak ja.

- Nie zawsze czuję się aż taka młoda. - Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy. - Nie proszę cię o nic, ani o to, żebyś zatrzymał karuzelę, ani nawet, żebyś mnie złapał.

- Ale chcesz, żebym o tobie nie zapomniał.

- Nie zapomnisz.

Kiedy ją chciwie całował, wiedział, że ma rację.

Prawie przez cały ranek psy przeszukiwały teren na obrzeżach posesji Tate. Od czasu do czasu rozlegało się pojedyncze szczęknięcie lub wycie. Raz usłyszała samochód na drodze do chaty, który albo zawrócił, albo zatrzymał się gdzieś, gdyż nikt się nie pojawił.

Po szybkim śniadaniu i odesłaniu Simona do piwnicy, przystąpiła do pracy. Wyszorowała oba ganki i wylała strumień wody wymieszanej z amoniakiem na ścieżkę prowadzącą do przybudówki, kiedy na wzgórzu powyżej domu dostrzegła dwóch mężczyzn. Towarzyszyły im trzy psy. Połała zawartością wiadra stopnie frontowego ganku i zaczęła je szorować, zerkając na zbliżającą się, idącą zygzakami grupę.

Gdy już byli na tyle blisko, żeby ją widzieć, pomachała do nich ręką.

Jeden z mężczyzn odpowiedział tym samym gestem, po czym, prowadząc dwa psy na smyczy, zszedł ze wzgórza.

Już z daleka dostrzegła, że jeden z psów jest rasowym ogarem. Drugi był mieszańcem, podobnym do Cinna. Jakby świadomy pokrewieństwa, Cinn - który zdezerterował z domu równocześnie ze zniknięciem Simona w piwnicy - podniósł się ospale spod bronco, by zbadać, co się dzieje.

- Mam nadzieję, że ich współczynnik inteligencji jest równy twojemu - mruknęła pod nosem, gdy Cinn mijał ją dostojnym krokiem. Nawet nie raczył na nią spojrzeć.

- Dzień dobry, panienko. - Podchodząc bliżej, młody mężczyzna prowadzący psy pomachał jeszcze raz ręką. Jego okrągła jak księżyc twarz była jej obca, w przeciwieństwie do munduru. Zastanawiała się, w jaki sposób w High Ridge zapobiegają ucieczce innych więźniów, skoro większość strażników poszukuje Simona.

- Dzień dobry. Szeryf mówił, że może dzisiaj albo jutro zaniechacie poszukiwań. Podejrzewam, że jeszcze nie znaleźliście waszego uciekiniera. - Tate oparła się na kiju mopa i przyglądała się Cinnowi, zawierającemu znajomość z nowo przybyłymi psami.

- Jeszcze nie. Ale niedaleko stąd znaleźliśmy parę nowych dowodów rzeczowych.

- O? Nie sądziłam, że w tej okolicy może się dziać coś równie pasjonującego.

- Nic pani nie widziała?

- Nic a nic.

W spojrzeniu młodego człowieka dostrzegła autentyczny podziw.

- Chyba nie mieszka pani sama na tym odludziu?

- Kiedy mnie to akurat bardzo odpowiada - powiedziała dobitnie.

- Pozwoli pani, że się trochę pokręcę?

- Proszę się czuć, jak u siebie w domu.

Zobaczyła innych zbliżających się mężczyzn z psami. Psy szły z nosem przy ziemi. Mężczyzna z psami na smyczy był zbyt zajęty gapieniem się na nią, żeby zwracać uwagę na resztę. Ale gdy ogar zawył, zareagował.

- Co jest, do... ? - Psy dopadły kałuży przy ganku i nerwowo kręciły się wokół. Mężczyzna ukląkł i zgarnął garść błota. - Rany boskie, co to takiego?

Tate udała zdumienie.

- W czym problem?

- To śmierdzi jak czysty amoniak.

- Szorowałam ganki przed zimą. Pod okapami zagnieździły się ptaki, a chyba pan wie, jak one paskudzą.

Mężczyzna podniósł się i szarpnięciem odciągnął psy.

- No cóż, gdyby nawet coś tu było do znalezienia, to nie tym razem.

Nadal udawała zdumioną.

- Dlatego, że akurat to wyszorowałam? Zapewniam, że nie wyszorowałam całej okolicy.

- Amoniak pozbawia psy węchu!

- Nie... - Teraz, dla odmiany, udawała niedowierzanie.

- Nie miałam o tym pojęcia. W takim razie, proszę ich nie prowadzić za dom. Szorowałam też dookoła przybudówki. Młody człowiek był wyraźnie zde gustowany.

- I tak już za późno. W tej chwili te dwa nie wywęszą nawet skunksa. Dopiero jutro odzyskają węch.

Zdumienie zamieniło się w skruchę.

- Coś podobnego! Bardzo mi przykro. Naprawdę.

- Trzeciego psa potrzymamy z dala od domu. Zareagowała wzruszeniem ramion.

- Mam nadzieję, że wam się powiedzie. Wolałabym jednak, żeby żaden więzień nie kręcił się w tej okolicy.

- Och, jeśli jest gdzieś w pobliżu, już my go znajdziemy. Ustawiliśmy nawet blokady na głównych drogach.

Odnutowała w myślach, że tego wieczoru należy unikać głównych dróg.

- Ale się staracie! - Patrzyła za nim, kiedy ściągnąwszy smycz, zaczął odchodzić w kierunku wzgórza.

- W razie czego proszę wezwać szeryfa. Nie można ryzykować! - zawołał jeszcze przez ramię.

Gdyby wiedział, ile razy już ryzykowała, mocno by się zdziwił.

Wynajdowała sobie jeszcze różne zajęcia na dworze, czekając, aż wszyscy znikną z jej pola widzenia. Po czym weszła do domu i zastukała w podłogę sypialni. Po paru chwilach Simon był przy niej.

- Byli tutaj. Już poszli. - Opowiedziała mu o amoniaku. Nie skwitował tego uśmiechem.

- Jeszcze wrócą.

- Po co? Nic nie znaleźli. Uważam, że teraz jesteś bezpieczny, bezpieczniejszy niż na drodze. Podobno na głównych drogach ustawili blokady. Gdybyś jeszcze parę dni przeczekał, odejdą i będziemy mogli względnie bezpiecznie wyruszyć do Memphis.

- To dopiero początek. Teraz powinien pojawić się Gallagher. A Gallaghera nie nabierze się na żadne sztuczki.

Tate przeszedł zimny dreszcz.

- Pójdę dołożyć drewna do ognia. A ty lepiej nie pokazuj się przed zmierzchem.

- Potrzebny mi jest rewolwer Cooney'a i pas z kaburą.

- Po co?

- Przerobię go sobie na ramię, żeby był niewidoczny spod kurtki.

Wytrzeszczyła na niego oczy. Wiedziała jednak, że cokolwiek powie, i tak nie zmieni to jego decyzji.

- A jak zamierzasz pokonać tych niegrzecznych chłopców... ? - Urwała. - A może to są grzeczni chłopcy?

- Wolałabym, żebyś się o mnie nie troszczyła. Rozumiesz?

- Doskonale. Świetnie. Po prostu będę udawała, że nigdy cię tu nie było.

- Tak będzie najlepiej dla nas obojga. - Zmierzył ją wzrokiem, w którym nie dopatrzyła się nawet odrobiny uczucia. - Nigdy mnie tu nie było. Nigdy mnie nie widziałaś.

Nigdy się mną nie opiekowałaś. Nigdy nie pocałowałaś. Jestem dla ciebie nikim, ponieważ nigdy nie istniałem.

- To dlatego będę cię wiozła wieczorem do Memphis?

- Możesz jeszcze zmienić zdanie.

Czuła się zawiedziona i zraniona. Może on potrafi zapomnieć o wszystkim, co między nimi było, ale nie ona. Nie tak łatwo.

- Oczywiście, że nie zamierzam zmieniać zdania. Ale póki tu jesteś, moglibyśmy przynajmniej nie oszukiwać się co do naszych uczuć.

- Nikomu z nas by to na dobre nie wyszło. Jeszcze tylko dzisiejszy wieczór, i więcej mnie nie zobaczysz.

- Powiedziałeś, że wrócisz, kiedy będzie po wszystkim!

- Nie, to ty powiedziałaś, że chcesz tego. - Simon podniósł wzrok znad rewolweru, który załadował. - To był sen. To nie była rzeczywistość. A snu nie przywołasz z powrotem, Tate. Bo wtedy zamieni się w koszmar.

Miała ochotę go przekląć, chciała go błagać. A co gorsze, chciała mu powiedzieć, że ma rację. Nie ma powodu, by sądzić, że spędzony razem czas mógłby zaowocować w przyszłości. Zwłaszcza że połączyły ich tak specyficzne okoliczności - odosobnienie i zagrożenie. Czy w realnym świecie, w którym dzień następuje po dniu, a kolacja staje się najważniejszym wydarzeniem, mieliby jakąkolwiek szansę? Żadna kobieta nie zatrzyma takiego mężczyzny jak Simon. Żadna też nie powinna tego chcieć.

- Więc jak się dowiem, że wszystko jest w porządku? - zapytała na koniec, starając się nadać głosowi naturalne, jak najdalsze od błagania brzmienie. - Chyba zasłużyłam, żeby przynajmniej to jedno wiedzieć.

- Jestem pewny, że się dowiesz.

Postarała się o równie obojętny wyraz twarzy jak jego.

- Dziękuję. - Stojąc jedną nogą na progu, dodała: - Potrzebne ci będą kanapki na drogę i jakieś pieniądze. Przygotuję ci. Myślę, że powinniśmy wyjechać zaraz po zachodzie słońca. Niewykluczone, że całą trasę do Memphis będziemy musieli przejechać bocznymi drogami.

- Będę gotowy.

- Wyskoczę jeszcze do miasteczka. Może się dowiem, na których drogach ustawiono blokady, a na których nie. Poza tym muszę kupić trochę rzeczy do ogrodu, mogą się przydać wieczorem. Kupię ci też jakieś solidne buty, jeżeli podasz mi rozmiar.

Simon wpatrywał się w nią, gdy odchodziła. Wierzył święcie, że wszystko, co jej powiedział, jest prawdą. Więc dlaczego czuje się podobnie jak wówczas, kiedy doszedł do wniosku, że Josiah Gallagher nigdy nie dopuści do jego ucieczki z High Ridge?

Około szóstej niebo pociemniało. Tate przygotowała kanapki na drogę, a także kilka dodatkowych dla Simona na później. Do zachodu słońca prawie go nie widziała, ale gdy weszła do domu po przy dźwiganiu wody na ganek, czekał już ubrany i gotowy do drogi. Rewolwer był poza zasięgiem wzroku, choć wiedziała, że gdy zajdzie potrzeba, nie będzie musiał długo go szukać.

Miał na sobie czystą flanelową koszulę i niebieski, wielokrotnie cerowany sweter oraz nieprzemakalną kurtkę w kolorze khaki. Choć był wysokim mężczyzną, musiał podwinąć nogawki dżinsów jej ojca. Styl ten na szczęście jeszcze nie całkiem wyszedł z mody.

- Znalazłam to w szufladzie. - Podała mu okulary w drucianej oprawce. - Szkła nie są zbyt mocne. Nie powinny zmęczyć ci wzroku.

Kiedy je włożył, wszelkie podobieństwo do Carla Petersena z fotografii zniknęło, o ile w ogóle kiedykolwiek istniało. Ale też Josiah Gallagher wcale nie szukał prawdziwego Carla Petersena. On szukał Simona Vandergriffa.

- Gdzie jest samochód? - zapytał.

- Zaparkowałam go przed samym domem. Wyjdę pierwsza i gdy nie zauważę nic podejrzanego, zagwiżdżę. Wtedy wyjdziesz i od razu wsiądziesz. Obłożę cię workami.

- Workami?

- Mówiłam, że jadę do sklepu. Kupiłam nawozy do ogrodu, żeby mieć je na wiosnę. Kupiłam też karmę dla gęsi, siemię dla ptaków na zimę...

- Czyżbyś zamierzała zostać tu na stałe?

- Och, jeszcze nic nie postanowiłam. Ale jakiś czas tutaj zostanę. Przyślij mi kartkę pocztową.

- Żebyś ty i wszyscy w miasteczku dowiedzieli się, że mieszam się dobrze?

- Więc napisz list. Chyba nauczyli cię pisać w Oxfordzie, prawda?

Uśmiechnął się wbrew sobie.

- Być może jakoś sklecę jedno czy dwa zdania.

- Lepiej, żebyśmy się pospieszyli. - Ledwo ruszyła ku drzwiom, gdy nagle chwycił ją za ramię.

Jej wzrok padł na ściskające ją palce. Były długie i wąskie, i zwodniczo delikatne. Ale były też mocne jak kajdanki, które jej siłą nałożył. Po chwili podniosła wzrok i popatrzyła na niego.

Powiedzieli sobie oczami wszystko, czego nie potrafili wyrazić słowami. Przyciągnął ją do siebie, jak człowiek, który stoczył ze sobą walkę i ją przegrał. Ujął rękami jej twarz i powędrował końcami palców po jej powiekach, po nosie, po kościach policzkowych i jeszcze niżej. Pieścił jej dolną wargę.

Wstrzymywała napływające łzy, i to było wszystko, co mogła zrobić, żeby go nie błagać, by jej pozwolił ze sobą zostać.

Nachylił głowę i sięgnął do jej ust. Objęła go za szyję, wspięła się na palce i przytuliła do niego. Całował ją, a raczej chłonał ją tak, jakby chciał zachować na zawsze.

I jak tu pogodzić coś tak cudownie prostego z czymś tak strasznie skomplikowanym? Jak zaakceptować fakt, że pocałunek, który powinien być wstępem, jest zakończeniem? Garnęła się i tuliła do niego, mówiąc mu swoim ciałem, swoimi wargami, swoimi rękami, kim dla niej jest. Przez krótką chwilę sądziła, że rozumiał i że kiedyś wróci do niej. I wtedy, nagle, odsunął ją od siebie. Błyszcząły mu oczy, ale twarz nie wyrażała żadnego uczucia.

Wpatrując się tak w niego, była aż nazbyt świadoma, że podaje mu swoje serce na dłoni.

- Niech Bóg ma cię w swojej opiece - powiedziała na koniec i ruszyła ku drzwiom.

Księżyc świecił nad strzępiastymi chmurkami. Idealny wieczór na wszelką konspirację. Tate opuściła tylne siedzenia i wciągnęła worki do części bagażowej bronco. Kiedy skończyła i upewniła się, że nikt jej nie obserwuje, zaczęła gwizdać.

Bezszerowo i niemal niezauważenie Simon wyszedł z domu i wślizgnął się do auta. Błyskawicznie rzuciła mu koc. Przykrył się nim, a ona zaczęła obkładać go workami. Kiedy skończyła, tył samochodu wyglądał tak, jakby należał do jakiegoś farmera. Nawet patrząc z bliska, trudno było się domyślić, że pod workami sztucznego nawozu, piasku i torfu ukrywa się zbieg.

- Możesz oddychać? - zapytała cicho.

- Na tyle, żeby nie umrzeć.

- Ruszamy więc.

- Trzymaj się bocznych dróg.

- Co ty powiesz! - Zatrzasnęła tylne drzwi, obeszła samochód i nie zwlekając, ruszyła.

Do Mountain Glade prowadziło wiele dróg, ale tylko jedna, Kalix Road, była w miarę przejezdna. Pozostałe bardziej przypominały wydeptane przez bydło ścieżki. Wybrała meandrującą, piaszczystą drogę, biegnącą równoległe do rzeki. Jechała nią wcześniej, kiedy ją naszała ochota na przejażdżkę w pięknej, choć dramatycznej scenerii. Wtedy - w czasie burzy -

dzięki napędowi na cztery koła, maksymalnie żyłując silnik, jakoś pokonała tamte błotniste koleiny. Na szczęście dzisiaj nie było burzy, jeśli nie liczyć tego, co dzieje się w niej samej.

Nikt tędy dzisiaj nie jechał. Była to mało uczęszczana i prawie nieznana droga. Na razie, zanim nie dojadą do bardziej uczęszczanej drogi, są względnie bezpieczni.

Tate krzywiła się na każdym wyboju. Wyobrażała sobie, jak czuje się Simon, przywalony ważącymi ponad dwadzieścia kilo workami. Prowadziła ostrożnie i uważnie, zwłaszcza odkąd droga zbliżyła się do krawędzi górskiego zbocza. To wiła się, to ostro zakręcała - czerwona, gliniana rozpadlina pośród sosen i topoli. Pnąc się coraz wyżej, Tate wrzuciła drugi bieg.

Po wyjechaniu z jednego z zakrętów ujrzała rzadko rozsiane światła Mountain Glade. Widok był wspaniały. Gdyby więc zatrzymała się w tym miejscu, nie musiałaby, w razie kontroli, szukać usprawiedliwienia na swoją tutaj obecność o takiej porze. Chyba żeby komuś przyszła ochota przeszukać jej samochód. Simon powiedział, żeby w razie czego utrzymywała, iż groził jej, że ją zabije, jeżeli mu nie pomoże. Ale czy człowiek obłożony ponad dwudziestokilogramowym ciężarem może być groźny? Kto uwierzy w taką bajkę?

Kiedy droga zakręciła kolejny raz, światła Mountain Glade zostały z tyłu. Światła, które pojawiły się za następnym zakrętem, były dość niemiłą niespodzianką. Podobnie jak warczenie, przeszywające czyste wieczorne powietrze.

Zaczęła gwizdać jak szalona, zdjęła też nogę z gazu, tak że samochód, który dotąd ledwo się włókł, stanął prawie w miejscu. Z tyłu doszedł ją stłumiony głos:

- Blokada drogowa?

- Tak.

- Nie wciskaj hamulca. Domyślą się, że coś jest nie tak. Nie widziała wyjścia. Gwizdała więc tylko i modliła się w duchu, dopóki nie pomyślała, że może najwyższa i najostrzejsza nutka dotarła prosto do nieba. Zbliżyła się na tyle, że rozróżniała latarnie w rękach stojących po obu stronach barykady mężczyzn. Machali nimi w górę i w dół, dając znak, żeby się zatrzymała.

Za sobą usłyszała kliknięcie. Nic więcej, tylko to. Znała ten dźwięk. Simon wyskoczył tylnymi drzwiami. Po jednej stronie miał prawie pionową skałę. Po drugiej posępną ścianę góry. Łatwo się domyśliła, którą stronę wybrał.

Modliła się, żeby go nie zobaczono, nie zraniono, nie zabito. Modliła się, żeby wiatr nie zmienił kierunku i nie przywiął jego zapachu w stronę psów. Modliła się o jakąś wiarygodną historię, która by wyjaśniła, dlaczego psy, po powąchaniu wnętrza jej samochodu,

zaczną szaleć. W przeciwnym razie psy zostaną spuszczone ze smyczy, a ona - oddana w ręce szeryfa.

Dojechała do barykady szybciej niż chciała, zwlekała natomiast przy odkręcaniu szyby.

- Chyba nie zatrzymujecie mnie z powodu prędkości. - Młodemu oficerowi, który doszedł do drzwi jej samochodu, posłała olśniewający uśmiech. Nie nosił munduru z High Ridge. Domyśliła się, że należy do policji stanowej.

Zignorował jej uśmiech i żart.

- Prawo jazdy.

Sięgnęła do torby, wyciągnęła portfel i wyjęła dokument.

- Jakiś problem? Nie odpowiedział.

- Wydane w Wirginii. Daleko pani stamtąd odjechała.

- Przebywam tutaj czasowo, mieszkam niedaleko rzeki. Oddał jej prawo jazdy, zapisując coś w notesie.

- Rejestracja?

Sięgnęła po dowód do schowka na rękawiczki i podała mu dokument.

- Co pani tu robi o tej porze? - zapytał, zwracając jej papier.

- Jadę do miasta. Lubię tędy jechać, ponieważ tam za mną, tuż za zakrętem, jest piękny widok. Czasami zaglądam tu o tej porze, żeby podziwiać światła.

- Wie pani, że na wolności przebywa zbiegły z więzienia w High Ridge przestępca?

- Wiem, że jest gdzieś na wolności. Niewykluczone, że dotarł już do Timbaktu, nie sądzi pan?

- Co pani wie z tyłu?

- Siemię dla ptaków, nawozy do ogrodu.

- Zdawało mi się, że przebywa pani tu czasowo.

- Nie podjęłam jeszcze ostatecznej decyzji. Umarł mój ojciec. Chwilowo mieszkam na terenie jego posiadłości.

- Wolałbym jednak zajrzeć do środka.

- Proszę bardzo. Ale czy mogłabym wiedzieć, w jakim celu?

- Jest pani sędzią, czy co?

Ogarniała ją złość, ale wiedziała, że złość bywa złym doradcą.

- Nie, jestem tylko obywatelką - powiedziała dobitnie, ale spokojnie. - Jedną z tych, które wierzą w elementarne prawa człowieka i w konstytucję.

- Powiedziałem pani, że na wolności przebywa więzień. Podejrzewamy, że może próbować wymknąć się samochodem, może przy czyjejs pomocy. Więc albo pozwoli nam pani sprawdzić samochód, albo będziemy musieli wypisać nakaz rewizji.

- Przecież powiedziałam, że możecie sprawdzić. Zapytałam tylko, w jakim celu.

Policjant powiedział coś do kolegi po drugiej stronie samochodu. Od strony barykady zbliżał się inny policjant z całą sforą psów.

- Tył jest zamknięty? - zapytał pierwszy policjant.

- Nie jestem pewna. - Odwróciła się i zobaczyła, że zamek nie jest zablokowany. - Nie. Możecie wejść do środka bez klucza.

- Zechciałaby pani wysiąść?

- Niewiele tu miejsca.

- Proszę więc się przesunąć i wysiąść drugimi drzwiami.

Wiedziała, że protest na nic się nie zda. Niezdarnie przeniosła nogi nad pedałami i hamulcem ręcznym, i przesunęła się na drugie siedzenie. Następnie wysiadła i stanęła obok drzwi.

Generalnie psy mogą być podobne do Cinna, ale przechodząc obok niej, warczały i kłapały zębami. Gdyby Cinn miał choć odrobinę ich temperamentu, rozerwałby Simona na kawałki, gdy ten wdarł się do chaty.

- Proszę się od nich trzymać z daleka - niepotrzebnie ostrzegł ją drugi policjant.

- Słuszna rada. - Tate nie spuszczała wzroku z tego, który ją legitymował, a który ruszył teraz na tył samochodu.

Otworzył drzwi i zajrzał do środka, podczas gdy drugi policjant trzymał psy i stał o parę metrów dalej. Ale przy pierwszym podmuchu powietrza z wnętrza samochodu psy zaczęły ujadać.

Tate otworzyła szeroko oczy.

- Ale jazgot.

Policjant zbliżył się do niej.

- Czy jest jakiś powód, żeby tak szczekały?

- To wasze psy. Psy szczekają na wszystko.

- Pozwoli pani, że trochę poprzerzucamy worki? - zapytał policjant z tyłu.

- Tylko nie każcie mi samej tego dźwigać.

Po chwili worki zaczęły lądować na ziemi, tuż przy samochodzie. Psy szalały. Tate modliła się, żeby Simon nie zostawił niczego, co by ją mogło obciążać. Gdyby tak się stało, czekałoby ją całonocne przesłuchanie.

- Do licha!

- No tak, nic dziwnego, że tak ujadają. - Policjant dał znak mężczyźnie z psami, żeby je odciągnął. Po czym zatrzasnął drzwi i przeszedł do przodu. - Jeden worek z nawozem jest otwarty. A ponieważ w środku jest sproszkowana krew, psom zapachniało to jak prawdziwa jatka. Pewnie myślały, że będą miały ucztę.

Przez chwilę Tate nie mogła wydobyć słowa. Wiedziała na pewno, że gdy chowała tam Simona, żaden worek nie był otwarty. W ciągu tych kilku sekund, jakie miał na ucieczkę, zdążył o wszystkim pomyśleć.

Gdzie on teraz jest?

- Przez parę dni proszę nie poruszać się po drogach, jeśli nie chce pani przejść kolejnej kontroli. Złapiemy tego więźnia i to szybko, nawet gdybyśmy mieli sprawdzać wszystkie poruszające się w okolicy samochody.

Tate przełknęła wszystkie obraźliwe odpowiedzi, jakie jej przyszły do głowy.

- Mam nadzieję, że pogoda wam dopisze, bo na razie jest paskudnie zimno - powiedziała zamiast tego. Po czym, machając beztrząsą ręką, podeszła z drugiej strony do drzwi samochodu, wsunęła się na siedzenie i zakręciła okno.

Uruchomiła silnik i zaczekała, aż przesuną zapórę. Gdy droga była wolna, ruszyła, ale w ostatniej chwili policjant, który ją legitymował, pomachał ręką i kazał się jej zatrzymać. Zrobiło jej się niedobrze.

Szybkim krokiem podszedł do samochodu i pokazał na migi, żeby jeszcze raz odkręciła okno. Powoli, drżącą ręką, zrobiła, co jej kazał.

- Jeśli zechce pani zostać w Arkansas - powiedział - byłoby lepiej, gdyby miała pani tutejsze prawo jazdy. Słyszysz mnie pani? Bo przy następnej kontroli jeszcze ktoś wlepi pani mandat. Niewykluczone, że to będę ja.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Z drogi do Mountain Glade usunięto blokady. Tate nigdy nie ciągnęło do miasteczka, ale teraz, bardziej niż kiedykolwiek, zależało jej na tym, żeby nie budzić żadnych podejrzeń. Simon był gdzieś na stoku góry i przedzierał się w kierunku Memphis. Musi go chronić za wszelką cenę, nawet gdyby to oznaczało spędzenie męczącej godziny w Mountain Glade.

Zaparkowała samochód przed kawiarnią i oparła głowę na kierownicy. Gdzie on teraz jest? Jak przeżył skok z samochodu? Co z jego nogą? Czuła się bezradna, mogła jedynie pokręcić się po miasteczku i przez krótki czas udawać, że jest zaaferowana zakupami. Nie było nikogo, kogo bez obawy ryzyka mogłaby zawiadomić, żadnego sposobu, żeby znaleźć Simona.

Nagle wyprostowała się, odwróciła głowę i utkwiała wzrok w szyldzie apteki Allena. Ależ tak! Jest ktoś, kogo może zawiadomić. Ma numer telefonu Aarona Reynoldsa. Może zadzwonić i powiedzieć, że Simon usiłuje dotrzeć do niego. Prawdopodobnie telefon jest na podsłuchu, ale jeżeli przekaże tylko króciutką wiadomość, prosząc go, by udał się do innego telefonu, na który zaraz ponownie zadzwoni, chyba będą mogli bezpiecznie porozmawiać?

Wiedziała, że jej głowa nie pracuje, jak należy. Zadręczała się Simonem, odchorowywała też wczorajsze spotkanie z policją. Jednak nie zamierzała siedzieć beczynn timer. Poza tym, jaka różnica, jeżeli stąd zadzwoni, skoro i tak wiadomo, że Simon ukrywa się gdzieś na tym terenie? Jeden dowód więcej?

Przekonana, że telefonując do Aarona, postąpi słusznie, wysiadła z samochodu i udała się prosto do apteki. O dziwo, Allen był zajęty, nie miał dostępu do telefonu, bo w kolejce stało z pół tuzina klientów. Miała więc szansę na swobodną konwersację z Aaronem.

Niewiele wiedziała na temat zasad funkcjonowania podsłuchu, nie miała więc pojęcia, jakie środki ostrożności należałoby zachować. Podejrzewała jednak, że gdyby użyła teraz karty kredytowej „Zajazdu”, znacznie ułatwiłaby pracę Josiahowi Gallagherowi. Kupiła więc słodki baton, płacąc zań dziesięciodolarowym banknotem, i poprosiła młodego praktykanta o wydanie części reszty w bilonie. Po czym, po paru powitalnych słowach z Wallym, podeszła do telefonu.

Lodowatą i drżącą ręką wykręciła numer Aarona.

Telefon zadzwonił jeden raz. Przypomniała sobie, jak ostatni raz dzwoniła z polecenia Simona. Wówczas nie była pewna, czy nie została nabrana przez wytrawnego kłamcę.

Telefon zadzwonił drugi raz. Przypomniała sobie, jak była zdumiona, gdy usłyszała nagrany głos Simona.

Telefon zadzwonił trzeci raz. Przypomniała sobie, jak była zdumiona, gdy dotarło do niej, że jest na podsłuchu i że ją namierzają.

A jeżeli ją namierzali? Jeżeli jedna z osób tłoczących się w tej chwili w aptecce Allena jest kumplem Josiaha Gallaghery? Jeżeli on albo ona właśnie ją obserwuje i obserwowała, gdy wykrecała numer?

A telefon wciąż dzwonił. Odwróciła się, żeby się przyjrzeć stojącym najbliżej niej ludziom. A jeżeli Aarona nie ma w domu? Wkrótce Allen zamknie aptekę. Czy ma podjechać do następnego miasteczka i jeszcze raz zadzwonić? A jeżeli Simon wróci do chaty i jej nie zastanie?

Obca jej była histeria, ale teraz jakby poznawała jej smak. Wzięła głęboki oddech i starała się pozbyć tego przykrego uczucia.

Telefon zadzwonił kolejny raz i nagle odezwał się głos.

- Halo?

Tate nie była aż tak zdenerwowana, żeby nie rozpoznać kobiecego głosu.

- Halo - odpowiedziała najciszej, jak mogła. - Chciałabym rozmawiać z Aaronem Reynoldsem. To pilne.

- Kto mówi? - zapytała kobieta po krótkim milczeniu.

- Nie mogę powiedzieć. Proszę, ja muszę porozmawiać z panem Reynoldsem. To naprawdę bardzo ważne.

- Nie wiem, kim pani jest, ale rozumiem, że o niczym pani nie wie.

Tate liczyła płynące sekundy, sekundy, które naprowadzały na jej ślad.

Wreszcie kobieta odezwała się ponownie.

- Jestem Sylwia Reynolds, żona Aarona. Mąż został zabity parę miesięcy temu. - W głosie kobiety nie wyczuwało się smutku, stwierdzała jedynie fakt. - Podczas włamania do firmy.

- Nie!

- Przykro mi, ale to prawda. Ma pani szczęście, że mnie pani zastała. Jestem w trakcie wyprowadzki, a jutro telefon zostanie wyłączony.

Wszystko przemawiało za tym, żeby jak najszybciej odłożyć słuchawkę.

- Pani się wyprowadza? - Tate oczami wyobraźni ujrzała Simona przedzierającego się z takim trudem do Memphis po to, żeby zastać pusty dom, a w nim tylko ducha jedyne go człowieka, któremu ufał.

- Jutro przyjedzie samochód po rzeczy. - Milczenie.

- Ale kto mówi? - zapytała po chwili. - Czy była pani zaprzyjaźniona z Aaronem?
Pracowała pani u niego?

- Nie. - Tate wiedziała, że nie wolno jej powiedzieć ani słowa więcej. Już i tak za długo rozmawia. - Przykro mi z powodu pani męża. Przepraszam, że zawracam głowę.

- Zanim tamta odpowiedziała, Tate powiesiła słuchawkę.

Aaron nie żyje. Nie żyje, a Simon rozpaczliwie potrzebuje jego pomocy.

Miała ochotę wyć. Zamiast tego, na użytek klientów Allena, podniosła klapkę w aparacie, jakby szukała reszty, po czym spokojnie wymaszerowała z apteki, zatrzymując się dwukrotnie przy półkach i oglądając produkty.

Po wyjściu zastanawiała się, czy jechać prosto do domu, czy może jeszcze chwilkę zabawić w „Sassafras Cafe”. Zdecydowała się na kawę i struclę z jabłkiem przy kontuarze, a żeby nikt nie podejrzewał, że gdzieś się spieszy albo jest czymś zdenerwowana, wmusiła w siebie nawet drugą filiżankę.

- Zimno dziś na dworze, prawda?

Tate była tak pogrążona w myślach, że nawet nie zwróciła uwagi na sąsiedni stółek. Kiedy się odwróciła, spotkała się oko w oko z mężczyzną o twarzy dziecka. Widziała go kiedyś w aptece. Nagle kawa w jej gardle zamieniła się w kwas. Wypowiedziane przez niego słowa były typowe dla ludzi z południowego zachodu, ale jej wyczulone ucho wyłowiło akcent ze Wschodniego Wybrzeża.

Nie tylko przełknęła kawę, ale i strach.

- Jak to na jesieni.

- Nie pochodzisz stąd, prawda?

- A ty? - zapytała, unosząc brew.

- Chwilowo tu mieszkam.

- Ja też chwilowo tu mieszkam.

- Podoba ci się?

- A niby dlaczego miałyby mi się nie podobać?

- Nazywam się Ben Kinney.

Powiedzmy, że to prawda, pomyślała, sięgając do portmonetki i wyjmując dwudolarowy banknot, który położyła pod swój talerzyk.

- Miło się gadało, Ken.

- Ben. Ben Kinney.

- Oczywiście, Ben.

- Nie powiedziałaś mi, jak ty się nazywasz.

- Rzeczywiście. - Wstała. - Do zobaczenia. - Wyszła, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć.

Tate nie pamięta, czy kiedykolwiek w życiu czuła się taka bezradna. Nawet jako uciekinierka wiedziała, że w jakiś sposób panuje nad sytuacją. A w najgorszym momencie pojawili się Jess i Krista, którzy, gdy już nie radziła sobie ze swoimi problemami, pomogli jej, nadali sens jej życiu. Teraz nie było nikogo, kto by jej pomógł, sama też niewiele mogła zrobić. Nie pozostawało jej nic innego, jak tylko czekać na rozwój wydarzeń. Wiedziała jednak, że sprawy mogą potoczyć się bardzo różnie.

Już widziała go martwym.

Z przymusowej wyprawy do miasteczka wracała inną drogą, by zastać pusty dom, z resztkami popiołu w palenisku. Szybko więc napaliła, przydźwigała wodę, naniosiła drewna, zaprosiła ociągającego się Cinna do środka, żeby jej dotrzymał towarzystwa, ale myślami stale była przy Simonie.

Przeżyła prawie dwadzieścia dwa lata. Razem spędzili zaledwie kilka dni, co stanowiło niewielki punkcik na mapie jej życia, ale przecież w tym przypadku czas nie ma żadnego znaczenia.

Nie sądziła, że kiedykolwiek się zakocha. Uważała, że miłość jest dobra dla obdarzonych ciepłem kobiet, takich jak jej przybrana matka Krista i jej siostra Roseanna. Dla tych kobiet, które żywo uczestniczą w życiu, a nie trzymają się na uboczu, obserwując i czekając.

I tęskniąc. Czyż nie przekonała się, że tęsknić to niemal to samo, co ścigać kogoś myślami? A ściganym był Simon. Ściagała go policja i ściagała go ona. Ale to ona pierwsza musi go odnaleźć, żeby móc znów go ukryć. Schowa go przed całym światem. Będzie tylko jej... Czyżby?

Zbliżała się północ. Tate siedziała przed paleniskiem, mając Cinna u boku. Zastanawiała się, jak mogła dopuścić do tego, żeby zakochać się w kimś takim jak Simon. A może jednak miało to jakiś sens? Jej życie nie było przecież normalne! Czemu nie miałyby tego kontynuować, zakochując się w mężczyźnie, w którym nie powinna, a nawet nie chciała się zakochać?

Poza tym, że naprawdę go pragnęła. I dlatego teraz ta świadomość przyprawiała ją o drżenie i ból w okolicy serca.

Miała jeszcze zabezpieczyć ogień, a potem położyć się do łóżka na kolejną bezsenłą noc, kiedy z zewnątrz dobiegł ją jakiś dźwięk. Gdyby nie nadstawiała ucha na każdy

podmuchał wiatr i szelest gałęzi, nigdy by tego nie odnotowała. A ten dźwięk, właściwie krótki krzyk, po którym nastąpiła cisza, był jak eksplozja.

W sekundę znalazła się na ganku.

Pajęczna siateczka chmur, do niedawna zakrywających gwiazdy, zgęstniała i utrwaliła się wraz z nocą. Księżyc, który powinien oświetlać drzewa nad jej domem, schował się. Powoli oswajała wzrok, ale i tak nie dostrzegła niczego nietypowego. Zwiędłe liście wirowały na wietrze, który się wzmagał. Puszczyc poderwał się z gałęzi dębu i poszybował w górę, frunąc z gracją i znikając. Pewnie zamierzał upolować sobie jakieś niewidoczne leśne stworzonko.

Wśluchiwała się uważnie. Od strony stawu za chatą słyszała krzyk gęsi. Wiatr i drzewa zawodziły w atonalnym duecie, ale nie wtórował im ludzki głos. Chciała zawołać po imieniu Simona, ale wiedziała, że nie może. W lesie mogą być inni, którzy także słuchają.

Pomyślała o dubeltówce ojca. Miliard miał talent do chowania różnych staroci pod łózkami. Podczas pierwszego tygodnia pobytu w chacie znalazła staroświecką dubeltówkę pod łóżkiem na strychu. Zostawiła ją tam, ponieważ nie знаła lepszego i bezpieczniejszego miejsca na trzymanie broni. Teraz ucieszyła się, że nie uległa pierwszemu impulsowi i nie pozbyła się jej. Gdyby nawet Miliard przechował gdzieś pasujący do niej śrut, teraz go nie znajdzie. Ale już sam widok broni może się na coś przydać.

Po kilku minutach stała w tym samym miejscu na ganku, uzbrojona w dubeltówkę Miliarda. Choć na zewnątrz pozornie nic się nie zmieniło, jednak wyczuła zmianę. Gęsi ucichły, a Cinn jej nie odstępował. Stał obok i nasłuchiwał.

Kiedy już myślała, że słuch płata jej figle, usłyszała kolejny krzyk. Podniosła dubeltówkę na ramię i oparła nogę o balustradę ganku.

- Kogo tam znowu przyniosło? - zawołała.

Z mroku wyłoniła się postać. Początkowo nawet nie wiedziała, czy to człowiek, czy nie. Po czym, wpatrując się intensywnie, rozpoznała mężczyznę.

- Simon - powiedziała cichym głosem. Odłożyła broń i postąpiła kilka kroków do przodu.

Dopiero po chwili dostrzegła, że to nie Simon. Mężczyznę idącym w jej stronę, z rękami podniesionymi do góry, był Will. Dopiero za nim szedł uzbrojony Simon.

Cinn warknął radośnie. Tate stała w miejscu i tylko patrzyła. Nie wiedziała, co powiedzieć, ale i tak nie dano jej ku temu okazji.

- Rzuć broń, panienko - zawołał do niej Simon. - Rzuć, bo inaczej rozwalę temu człowiekowi łeb.

Zrobiła, co jej kazał. Skąd nagle ta „panienka”?

- Teraz podnieś ręce nad głowę.

To także zrobiła. Obok niej Cinn walił radośnie i rytmicznie ogonem o drewniany ganek.

Patrzyła w milczeniu, jak Will zbliża się w jej stronę. Simon paskudnie utykał, ale starał się dotrzymać mu kroku. Dopiero kiedy weszli po stopniach, przemówiła.

- Will, co tu się dzieje?

- Twój przyjaciel znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze - odpowiedział zamiast Willa Simon.

- To musi być ten, co uciekł z High Ridge - dopowiedział Will. - Akurat doglądałem koni, kiedy zobaczyłem, jak idzie na przełaj polem...

- Ale ja zobaczyłem jego, zanim on mnie zobaczył. - Ruchem głowy Simon kazał Tate oprzeć się o ścianę. Potem Willowi. - Ciebie też zobaczyłem pierwszy.

Tate patrzyła na niego z niedowierzaniem. Miał podrapaną twarz, ale jej wyraz był zimny i nieprzenikniony. Ani razu nie spojrzał jej w oczy.

- Uważaj na niego - powiedział Will. - Jest gotów na wszystko.

- Kto tu jeszcze mieszka? - zapytał Simon Tate. Zdawał się nie zauważać ocierającego się o jego zdrową nogę psa.

Nagle Tate zrozumiała. Gdyby nie zaskoczenie, zrozumiałaby już wcześniej. Simon nie zmienił się w zdesperowanego kryminalistę, po prostu dobrze grał swoją rolę. Kolejny raz. Tylko że tym razem bronił jej.

- Zdaje się, że pies go lubi - zauważył Will.

Tate udała, że nie słyszy, i zwróciła się do Simona.

- Nikogo tu nie ma, poza mną.

Simon próbował odpędzić psa, ale Cinn nie zamierzał odejść od niego.

- Więc ten tam samochód przed domem jest twój? Wiedziała, do czego zmierza, wiedziała też, że musi go powstrzymać. Simon zamierza wziąć jej samochód i pojechać do Memphis. Tylko że w Memphis nie znajdzie już schronienia, na które liczył. Aaron nie żyje, a ona musi znaleźć jakiś sposób, żeby mu to powiedzieć.

- Nie ujedziesz nawet kilometra... - zaczęła.

- Zaryzykuję.

- Nie ma takiego miejsca, gdzie byś mógł być bezpieczny - powiedziała dobitnie. - Nie masz dokąd jechać.

- Zaryzykuję.

- Magnetofon ci się popsuł? A może mnie nie słuchasz!

- zachnęła się.

- Nie mam czasu na słuchanie, skarbie. Ruszam w drogę. A ty włącz do środka. -
Ruchem głowy wskazał Willowi drzwi.

- Ta panienska i ja wejdziemy za tobą.

Przez chwilę Tate sądziła, że Simon chce z nią zamienić parę słów, ale gdy Will odwrócił się plecami, kazał jej iść za nim. Starła się nawiązać z nim kontakt wzrokowy, ale na próżno. Nie spuszczał z oczu Willa.

- Jesteś ranny. Nic nie wskórasz. Najbliższym dużym miastem jest Memphis, a tam też cię szukają. Daleko nie ujdiesz z tą nogą - nie dawała za wygraną Tate.

- Ruszaj, skarbie, ruszaj.

Przestała panować nad sobą. Zakręciła się na pięcie i nagle rzuciła mu w twarz:

- Simon, na miłość boską, posłuchaj mnie! Nie możesz jechać do Memphis. Aaron nie żyje. Zadzwoiłam tam, żeby mu powiedzieć, że jesteś w drodze, i rozmawiałam z jego żoną. Został zabit przed paroma miesiącami. Ktoś włamał się do jego firmy!

Na widok jego wykrzywionej z bólu twarzy skoczyła i, nie zważając na rewolwer, mocno objęła go w pasie.

- Tak mi przykro, że mówię ci o tym w taki sposób - powiedziała, bliska łez. - Ale nie chciałeś mnie słuchać. Po tym, czego się dowiedziałam o Aaronie, nie mogłam pozwolić, żebyś tam teraz jechał.

Objął ją i całym ciężarem oparł się na niej. Domyślała się, że nigdy nie płacze, ale zauważyła, że teraz, jak nigdy, jest bliski załamania.

- O co tu, do licha, chodzi? - zagrzmiął za jej plecami Will.

- Tate, ty wariatko - powiedział drżącym głosem Simon.

- Powinnaś była milczeć!

- I narazić cię na murowane niebezpieczeństwo?

- To już by było lepsze od tego - szepnął, przyciskając ją mocno do siebie.

- Nie zamierzam narażać twojego życia! - Odwróciła się twarzą do kuzyna. -
Posłuchaj, Will, ten człowiek nie jest tym, za kogo go bierzesz. Nie jest Carlem Petersenem, i jest niewinny, nie popełnił żadnej zbrodni. Może tego dowieść. Teraz mogę ci dać na to tylko moje słowo.

- Nie musisz.

Podziwiała jego odwagę. W końcu tylko on znajdował się na celowniku rewolweru. Podziwiała także jego opanowanie.

- Nie mogę ci wiele powiedzieć - odezwał się Simon - poza tym, że pracowałem dla Departamentu Sprawiedliwości i wykonywałem pewne zadanie w High Ridge. Uciekłem, ponieważ zaczęło dziać się coś złego. Moje życie było tam zagrożone...

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Przetrzymani mnie tam dłużej niż się umawialiśmy, i za wiele się dowiedziałem. Mogłem albo uciekać, albo dać się zabić.

- Zabić w High Ridge? Simon skinął głową.

- To prawda, Will - wtrąciła się Tate. - Był na wpół żywy, kiedy tu dotarł. Po ucieczce przebywał tutaj aż do dzisiejszego wieczoru. - Powiedziała mu o próbie zawiezienia Simona do Memphis. Czują, że Simon prawie całym ciężarem wisi na niej, wiedziała, że zapas jego sił jest na wyczerpaniu. - Teraz musimy go położyć do łóżka i opatrzyć mu nogę.

- Nie. Muszę się stąd wydostać - upierał się Simon.

- Przecież z tą nogą nigdzie nie dojdiesz!

- Nie mam wyboru. Ktoś wkrótce zauważy nieobecność Willa. A gdy zaczną go szukać, przyjdą i tutaj.

Will zamyślił się.

- Nikt nie zauważy, że mnie nie ma, bo pójdę prosto do domu i porozumiem się z Dovey. A ona zajmie się twoją nogą. Jest pielęgniarką i już niejedną nogę wyleczyła w tej części hrabstwa. Nie jest gorsza od doktora Monsona. Myślisz, że jestem taki ciemny, że nie potrafię odróżnić prawdy od kłamstwa? Mam krewnego, który pracuje w High Ridge. I wiem, co tam się dzieje. Gdyby ci z federalnej nie przysłali tu swoich ludzi i nie prowadzili dochodzenia, to by dopiero była zbrodnia.

Odprowadził Simona machnięciem ręki i zwrócił się do Tate.

- A jeśli o ciebie chodzi, dziewczyno, to trochę się ciebie obawiałem i nie byłem ciebie pewny, nie będę ukrywał. Ale jesteś jak twój tata, tyle że tego nie wiedziałem. Teraz wiem, że jesteś jego dzieciakiem. Tylko Carter mógłby zrobić coś równie głupiego!

Tate wybałuszyła oczy, co bynajmniej nie speszyło Willa.

- Coś ty najlepszego wymyśliła, żeby trzymać tu tego człowieka bez naszej pomocy? - zapytał. - Jesteśmy twoją rodziną, nawet jeśli się do nas nie przyznajesz. Miliard żył jak pustelnik, ale Miliard zwracał się o pomoc, kiedy było trzeba, i dostawał ją. Należał do rodziny. Jeśli chcesz tutaj zostać, postępuj jak twój tata, bo jak nie będziesz zachowywać się jak Carter, przełożę cię przez kolano...

- Nikt mnie nie będzie przekładał przez kolano!

- Może właśnie na tym polega błąd.

Wydarzenia tego wieczoru przerosły możliwości Tate. Zamrugła oczami i stwierdziła, że są wilgotne.

- To nieprawda, że się do was nie przyznaję, Will - powiedziała dobitnie. - Po prostu nie wiedziałam, jak się do was zbliżyć. Nie wiedziałam, że tego chcecie.

- Jesteś dzieciakiem Miliarda, czy nie?!

Czy to wszystko dzieje się naprawdę? Czy to możliwe, że przez tyle lat, kiedy naprawdę nie czuła się częścią czegokolwiek, kogokolwiek, miała dom i czekającą na nią rodzinę?

- Domyślam się, że nie wiedziałas - powiedział łagodnie Will. - Ale teraz już wiesz.

Pokiwała głową, nie mogąc wyrzec słowa.

- To samo dotyczy ciebie - powiedział Will, zwracając się do Simona. - Nie krępuj się i zastrzel mnie, jeśli ci to pomoże, ale teraz muszę już iść. I wrócę z moją żoną, jeśli mnie wcześniej nie zabijesz. Na razie trzymaj nogę do góry. A ty, dziewczyno, zrób co trzeba przed przyjściem Dovey. Opatrzy go, z tym że to nie będzie wcale zabawne. Może najpierw będziesz musiała mu dać trochę domowego naparu Miliarda.

- Domowego naparu Miliarda?

- Tak naprawdę nigdy się nie dowiedziałem, gdzie go trzyma, ale wiem, że zawsze miał spory zapasik.

- Domowa whisky mojego ojca?

- Och, Miliard wypróbował najróżniejsze staroświeckie recepty. Był też z niego prawdziwy badacz i znawca folkloru.

Tate obserwowała, jak Will idzie do drzwi. Tylko odważnego człowieka stać na to, żeby odwrócić się plecami do kogoś, kto z tyłu trzyma go na muszce rewolweru. Tate sięgnęła po broń i wyjęła ją z ręki Simona. Za Willem zatrzasnęły się drzwi.

- Przy nim jesteś bezpieczny - zwróciła się do Simona. - Nie wyda cię.

- Nie mam wyjścia, muszę mu zaufać. - Simon spojrzał jej w oczy. - Nie planowałem, że cię znowu zobaczę.

Potała policzek o jego rękę. Była lodowato zimna, drżała leciutko.

- Tak się niepokoiłam! Nie wiedziałam, czy twoja noga wytrzymała ten skok z samochodu. A gdyby wiatr powiał w inną stronę, psy zwęszyłyby twój zapach...

- Obszedłem wzdłuż i wszerz całe wzgórze i zaszyłem się w kryjówce między twoją posesją a blokadą na drodze.

- Tak mi przykro z powodu Aarona. - Przykryła jego ręce swoimi, żeby mu dodać otuchy.

- Gallagher go zabił.

- Nie!

- Byle chłystek nie podszedłby Aarona. To musieli być ludzie Gallaghera.

Popatrzyła na jego coraz bledszą twarz. Ta jedna noc kosztowała go utratę i tak już mocno nadwątlonych sił. A o tym, co dzieje się z jego nogą, wołała nawet nie myśleć. Przesunęła jego rękę do ust i pocałowała je.

- Musisz się położyć. Oprzyj się o mnie.

Nie protestował, był zbyt wyczerpany, by udawać, że nie potrzebuje jej pomocy. Powoli doprowadziła go do sypialni. Pomyślała, że ta droga pewnie zajęła im tyle czasu, ile Willowi dojście do domu.

- Z nogą jest gorzej - uprzedził ją Simon.

- Wyobrażam sobie.

- Muszę się stąd wynieść. To tylko kwestia czasu, kiedy zaczną dokładnie przeszukiwać chatę.

- Dokąd pójdziesz?

- Na północ. Znajdę jakieś miejsce, gdzie odzyskam siły. A potem odnajdę Gallaghera.

- Ale skoro on jest tak niebezpieczny, jak mówisz...

- Ja również jestem niebezpieczny! Tate nie miała powodu, by wątpić.

W sypialni Simon opadł na łóżko. Pogłaskał ją po rękę, a ona wiedziała, że nawet tak drobny gest wymaga od niego wysiłku.

Usiadła obok niego.

- Rozepnij dzinsy, to pomogę ci je ściągnąć.

- Mogę to zrobić sam.

- Nie wstydz się mnie. Praktycznie byłeś nagi od pierwszego dnia, kiedy się tobą zajęłam - przypomniała mu.

- Uciekaj stąd!

Nie upierała się i uszanowała jego potrzebę prywatności. Wiedziała, że potrzebuje on trochę czasu, żeby oswoić się ze wszystkim, co się stało.

- Więc przygotuję ci coś do picia. Żebyś się znowu nie odwodnił. - Zanim wyszła i zamknęła za sobą drzwi, mocno go objęła.

Po dziesięciu minutach zapukała i weszła, niosąc szklankę herbaty.

Zapaliła nocną lampkę. Simon leżał z gołymi nogami, jedynie na łydce miał zakrwawiony bandaż. Kiedy go zdjęła, potwierdziły się jej najgorsze obawy.

- Trzeba założyć szwy - powiedziała, przyciskając do rany czysty opatrunek. - Bez tego rana się nie zagoi. Moje umiejętności już tu nie wystarczą. Nie obejdzie się bez lekarza...

- Jeżeli chodzi o lekarza, to w tych stronach wzywają mnie do wszystkich chorób, chyba że on umiera. - Do pokoju szybkim krokiem wkroczyła Dovey, a za nią Will. - Chryste Panie! - Stała w miejscu i wytrzeszczyła oczy na Simona. Tate nie była pewna, czy to jego noga tak bardzo ją zaintrygowała.

Tate odbyła krótką naradę z Dovey, opowiedziała jej wszystko, co dotychczas zrobiła.

Will podniósł szklankę z herbatą, a po powąchaniu jej, skrzywił się i zmarszczył nos, po czym udał się do samochodu i po paru minutach wrócił z butelką „Jacka Danielsa”.

- Nie potraktowałaś mnie serio, dziewczyno, prawda? - złażał Tate, podczas gdy Dovey kończyła badanie. Wręczył butelkę Simonowi. - Pij.

Simon popatrzył na Dovey, która szperała w dobrze wyposażonej czarnej torbie. Potem zatrzymał wzrok na Tate, której twarz była bledsza od jego, i wreszcie wyciągnął rękę po alkohol.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Tate dorzuciła drwa do paleniska, obserwując strzelające, mieniące się barwami tęczy iskry. Poza utrzymywaniem ciepła w chacie i staniem w pobliżu, gdy tego potrzebował, niewiele mogła tego wieczoru zrobić dla Simona. Dovey sykała i mruczała nad jego nogą prawie przez całą godzinę, ale kiedy skończyła, rana były czysta i zszyta, a Simon naszpikowany antybiotykami.

Mocny charakter i więcej niż kilka łyków whisky pozwoliły mu znieść operację. A teraz to wszystko, co przeżył w ciągu tej godziny, odsypiał.

A przynajmniej tak jej się wydawało, dopóki nie usłyszała jego głosu:

- Aaron!

Pospieszyła do sypialni. Simon nie krzyknął, ale wypowiedział to na tyle głośno, że gdyby ktoś był pod oknem, usłyszałby go niechybnie. Tate, która stała się przezorna, wręcz lękliwa, wiedziała, że wszystko jest możliwe.

Zaczęła nim nerwowo potrząsać. Powróciły wspomnienia pierwszych dni, kiedy majaczył w gorączce. Przeraziła się.

Drżącą ręką zapaliła lampę naftową, po czym usiadła na łóżku obok niego i dotknęła jego ramienia.

- Simon - zawołała łagodnie. - Simon, obudź się! Żelaznym chwytem unieruchomił jej rękę i zanim zdążyła się zaprzeć i złapać równowagę, rzucił ją na łóżko obok siebie. Zawisł nad nią, uniół powieki, ale jego oczy patrzyły jakby przez nią, na wylot.

- To tylko ja. Jesteś bezpieczny. Miałeś zły sen. Stopniowo odzyskiwał ostrość widzenia. Serce Tate zabiło szybciej. W końcu opadł z powrotem na poduszkę i wbił wzrok w sufit. Uniósł wolną rękę, jakby chciał zasłonić oczy, tyle że nie przed światłem księżyca, sączącym się przez okno. Przed prawdą. Mocniej chwycił rękę Tate, choć wcale nie była pewna, czy jest tego świadomy.

- To znaczy, że Aaron nie żyje?

- Niestety. - Przekreśliła się na bok i zwróciła twarz w jego stronę. - Ale nie myśl teraz o Aaronie. Musisz myśleć o sobie.

Milczał przez chwilę, a kiedy się odezwał, czuło się wyraźnie, że wypowiada na głos swoje myśli.

- Aaron nauczył mnie łowić ryby, kiedy pracowaliśmy razem w Oregonie nad sprawą, o której ci mówiłem. Nie łowiłem od czasu, gdy byłem dzieckiem, ale Aaron kupił mi tyle sprzętu, że wystarczyłoby na złowienie wieloryba.

- Simon...

- Po dojściu do sześćdziesiątki chciał sprzedać interes i przenieść się gdzieś nad jezioro, żeby móc łowić codziennie. Sylwia miała tkać, a oboje mieli zajmować się wychowywaniem wnuków. Wcześniej, kiedy dzieciaki dorastały, nie widywali ich za często. Liczył, że wynagrodzi im to jako idealny dziadek.

- Ciężko jest stracić przyjaciela, zwłaszcza po tym, co zrobił Gallagher.

- Gallagher. - Te trzy sylaby przepełnione były goryczą.

- Aaron zaraził wędkarstwem Gallaghera. Traktował go jak syna.

- To Gallagher jest młody?

- Nie starszy ode mnie.

- Simon, chyba nie zamierzasz.... - Urwała. Chciała znaleźć ładniejsze słowo niż zemsta, czy jego męski odpowiednik: rewanz. - Chyba nie zamierzasz go tropić? Ważniejsze jest twoje własne bezpieczeństwo.

- Dopóki Gallagher zajmuje się tym, nigdy nie będę bezpieczny.

- Co masz na myśli, mówiąc „zajmuje się tym”? Zrzucił jej rękę.

- Już późno. Lepiej idź spać.

- Spójrz na mnie! - Tate przytrzymała rękami jego twarz.

- To się musi w jakimś miejscu zatrzymać, nie rozumiesz? Aaron nie żyje, a ty sam otarłeś się o śmierć. Dovey mówi, że teraz twojej nodze nic już nie grozi, ale gdyby kula trafiła parę centymetrów w lewo, roztrzaskałaby kość. Mogłeś umrzeć gdzieś w lesie, próbując dowiec się w bezpieczne miejsce. W najlepszym razie mogli cię złapać.

Ujął jej dłoń i położył je sobie na piersi.

- Nie zaprzataj sobie głowy moją osobą.

- Nie? - Pochyliła się nad nim i powoli, na odległość szeptu, zbliżyła usta do jego ust.

- Idź spać, Tate.

- Kiedy ja nie mogę nie zaprzatać sobie tobą głowy.

- Musnęła jego wargi jeden raz, a potem drugi. - Bałam się śmiertelnie przez cały wieczór, zastanawiałam się, co się z tobą dzieje i starałam się nie zaprzatać sobie tobą głowy. Ale nic z tego.

- Jak tak dalej pójdzie - powiedział szorstko - zabrniesz za daleko i nie będziesz miała odwrotu.

- Już zabrnęłam. - Tym razem na dłużej przywarła ustami do jego warg.

Odepchnął jej ręce i chwycił ją za ramiona, chcąc ją odsunąć. Wbił palce w jej ciało, ale zabrakło mu siły, by ją popchnąć.

- Wcale nie pragnę bać się o ciebie, przejmować się tobą, czy być w tobie zakochaną - powiedziała cicho. - Ale to już się stało.

- Nie, nic podobnego!

- Nie? - Odgarnęła mu włosy z czoła. - Ja nie chcę cię kochać. Nie chcę nikogo kochać, ponieważ nie uważam, że mogłabym być w tym dobra. Ale chyba nie mam wyboru.

- Możesz wstać i stąd wyjść. Kiedy jutro zniknę, powiesz sobie, że nic wielkiego się nie stało. Bo to prawda, ponieważ nie mam ci nic do ofiarowania. Jestem chodzącym żywym trupem.

- Mimo to jakoś jeszcze żyjesz!

Dotknął jej włosów. Były delikatne, jedwabiste, ładnie kontrastowały z jej bladą, zatroskaną twarzą. Pomyślał o wszystkim, co dla niego zrobiła, a także o tym, co jeszcze była gotowa zrobić. I pomyślał o wszystkim, czego on sam nigdy nie będzie mógł dla niej zrobić.

Kiedy się odezwał, jego głos był pozbawiony wszelkich uczuć.

- Żyję, ponieważ los mi sprzyja, a także dlatego, że mogę myśleć tylko o sobie.

- Więc pomyśl też o kimś innym - zagalopowała się. - Nie zapominaj, że pomszczenie śmierci Aarona może cię kosztować życie i że zostawisz tu kogoś, kto będzie cię oplakiwał. Jeśli nie odpuścisz Gallagherowi i on cię zabije, zabije i mnie!

Chwycił jej głowę i zmusił, żeby spojrzała mu w oczy.

- Zachowujesz się jak idiotka! Jestem dla ciebie nikim. Nikim. I kiedy jutro odejdę, nadal będę nikim.

- Powiedz to jeszcze raz! - Choć palce Simona były zanurzone w jej włosach i choć przytrzymał jej głowę, dosięgła jego ust.

Odwrócił głowę.

- Przestań! - Tym razem wykrzesał siły i odepchnął ją od siebie. - Nie jesteś we mnie zakochana! Jesteś jeszcze dzieciakiem, do licha. I coś sobie ubrdałaś, to wszystko. Jestem dla ciebie jakimś obszarpanym błędnym rycerzem. Wniosłem ożywienie w twoją nudną, ospałą egzystencję. I to wszystko, Tate. Może mnie chcesz, może wcześniej tak naprawdę nie chciałaś żadnego innego mężczyzny. Ale między chceniem a miłością jest przepaść.

- Nie jesteś żadnym rycerzem. Chcę ciebie, ale nie dlatego, że spędzasz życie na wiecznym uciekaniu przed ludzkim ciepłem, czy dlatego, że chcesz zostać bohaterem. - Usiadła. - A ja nie jestem dzieciakiem. Ale może jestem idiotką.

Zza włosów, które opadły i zakrywały połowę jej twarzy, dostrzegł cierpienie.

- Jesteś śliczna i bardzo pociągająca, ale mówi to człowiek, który nie może ci dać tego, na co zasługujesz.

- Może więc mam w sobie więcej z dziecka niż sądziłam. Nie wiedziałam, że dla ciebie namiętność jest równoznaczna z koniecznością dzielenia reszty życia ze mną. Nie wiedziałam, że ratowanie ci życia za wszelką cenę jest równoznaczne z chęcią wymuszenia na tobie poważnych zobowiązań.

- Domagasz się, żebym o tobie myślał!

- Domagałabym się od ciebie księżycy i gwiazdki z nieba, gdybym wiedziała, że uratuję ci życie.

- Idź spać. - Simon prawie wydusił te słowa, a jego głos nie był taki niewzruszony, jakby tego chciał.

Tate wstała i zwróciła się twarzą ku niemu. Wiedziała o odrzuceniu więcej niż większość ludzi dowiaduje się o tym w ciągu całego życia. Poznała również towarzyszące temu okropne przeżycia. Popatrzyła na Simona na tyle beznamiętnie, na ile tylko było ją na to stać, i zastanawiała się, czy jej ból powiększy się, jeżeli będzie ją nadal odrzucał... czy też jest to już niemożliwe.

Sięgnęła rękami do górnego guzika swojej koszuli.

- Ciągle mówisz o moich uczuciach. Dlaczego nie powiesz o swoich? - Odpięła guzik i przesunęła rękę do następnego. - Czy rzeczywiście tylko sobie wyobraziłam, że mnie chcesz?

Zaśmiał się ironicznie.

- Jestem mężczyzną.

Odpięła trzeci guzik, potem czwarty.

- Czy to znaczy, że wszyscy mężczyźni mnie chcą? Simon usiadł i chwycił jej rękę.

- Skończ już z tym!

- Tym? - Nie uśmiechała się. - Czyżbym znowu o coś cię prosiła? O coś, czego nie możesz mi dać?

- Do licha, Tate, ty może jesteś dzieciakiem, ale ja nie!

- Czy dorosły normalny mężczyzna szaleje na widok dziecka? - Wolną ręką rozpięła kolejny guzik.

Simon szarpnął ją i posadził z powrotem obok siebie.

- Zależy ci na seksie, czy tak? Na niczym innym?

- Proszę o cokolwiek, co możesz mi dać, i o nic więcej.

- Nie prosisz o wiele.

- Może to tak wygląda. Ale nigdy wcześniej nie prosiłam o nic żadnego mężczyzny.

Jej komunikat był jednoznaczny. Simonowi odjęło dech, przez chwilę brakowało mu słów. W końcu je znalazł.

- Znajdź kogoś, kto doceni twoją ofiarę. Nie marnuj tego dla mnie.

- Chyba mam do tego prawo. - Rozpięła ostatni guzik. Poruszyła się, a koszula zsunęła się z jej pleców i z ramion. W świetle lampy jej stanik tworzył tylko o jeden ton jaśniejszą plamę niż jej skóra.

Simon wstrzymał jęk. Nie przypominał sobie, żeby widział jej ciało powyżej nadgarstków. A widok jej nagiej, skąpanej w świetle naftowej lampy, był jak dręczący sen. Ale miał dość sił, żeby się jej oprzeć. Nie umiałby, nie chciałby nazwać po imieniu swoich odczuć, wiedział tylko, że mają niewiele wspólnego z brakiem kobiet w jego życiu, czy też z niebezpieczeństwem, w jakim się znalazł.

Tate sięgnęła do zatrzasku stanika. Drżały jej palce, ale go odpięła. Zrzuciła go z siebie.

Miała drobne piersi o różowych, wzruszająco zadartych koniuszkach.

- Ogrzej mnie - powiedziała cicho. Jeszcze próbował się bronić.

- Sama nie wiesz, co robisz.

- Nie? Więc mi pokaż. - Podeszła bliżej. - Pokaż. - Sięgnęła po jego rękę i powiodła ją ku swojej piersi.

Jeszcze nigdy nie czuł czegoś równie delikatnego. Nie chciał jej przyciągać do siebie, ale to zrobił. Nie chciał otoczyć jej ramieniem, kiedy rozpinęła mu koszulę, ale to zrobił.

Zwlekała przy każdym guziku, podczas gdy jego ręce dotykały jej pleców. Przycisnął twarz do jej włosów, a ona poczuła, że on drży. Nie wiedziała, czy z namiętności, czy z żalu.

Poczuła pod palcami jego umięśnioną pierś. Powędrowała rękami od jego pasa do szyi. Zsunęła z niego koszulę i przytuliła się do niego.

Trzymał ją, chociaż powinien był ją odepchnąć. Poczuł, jak twardnieją jej sutki, i wiedział, że jest zgubiony.

- Nie chcę cię skrzywdzić - powiedział, kołysząc się razem z nią w niezamierzonej pieśczoście.

- To dobrze. - Tate wygięła plecy, żeby być jeszcze bliżej niego. - Nie skrzywdź mnie. Tylko mnie kochaj. Tylko teraz. Tylko tej nocy.

Chciał ją ostrzec. Chciał, żeby zrozumiała, że narażają się na niebezpieczeństwo, o jakim ona nie ma pojęcia. Ale jego usta nie wyraziły żadnego ostrzeżenia. Zamiast tego muskały delikatną jak płatek kwiatu skórę jej czoła i łaskotały jej policzki.

Całując ją w usta, dotknął jej piersi. Wyprostowała się, jakby go zapraszała do dalszej pieszczoty. Rozchyliła wargi, a kiedy pogłębił pocałunek, kiedy spotkały się ich języki, westchnęła rozkosznie.

Wiedział, że boi się, iż nadal będzie się opierał. Nie miała pojęcia, jak bardzo go pociąga. Sądziła, że tylko ona żywi uczucia; nie wiedziała, że są ich wspólnym udziałem. I mimo to odważyła się i poniżyła. Sama przysłała do niego, ofiarowując mu siebie.

Pod wędrującą dłonią czuł jej delikatne, kruche ciało. Ale wiedział, że jest silna jak stal. Może więc, kiedy od niej odejdzie, jednak jakoś się pozbiera? Ma w sobie więcej odwagi, prawdziwej odwagi niż ktokolwiek.

- Po prostu chcę cię ochronić - wyszeptał. - Ale pragnąłem cię od pierwszego wejrzenia.

Objęła go mocniej, a kiedy ją całował, zamknęła oczy. Od silnych doznań zrobiło się jej gorąco i wilgotno. Simon przejechał palcami wzdłuż jej kręgosłupa, ujął rękami jej pośladki. Położył ją na sobie. Pomimo grubych dżinsów wyczuła, jak jest podniecony. Gdy położył głowę na żeliwnym oparciu łóżka, przełożyła jedną nogę przez niego.

Miał na wpół zamknięte oczy, zaciśnięte usta, jakby jeszcze próbował zapanować nad sobą. Zawsze był cierpliwym, powściągliwym kochankiem, na tyle umiejącym zachować dystans, żeby nie tylko brać, ale i sprawiać przyjemność. Teraz zastanawiał się, czy dzisiejszej nocy możliwy będzie jakikolwiek dystans między nimi. Pragnął spełnienia, a przecież nawet nie byli całkiem rozebrani.

Była taka lekka, że prawie nie czuł jej ciężaru. Za to wyczuwał każdy centymetr jej ciała, każdy pojedynczy jedwabisty włos, który muskał mu twarz. Może nie miała nigdy kochanka, ale nie zachowywała się jak drżąca dziewica. Dzieliła się sobą, ofiarowywała siebie, swój żar, swoje uczucie, z całą hojnością ciała i duszy, jakiej nigdy nie doznał.

Przesunął ją, leżeli teraz na boku, a ona nadal nie zdejmowała z niego nogi, w obawie, że mógłby wstać i odejść. Miała wrażenie, że płynie w wodzie, która ją zalewa. Gdy sięgnął ręką do paska jej dżinsów, odsunęła się, by mu zrobić miejsce na odpięcie guzika.

- To się dzieje za szybko. - Ręka Simona zjechała na dół i rozpięła jej spodnie, ale ich nie zsunęła. Zamiast tego rozpoczął powolną wędrówkę ustami. Odnalazł bijący jak werble puls na jej szyi i delektował się jego zawrotnym rytmem. Odszukał językiem zagłębienie na gardle i usłyszał jej jęk.

Skórę miała tak jasną, że mógł iść śladem delikatnej siateczki żyłek przebijających przez nią. Miała smak ciepłej śmietanki i miodu z dzikich kwiatów. Spowijały go zapachy jesieni, słodkawego leśnego powietrza zabarwionego sosną i palącym się drewnem jabłoni.

Gdy wessał koniuszek jej piersi, jęknęła znowu. Intensywność przeżycia zdawała się nie do zniesienia. A ona poruszyła się pod nim, prosząc w milczeniu o więcej. Sięgnął wargami do jej drugiej piersi.

Przeszyła ją rozkosz. Zastanawiała się, czy można od niej umrzeć. Nie wiedziała, czego od niego oczekuje. Tylko tęskniła za czymś, na co nie miała słów.

Uniósł głowę, żeby na nią popatrzeć. Rzęsy kładły się ciemnym cieniem na jej zaróżowionych policzkach. Burza włosów przykrywała białą poduszkę. Poczł przyplw głębokiego uczucia, które dodało skrzydeł jego namiętności. Nie była zwyczajną kobietą, on zaś nie należał do ludzi trzymających się kurczowo życia, które i tak błyskawicznie umykało. Była jego kobietą, tak powiedziała, i takim uczuciem go przepelniała. I zawsze będzie jego kobietą, niezależnie od tego, czy doczeka, czy nie doczeka jutrzejszego dnia.

Szepnęła jego imię i uniosła ku niemu wargi.

Tak niewiele mógł jej dać, a tym bardziej powiedzieć. Ale mógł jej dać tę noc.

Zsuwał jej dzinsy i jednocześnie pieścił jej brzuch i biodra. Chciała mu pomóc, ale chwycił jej dłonie i przytrzymał.

- Pozwól, że sam zdejmę - powiedział.

- Jak twoja noga?

- Bolała jak diabli, ale teraz prawie jej nie czuję.

Ściągał z niej dzinsy po centymetrze, jednocześnie głaszcząc jej długie smukłe nogi. Musnął ręką ciemny trójkąt włosów, by po chwili zacząć ją tam pieścić. Każde dotknięcie jego rąk napełniało żarem jej ciało. Wsunęła ręce w jego włosy i poczuła, jak usta Simona podążają śladem jego rąk. Oderwała się ciałem od ziemi, odpłynęły wszystkie myśli. Unosiła się, wstrząsały nią coraz to nowe fale doznań. Nie zauważyła, kiedy Simon rozebrał ją. Nie spostrzegła, kiedy i ona go rozebrała.

Poznawała cudowną, zniewalającą doskonałość ich złączonych ciał. Czowała bicie jego serca, jego rozpaloną skórę, szorstkość jego włosów, a wszystko to było jak gdyby częścią niej. Jego twarda pierś delikatnie uciskała jej piersi, jego ramiona były sztywne od naprężonych mięśni. Przesunęła niżej ręce... I zatrzymała się.

Rozbrzmiał chrapliwy śmiech Simona.

- No i gdzie się podziała twoja odwaga? - Chwycił jej ręce i przesunął je niżej, aż dotarła do miejsca, którego jeszcze nigdy nie dotykała u żadnego mężczyzny.

Otworzyła oczy i wpatrywała się w niego, jednocześnie badając nieznaną sobie teren.

Obserwował zmieniający się stopniowo wyraz jej twarzy. Nagle poczuła się w pełni kobietą. Nie była już tylko odbiorcą wrażeń zmysłowych kochającego się z nią Simona, lecz spragnioną i równoprawną partnerką. I być może wkrótce pozna to, czego dotąd nie знаła.

Gdy znów chwycił jej ręce i położył je nad jej głowę, wygięła się w łuk, szukając go całym swoim podbrzuszem. I uniosła biodra tak, aby go wchłonąć, i w ten sposób po raz pierwszy w życiu wyszła na spotkanie swojej pierwszej przesywającej ją rozkoszy.

Gdy Tate wstała z łóżka i podeszła do paleniska, ogień dopalał się. Simon spał, a ona była tylko w jego koszuli, którą naciągnęła zamiast szlafroka. Drżała z zimna i zastanawiała się, czy dorzucić drwa do ognia, czy też wrócić do łóżka i ogrzać się w jego ramionach.

Poszła na kompromis, podtrzymując ogień szczapami i paroma kawałkami drewna. Opłukała się też ciepłą wodą z wiszącego nad paleniskiem czajnika. Ale kiedy już była gotowa, by dołożyć do ognia trochę większych bierwion, które paliłyby się przez całą noc, stwierdziła, że nie ma na to ochoty. Ściągnęła kaszmirową narzutę z sofy i siadając na dywaniku, zapatrzyła się w płomienie.

Teraz jest kobietą Simona, nawet jeżeli on nie rości sobie do niej żadnych praw. Oddała mu się, dając wszystko, co miała. Ale co on zapamięta z tej nocy? Na pewno nie jej inicjatywę jako kochanki. Ogluszona doznaniem, nie potrafiła się skoncentrować na niczym innym, nie potrafiła zaspokoić jego potrzeb. Nie skarżył się i nie narzekał, ale przecież, gdy było po wszystkim, zobaczyła w jego oczach niedosyt i żal. Może jest dzieckiem, może rzeczywiście jest także zwykłą idiotką. Ale nie na tyle, by nie wiedzieć, że nie dała mu rozkoszy. Co najwyżej, po miesiącach spędzonych w więzieniu, mógł się odprężyć, zaspokajając seksualne potrzeby.

Nie miała wątpliwości, że po swoich miłosnych związkach oczekiwał czegoś więcej. Nigdy go nie zapytała o jego osobiste życie, ale w przeszłości musiał mieć wiele kobiet. Podobnie jak będzie je miał w przyszłości... o ile jej doczeka.

A tymczasem w niej jeszcze wszystko pulsowało, a serce przepelniała rozterka.

Nagle jego ręce spoczęły na jej ramionach.

- Czy to prywatne przyjęcie? Czy też mogę dołączyć? Tak była pograżona w myślach, że nie słyszała, jak podszedł.

- Ja... właśnie trochę ogrzewam chatę, zanim dołożę do ognia na noc...

- Brakowało mi ciebie. - Simon usiadł na dywaniku. Wyczuł pod palcami napięcie mięśni Tate, wołał więc jej teraz nie dotykać.

Popatrzyła na niego. Miał na sobie dzinsy i przerzucony na sposób indiański koc na ramionach.

- Potrzebujesz snu. Nie powinieneś być wstawać. Próbował zgłębić jej myśli. Zastanawiał się, dlaczego jej głos brzmi tak, jakby była jego pielęgniarką, a nie kochanką.

- Ty też nie powinnaś być wstawać. Mogłaś napalić rano. Oboje milczeli przez długą chwilę. Kiedy odezwała się w końcu, w jej głosie nie było większych emocji.

- Simon, przepraszam, jest mi przykro.

Najchętniej by nią potrząsnął i jak najszybciej wydusił z niej wyjaśnienie.

- Za co?

- Zmusiłam cię, żebyś się ze mną kochał. Nie miałeś wyjścia.

Wątpił, żeby rzeczywiście przeproszała za swoją zbytnią śmiałość.

- Ja... miałeś rację. To był zły pomysł - dokończyła. Wpił palce w jej ramiona.

- W porządku - powiedział. - A teraz powtórz to jeszcze raz.

- To był zły pomysł! Wiem, że tego żałujesz. Wiem, że nie byłam dobra. Nie wiem, co robię, co czuję. Zachowałam się jak dziecko, o co zresztą mnie oskarżałeś!

Wytrzeszczył na nią oczy.

- Jak dziecko?

- Jak dziecko. Nie mam doświadczenia. Przekonałeś się o tym. Ja... myślałam, że to nie ma znaczenia, ale pomyliłam się.

Nie rozumiał, co do niego mówi. Próbował nadać sens jej słowom.

- Czy mówisz o tym, co czułaś, czy o tym, co zrobiłaś?

- O tym, co ty czułeś. Koniuszkami palców dotknął jej warg.

- Skąd możesz wiedzieć, co ja czułem? Ale na razie dajmy temu spokój i porozmawiajmy o tobie.

Nie mogła patrzeć mu w oczy, nie mogła wydusić słowa.

- To było mało zabawne, prawda? Sprawilem ci ból. Chciałem być delikatny, ale nie byłem. Zatraciłem się, zanim zdążyłem dać ci więcej.

- To nie twoja wina, ale moja. Sądziłam, że będę wiedziała, co robić. Byłam pewna...

- Byłaś fantastyczna. - Pieścił jej włosy i czuł, jak narasta w nim pożądanie. Ich rozmowa była jak afrodyzjak, a dotykanie jej przypomnieniem nagiego, aksamitnego ciała Tate.

- Nie musisz mnie pocieszać ani o niczym zapewniać. Nie jestem aż taka wrażliwa...

- Ależ jesteś! I potrzebujesz zarówno jednego, jak i drugiego. Pozwól teraz, że ja powiem, co czułem.

- Ty żałowałaś, że się ze mną kochasz! Poznałam to potem po twoich oczach. Kochanie się z dziewicą musi być mało zabawne. I na pewno nie w twoim stylu.

Delikatnie położył ją na dywaniku i unieruchomił ciężarem swojego ciała.

- Rzeczywiście czuję żal. Masz rację. Ale nie dlatego, że się kochaliśmy. A dlatego, że nie mogę się z tobą kochać codziennie, do końca życia. Nawet nie zbliżyliśmy się do szczytu możliwości, a ja nie dałem ci rozkoszy, jaką chciałbym ci dać, i tego także żałuję.

Pocałował ją, nie dopuszczając jej do głosu.

- A co do kochania się z dziewicą, to prawda, że ma to pewne ujemne strony, ale nawet nie wiesz, jak wspaniale jest być twoim kochankiem. Mężczyznę, który dzieli to z tobą.

Znów ją pocałował. Wiedział, że pragnie mu uwierzyć, ale jeszcze nie może.

- Dałaś mi więcej rozkoszy tej nocy niż mogłem się spodziewać. Nigdy tego nie zapomnę. Nigdy. I ciebie nigdy nie zapomnę. - Zaczął rozpinać guziki jej koszuli.

- Nie musisz...

- Nie muszę? - Uniósł brew. - Już przecież nie jesteś dziewicą. A ja już nie stracę panowania nad sobą. Przed nami jeszcze spory kawałek nocy. Przekonajmy się, czy potrafisz się pozbyć swoich wątpliwości.

Ogień zgasł, a w chacie zrobiło się zimno. Ale do łóżka dotarli później, znacznie, znacznie później. Nasycona i zadowolona ze swojej umiejętności dogodzenia Simonowi, Tate zasnęła natychmiast w jego ramionach.

Leżał obok niej, pieścił jej włosy i zastanawiał się, czy bohater może się zmienić w zwykłego człowieka i czy zbieg może przestać uciekać, a ścigany może pozwolić się złapać kobiecie.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Na godzinę przed świtem Simon wysunął się z objęć Tate. Spała mocno przez całą noc. Teraz też spała, zwinięta wdzięcznie jak wierzbową gałązką, z burzą włosów na poduszce.

Siedząc jej głęboki, równy oddech, wstał powoli, ostrożnie, żeby nie zatrząść łóżkiem. Spała z wyciągniętą ręką. Kogo albo czego szukała? Czy nawet przez sen czuła, że ją opuszcza?

Zapamiętał ostatnie jej słowa przed zaśnięciem.

- Pozwól sobie pomóc w ucieczce - wymruczała. - Pozwól mi jeszcze raz spróbować. Obiecuj, że pozwolisz mnie i Willowi znaleźć sposób na zapewnienie ci bezpieczeństwa.

Wyszeptał, żeby się nie martwiła. Była zbyt wyczerpana, żeby się zorientować, iż niczego jej nie obiecuje. I tak dowie się po przebudzeniu, miał tylko nadzieję, że będzie wiedziała, dlaczego nie skorzystał z jej pomocy.

Już i tak naraził ją na zbyt wielkie niebezpieczeństwo. Kiedyś wierzył, że Josiah Gallagher jest człowiekiem honoru. Teraz wiedział, że gdyby Gallagher podejrzewał, iż Tate pomogła mu w ucieczce, nie cofnąłby się przed niczym, żeby ją zmusić do mówienia. Jedynym sposobem zapewnienia jej bezpieczeństwa jest zniknięcie. Z jej domu, z Arkansas, a także z jej życia.

Nie chciał tego. Nie należał do ludzi, którzy się okłamują. Teraz, gdy nie widział przed sobą przyszłości, chciał się wsunąć z powrotem do łóżka, pieścić ją i całować, aż się w pełni rozbudzi, stopić się z nią tak całkowicie, żeby wszystko - każde niebezpieczeństwo, każdy strach - przestały być realne.

Zamiast tego wyszedł z łóżka, rzucając na nią ostatnie spojrzenie. Po czym odwrócił się i wziął swoje rzeczy, żeby się już ubrać w sąsiednim pomieszczeniu. Niemiłosiernie bolała go noga, ale po raz pierwszy wierzył, że się wyleczy. Najważniejsze, że go udźwignie. Na szczęście znalazł taki sposób ucieczki, przy którym nie będzie musiał dużo chodzić.

Poprzedniego wieczoru, gdy obolały kuśtykał przez okoliczne pola i lasy, szukając powrotnej drogi do chaty, natknął się nad rzeką na szopę. Domyślił się, że należy do Tate. Otworzenie zamka i zajrzenie do środka nie nastęrczało żadnych trudności.

Wewnątrz znalazł łódź, ustawioną sztorcem na kozłach do rżnięcia drzewa, a także parę solidnych wiosel. Oglądając ją przy świetle księżyca, mógł się tylko domyślać, że ktoś z niej korzystał, ale nie był w stanie ocenić jej przydatności na wodzie. Wkrótce podejmie

ryzyko i przekona się o tym na własnej skórze. Miliard Carter należał do ludzi, którzy dbają o wszystko, co napotkają na swojej drodze. Nawet gdyby Miliard nigdy nie korzystał z łodzi, powinien był ją trzymać w dobrym stanie.

Ale wszystko wskazywało na to, że jej używał. Wzdłuż ścian szopy wisiał i leżał sprzęt rybacki, włącznie z dużą ilością wędek i przynęt, kurtką rybacką i znoszonym kapeluszem przeciwdeszczowym z powiewającym zawadiacko piórkiem na rondzie. Wszystko to świadczyło o zamiłowaniu Miliarda do wędkowania.

Simon postanowił dzisiaj zrobić dobry użytek z tego sprzętu i z prądem rzeki popłynąć ku wolności. Zamierzał udawać ozarskiego wędkarza, zwyczajnego człowieka, który przed zimą wybrał się na ostatni połów.

Wiedział, że gdyby zaczekał do wieczora, miałby większe szanse, ale nie chciał ani chwili dłużej narażać Tate na niebezpieczeństwo. Znał też na tyle rzekę, by wiedzieć, że gdzieś na trasie znajdują się wodospady, a także odcinki, gdzie woda jest sztucznie spieniona i gdzie odbywają się spływy, i że zjeżdżają się tam ludzie z całego kraju. Pokonanie tych odcinków po zmierzchu w łodzi na wiosła byłoby najgłupszym sposobem popełnienia samobójstwa. A raczej... najbardziej mokrym i zimnym sposobem popełnienia samobójstwa.

Wiedział, że udawanie wędkarza nie zagwarantuje mu bezpieczeństwa. Powodzenie ucieczki oceniał na jakieś pięćdziesiąt procent, nie więcej, ale nie miał wyboru.

Ubrał się szybko, zapiął na ramieniu przerobiony pas z kaburą i sprawdził broń.

Kanapki, które Tate dała mu wczoraj na drogę, nadal znajdowały się w kieszeni jego peleryny. Niewygodnie je nosić, ale mogą się przydać. Chciał spuścić łódź na wodę przed wschodem słońca.

Zamknął za sobą frontowe drzwi, przywarł do ściany i oswajał wzrok. Nocną ciszę przerywało jedynie nawoływanie przebudzonych ptaków. W górze stał nieruchomy las, jak gdyby wszyscy nocni maruderzy pochowali się, zaś dzienne stworzenia nie wychyliły się jeszcze ze swoich norek. Nad słuchiwał, wyostrzył wszystkie zmysły, ale wokół panowała głucha cisza.

Zbiegł ze stopni ganku i trzymając się jak najbliżej chaty, dotarł do narożnika. Wiedział, że najniebezpieczniejsze będzie przecięcie polany i dotarcie do zagajnika z wejmutkami. Potem jeszcze jedna polana, a dopiero po niej, jeśli się nie myli, znajdzie się w lesie, skąd już będzie blisko do szopy.

Im bliżej był rzeki, tym opary stawały się gęstsze, tym głośniej szumiała woda. Przed paroma dniami przywiodła go w to miejsce, do kobiety, której będzie pragnął do końca życia, a która nauczyła go dzielić się sobą.

Gdy dotarł na skraj lasu, przystanął i wpatrywał się w szopę. Była oddalona o jakieś czterdzieści metrów, otoczona krzewami i tulipanowcami, ze ścieżką po przeciwnej stronie, najpewniej wydeptaną wcześniej przez Miliarda. Teraz Simon miał przetrzeć swój własny szlak. Jeszcze przez chwilę stał nieruchomo i obserwował rzekę, a także drzewa nad sobą. Zadowolony, że wokół panuje spokój, zaczął przedzierać się przez krzaki.

Pociągnął drzwi szopy. Zaskrzypiały zardzewiałe zawiasy, a kiedy drzwi się otworzyły, podparł je kamieniem. W środku, na kozłach, stała łódź. Przeciągnął ręką po kilu, wyszukując oczami i palcami jakiegoś defektu, czegoś, co mogłoby pokrzyżować jego plan.

Bez większego trudu udało mu się zsunąć łódź z jednego kozła, choć od dodatkowego obciążenia niemiłosiernie zaboląła go noga. Zanim zsunął łódź z drugiej strony, pozbiierał ubrania i sprzęt: kurtkę, kapelusz, wędki, pudełko z haczykami i innymi niezbędnymi do łowienia drobiazgami. Kurtka prawie zmieściła się pod peleryną, rondo kapelusza dostatecznie nisko zachodziło na czoło.

Kiedy był gotowy, dociągnął łódź do drzwi i przekręcił ją na bok. Następnie, odwrócony tyłem, zaczął ją ciągnąć na zewnątrz.

Raptem, z tyłu, rozległ się męski głos:

- To by było na tyle, Vandergriff. Trzymaj ręce na łodzi i nie ruszaj się.

Simon nie rozpoznał głosu, ale doskonale orientował się w swojej sytuacji. Była prawie beznadziejna. Stał nieruchomo, czekając na strzał z rewolweru.

- Przynajmniej pozwól, że zobaczę, kim jesteś - powiedział, chcąc zyskać na czasie.

- Naprawdę nie wiesz? - Męski głos zabrzmiał prawie dobrotliwie. - To dziwne.

- Pozwól mi się odwrócić, może obaj się zdziwimy.

- Podnieś ręce nad głowę. Złącz je. Dobrze. A teraz odwracaj się powoli. Żadnych wygłupów, rozumiesz?

Była to bardziej prośba niż rozkaz. Simon odwracał się najwolniej, jak mógł. Głos był mu nieznany, ale nie męczyzna, do którego należał. Kiedy go widział ostatni raz, uśmiechnięty młody człowiek był w towarzystwie Josiaha Gallaghery. Puciołowata i błyszcząca twarz i... w jakiś sposób nieubłagana.

- Barker! A gdzie jest twój szef? Barker potrząsnął głową.

- Obecnie nazywam się Kinney. Ben Kinney. Czy ta bruneteczka nie wspomniała ci o mnie?

Simon nie zdążył mu odpowiedzieć. Zza Barkera, z zagajnika, wyłoniła się nagle jakaś postać. Kolba dubeltówki wykonała efektowny ruch w powietrzu i spadła na jego czaszkę.

Barker złożył się jak scyzoryk i padł na ziemię, zanim jeszcze dubeltówka zatoczyła pełny łuk.

- Myślałeś, że mi zwiejesz? - Tate uklękła nad Barkerem, uniosła nadgarstek, żeby sprawdzić puls, ale jej słowa były skierowane do Simona.

- Mógłby cię zabić! - Simon w mgnieniu oka stanął za nią i podnosił ją z ziemi.

- Twojego przyjaciela będzie cholernie bolała głowa.

- Czy chcesz powiedzieć, że mnie śledziłeś? - Z niedowierzaniem potrząsnął nią.

- Nawet się nie zorientowałeś, prawda? Nie można powiedzieć, żebyś był dobry w tym, co robisz. Mogłabym ci udzielić paru lekcji.

Nie wiedział, czy ją pocałować, czy znowu nią potrząsnąć. Zamiast tego odsunął ją.

- Musimy stąd zwiewać. - Pochylił się, chwycił Barkera pod pachy i z trudem wciągnął go do szopy.

- Kim jest ten facet? - zapytała, gdy zatrzasnął i zamknął drzwi na kłódkę.

- Prawa ręka Gallaghery. - Podniósł z ziemi rewolwer Barkera, który tamtemu wypadł po ataku Tate, sprawdził go i wręczył jej. - Umiesz się tym posługiwać?

Pokiwała głową.

- A więc Gallagher...

- Jest gdzieś w pobliżu. - Simon sięgnął po swój rewolwer i pociągając Tate za sobą, ruszył w stronę lasu, odwracając się tylko jeden raz, żeby się upewnić, że jest z nim.

- Zamierzałeś popłynąć w dół rzeki? - zawołała oskarżycielsko.

- Ciszej!

- I zamieniłbyś się w idealną kaczkę do odstrzału.

W lesie, gdzie było względnie bezpiecznie, odwrócił się i szarpnął ją w swoją stronę.

- A masz jakiś lepszy pomysł? Próbuję się stąd wydostać. Próbuję ratować twoje życie.

- A swoje? Co mi po moim, jeżeli odejdziesz i pozwolisz się zabić?

- Gdybym został, na pewno bym ci go nie mógł ofiarować.

- Przecież powiedziałam, że postaramy się z Willem zapewnić ci bezpieczeństwo.

- Nawet nie wiesz, jakiego masz przeciwnika, i jak trudno go przechytryć! - zachnął się Simon. Był wściekły na nią za to, że ryzykuje dla niego życie, był wściekły na siebie za to, że ją w to wplątał.

- Wiem, że stawką jest twoje życie. I to mi wystarczy.

- Wyciągnęła prosząco rękę, dotykając jego policzka. - Pozwól sobie pomóc!

- Teraz już chyba żadne z nas nie wyjdzie z tego żywe.

- Odsunął jej rękę, odwrócił się i utykając, zaczął przedzierać się przez las, najszybciej jak mógł. Rozglądał się co jakiś czas na boki, z uwagą przyglądając się drzewom wzdłuż trasy. Posuwał się z rewolwerem przy biodrze, gotowym do strzału.

Tate trzymała się blisko niego. Rewolwer Barkera schowała za pasek spodni, aby móc szybko oddać strzał, gdyby została do tego zmuszona. Co z tego, że przed chwilą może uratowała życie Simonowi, skoro, jeśli wierzyć jego słowom, oddaliła tylko to, co i tak nieuniknione. Był pewny, że Gallagher jest gdzieś w pobliżu i czeka, by dokonać tego, co jego młody pomocnik rozpoczął.

Nie śmiała się odzywać, choć miała tysiące pytań, przede wszystkim, dlaczego się z nią nie pożegnał. Chociaż tak naprawdę, to wcale nie musiała o to pytać. Z góry wiedziała, co jej odpowie. Z własnej woli zgodziła się na tę jedną noc, nie obiecał jej nic więcej. Teraz jego cała energia koncentrowała się na ucieczce. Ich wspólny czas dobiegł końca, jakiegokolwiek pożegnanie było zbędne.

Simon biegł tak szybko, jak mógł, ale do chaty było ciągle daleko. W pewnej chwili dotknęła jego ramienia i zmusiła, żeby się zatrzymał.

- Tędy będzie lepiej - szepnęła i wskazała na wąską, otwartą przestrzeń po lewej stronie.

- Jesteś pewna? - mruknął.

- Kiedy sama uciekałam, moje życie zależało od tajemnych przejść i szybkich skrótów. - Poszła przodem, poruszając się bezszmerowo, ze zręcznością, której nauczyła się przed laty.

Słońce wstawało, gdy dotarli do ostatniej kępy drzew przed polaną prowadzącą do zagajnika z wejmutkami. Zatrzymali się i nadśluchiwali.

- Wydaje się, że wszystko w porządku - powiedziała Tate bez przekonania.

- Obyś miała rację. - Simon uważnie przyglądał się linii lasu, kilka razy spojrzął na polanę, choć, prawdę mówiąc, nie oczekiwał, że to coś może dać. Było tu za wiele miejsc, w których szukający go ludzie mogli się ukryć, praktycznie wszędzie. - Wygląda na to, że możemy zaryzykować. Zrobimy to etapami. Przedostaniemy się do zagajnika i stamtąd pokonamy ostatni odcinek. Ja pójdę pierwszy. A jeżeli nikt nie zacznie strzelać, pójdziesz za mną, ale najpierw policzysz do dziesięciu.

Zatrzymała go.

- Pozwól, że ja pójdę pierwsza. Mnie nie szukają. Wyjdę najzwyczajniej w świecie, jakbym się przechadzała po lesie. A jeżeli wszystko będzie w porządku, pójdziesz za mną.

- Ktokolwiek mnie śledzi, nie jest aż tak głupi, by sądzić, że wyszłaś zaczerpnąć świeżego powietrza - zirytował się. Nie było czasu na podejmowanie dyskusji, Simon pochylił się i wyszedł na polanę. Zrobiło się już na tyle widno, że stał się łatwym celem, ale jakoś nikt nie skorzystał z okazji.

Tate policzyła do dziesięciu i ruszyła za nim. Czekał na nią na najbardziej zarośniętej dróżce między wejmutkami. Została im już tylko jedna polana do przebycia. Z ich punktu obserwacyjnego roztaczał się rozległy, co najmniej półtorakilometrowy widok.

- Zrobimy to w taki sam sposób - powiedział Simon. - Czekaj, dopóki nie znajdę się przy ganku.

- Uważaj na siebie - powiedziała, chwytając go za ramię.

- Dotąd nie potrzebowałem nikogo, kto by mi mówi, co mam robić - warknął.

- Może ktoś powinien był ci to powiedzieć, zanim znalazłeś się za kratkami!

Powinien się na nią rozgniewać. Złość byłaby najszybszym sposobem na zerwanie więzi między nimi. Ale nie groził mu wybuch złości. Natomiast niepokój o nią przeszkadzał mu w koncentracji. A potrzebował teraz koncentracji jak nigdy.

Nie podziałała złość. Nie podziałało aroganckie zachowanie. Wszystko zawodziło. Mógł się okłamywać na wszelkie możliwe sposoby, a i tak myśl o niej nie przestawała zaprzętać jego umysłu i serca. Wziął jej rękę i podniósł do ust.

- Niech cię lichy weźmie - wyszeptał w zagłębienie jej dłoni. - Tylko nie daj się zabić. Rozglądaj się i nie ruszaj, jeżeli zauważysz coś podejrzanego. Cokolwiek! Rozumiesz?

- Dotąd nie potrzebowałam nikogo, kto by mi mówił, co mam robić!

- Może ktoś powinien był ci to powiedzieć, zanim pozwoliłaś, żeby w twoim życiu pojawił się zbieg, kochanie. - Puścił jej rękę. Po chwili, pochylony nisko, biegł już zygzakiem przez polanę.

Patrząc na niego, poczuła na własnej skórze, co znaczy „mieć serce w gardle”.

Był już na pierwszym stopniu, kiedy ruszyła w ślad za nim. Tak jak on, biegła zakosami, świadoma, że gdyby ktoś zamierzał strzelić, miałby utrudnione zadanie.

Decyzja okazała się słuszna. W miejscu, które przed chwilą opuściła, usłyszała świst kuli, a zaraz potem eksplodującą, rozpryskującą się kamienistą ziemię.

Nie zdążyła się przestraszyć, nie zdążyła też odpowiedzieć strzałem. Instykt jej podpowiedział, że najlepiej biec dalej. Przyspieszyła. Usłyszała kolejny strzał. Tym razem z ganku strzelał Simon. Pobieгла jeszcze szybciej, gdy znowu eksplodowała ziemia.

Wbiegła po dwa stopnie na raz. Simon stał za jednym z masywnych słupków podtrzymujących daszek.

- Szybko, do środka! - krzyknął.

I znowu nie było czasu, żeby dyskutować. Otworzyła drzwi, zerkając za siebie, czekając na Simona.

- Niech ci tylko nie przyjdzie do głowy strzelać do mnie. Głos, który usłyszała, dobiegł od strony okna za jej plecami. Odwracając się powoli, zobaczyła mężczyznę, z bronią w rękę, przy oknie po przeciwległej stronie.

- Simon, uciekaj! - krzyknęła, ale było za późno. Simon był już w środku, zanim zdążyła cokolwiek dodać.

- Simon, trzymam na muszce tę kobietę - powiedział mężczyzna. - Rzuć broń. Ty też - zwrócił się do Tate.

- Zrób to - powiedział zza jej pleców Simon.

Przez moment wahała się, czy nie wycelować w faceta i nie strzelić.

- Zrób to, Tate - rozkazał Simon.

Usłyszała stuk padającej na podłogę broni Simona. Ociągając się, zrobiła to samo.

- Kopnij je tutaj. Simon wykonał polecenie.

- Dobra robota, Gallagher. Skoro mnie dopadłeś, nie ma powodu znęcać się nad nią. - Mówiąc to, przesunął się do przodu, aż położył ręce na ramionach Tate. Poczowała mocny, zdecydowany ucisk, wiedziała, że odepchnie ją na bok, jeśli Gallagher strzeli.

Długo oczekiwany Gallagher nareszcie tutaj! Tate uważnie mu się przyjrzała, choć w tej sytuacji trudno było o obiektywizm. Był wzrostu Simona, ale bardziej krępy. Miał szerokie i mocne kości policzkowe, pełne, nie uśmiechające się usta, a na głowie wielką szopę kasztanowych loków. Bardziej przypominał twardego irlandzkiego glinę niż mężczyznę, który zdradził dwóch najlepszych przyjaciół.

- Czy chociaż wiesz, po co tu jestem? - zapytał Gallagher. Wyglądał bardziej na poirytowanego niż na mordercę.

- Żeby dokończyć to, co zacząłeś w High Ridge.

W lesie, gdzieś na północ od chaty, rozległ się strzał. Na chwilę Tate przestała cokolwiek rozumieć. Rewolwer ma Gallagher. Ale Gallagher nie oddał strzału.

- Idź i odwołaj swoich ludzi - powiedział Simon. - My poczekamy.

Gallagher rzucił okiem na okno.

- Nie lubię tłuc dobrego szkła - powiedział z niesmakiem. - Do tego starego szkła. Bardzo tego nie lubię. - W jednej chwili kawałek szyby posypał się na frontowy ganek, zaś Gallagher strzelał przez wybitą dziurę.

Z lasu oddano kolejny strzał, po czym nastąpiła cisza.

- To nie są moi ludzie, Simon. Jeśli się nie mylę, to raczej twoi znajomi. Najemni zabójcy. Tropią cię od miesiący.

- To ty go tropisz! - wtrąciła się Tate.

- Cśś, Tate. - Simon przesunął ją za siebie. Gallagher zdawał się nie zwracać na to uwagi. Jego wzrok wędrował to w jedną, to w drugą stronę - od nich do lasu.

- O czym ty mówisz? - zapytał Simon.

- To mafia Knappów. Parę miesięcy temu wydali na ciebie wyrok. Jeden z Knappów kierował akcją z więzienia. Drugi wyrok wydali na Aarona.

- Aaron nie żyje.

- Mylisz się. Aaron jest na Hawajach, prawdopodobnie płynie teraz dalekomorskim kutrem i poluje na jakiegoś delfina, oczywiście na koszt podatników. Chyba już go nigdy nie ściągniemy na stały ląd.

Gallagher skupił teraz całą uwagę na Simonie.

- Aaron jest o wiele bardziej rozsądny niż ty. Wiedząc o Knappach, mogłem udać się do niego i wspólnie zapewnilibyśmy ci ochronę. Ale tobie coś zapewnić? Nigdy nikomu nie pozwalasz sobie pomóc. Wiedziałem, że jak zwykle byś odmówił. Sprawa Petersena pojawiła się w samą porę. Zdecydowaliśmy, że będziesz bezpieczniejszy w High Ridge niż gdziekolwiek indziej, więc ukryliśmy cię tam, zatajając, kim jesteś. Tylko że nic nie poszło tak, jak zamierzaliśmy. Ci faceci wyślizgnęli się nam z rąk. Nie mogłem ci o tym powiedzieć. Wiedziałem, że będziesz się domagał, żeby cię wypuścić, a gdy wyjdiesz, położą cię trupem.

- I sądzisz, że w to uwierzę? - zapytał Simon.

- Sądzę, że zrobisz użytek ze swojej głowy! - Kolejny pocisk śmignął po ziemi, rozwalając w drzazgi stopień ganku. - Znasz jakieś lepsze wytłumaczenie? Jakiś powód, o którym nie wiem, a dla którego miałbym chcieć śmierci twojej i Aarona? Nie pamiętasz, że już raz uratowałem ci życie? Dlaczego miałbym chcieć zabić cię teraz?

- Zostawiłeś mnie w High Ridge, żeby tam zgnił. Miałem zostać zabity w przyszłym miesiącu!

- Nie wiedziałem nic o naczelniku Shaw, kiedy cię tam wsadzaliśmy. Wiedziałem, że jest surowy, ale nie że skorumpowany. Teraz już wiem. Po tygodniu twojego tam pobytu umieściliśmy na naszej liście wypłat Cooney'a. Pilnował cię cały czas. Dzięki jego pomocy wydostalibyśmy cię stamtąd, zanim cokolwiek by się stało.

- To dlaczego mi tego nie powiedział?

- Miał rozkaz niewyjawiania niczego. Zaskoczyłeś go swoją ucieczką. - Padły kolejne dwa strzały, a Gallagher strzelił jeden raz w odpowiedzi, odwracając się do nich plecami.

Tate nie mogła dłużej wytrzymać milczenia.

- Kim są ci Knappowie?

- Ostatnia sprawa, do jakiej zatrudnił mnie Gallagher.

Rozpracowywaliśmy ich. Banda zbirów z północnego zachodu.

- Widzę, że nauka łowienia ryb nie poszła na marne - odezwał się Gallagher, wskazując na kapelusze Simona.

- Wyglądasz w tym humorystycznie. - Przyglądał się przez chwilę Simonowi, po czym schylił się i podniósł z podłogi oba rewolwery. Rzucił jeden Simonowi. - Jak ona radzi sobie ze strzelaniem?

- Zapytaj ją samą.

- Na tyle, żeby sprawić ci kłopot - powiedziała Tate, wyciągając rękę.

- Można jej ufać? - zapytał Gallagher Simona.

- Zapytaj ją.

- Simon, jeżeli on mówi prawdę - wtrąciła się Tate - to znaczy, że nie tylko Shaw ci nie odpuści, ale że wszystkie gliny i cała policja z Arkansas są na twoim tropie, podobnie jak reszta ludzi Gallaghera, a także te typki od Knappów...

- Wygląda na to, że naprawdę jestem poszukiwany. Gallagher rzucił rewolwer w stronę Tate, a ona złapała go i odbezpieczyła.

- Każda kula będzie na wagę złota - uprzedził Gallagher, odwracając się plecami do obojga. - Próbowaliśmy dotrzeć do ciebie przed nimi, i gdybyś nam tego tak cholernie nie utrudnił, może by się udało. Moi ludzie przeczesują wzgórza na północ stąd. Wziąłem ze sobą jedynie Barkera, i nie wiem, gdzie zniknął.

- Ucina sobie małą drzemkę - odpowiedział Simon.

- Wielkie dzięki.

Simon złapał Tate za rękę, po czym, pochylając się, przeszedł z nią pod oknem na drugą stronę pokoju.

- Słuchaj uważnie. Chcę, żebyś zeszła do piwnicy. Rewolweru masz użyć do obrony własnej, na wypadek, gdyby ktoś niepowołany znalazł cię tam.

- Chyba żartujesz! - Fachowym ruchem otworzyła rewolwer i sprawdziła naboje. - Nie ruszę się stąd.

- Gdzieś się nauczyła posługiwać bronią? - zapytał.

- Jess postarał się, żebyśmy obie z Kris umiały strzelać. Bał się o nas, kiedy jej zwariowany ojczym, senator Barnard, groził nam. - Posłała mu uśmiech, zajmując pozycję

przy oknie. - Moje życie nigdy nie było nudne i nadal nie jest. Ciągłe w nim uczestniczę. A także oddycham.

Simon wiedział, że nie czas teraz na dyskusje.

- Więc trzymaj się z dala od okna.

- Zgoda. Kiedy nie będę strzelać. - Zaakcentowała ostatnie słowo wybiciem dziury w szybie.

Simon dokończył dzieła, robiąc kolejny otwór.

- Tylko nie szarżuj, bo wrzucę cię do piwnicy!

- A oboje dobrze wiemy, jakie to łatwe!

- I pomyśleć, że król Simon wreszcie spotkał swoją drugą połowę - powiedział Gallagher, podchodząc do nich i ostrożnie zerkając w okno. - Jeżeli wyjdziemy stąd cali, chętnie posłucham waszej pasjonującej historii.

- Jeżeli wyjdziemy stąd cali, i tak długo nie pożyczysz - pogroził mu Simon.

- No co! Zamierzałem się tylko przypodobać. A na razie chętnie przymierzę się do strzału.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Do rana stało się jasne, że w lesie znajduje się trzech mężczyzn z półautomatyczną bronią. Gdyby zostali złapani, ani oni, ani siedzący w więzieniu członkowie zbrodniczej mafii Knappów nie ujrzeliby już nigdy światła dziennego w charakterze wolnych ludzi. Na razie jedyną, choć niewielką pociechą dla broniących się w chacie ludzi był fakt, że kule nie przelatują na wylot, tylko lądują w grubych zewnętrznych belkach ścian.

Gdy po raz trzeci i ostatni załadowali broń, Gallagher zapytał:

- Ile jeszcze macie naboju?

- Wystarczy, żeby władować dwa w każdego, kto jest na zewnątrz - odpowiedział Simon.

- Tate?

- Trzy.

- Więc przestajemy strzelać. Postaramy się wyciągnąć ich z lasu.

- Nie nabiorą się na to, jeżeli oglądali choć jeden stary western - stwierdziła Tate, przywierając plecami do ściany.

- Postaw się na ich miejscu. Kiedyś będą musieli nas podejść. Pokusa będzie silniejsza, jeżeli nie będziemy do nich strzelać. Są też z pewnością odpowiednio ubrani. Żadna kula nie przejdzie przez kamizelki, które, jak sądzę, mają na sobie.

- Simon, jak jakiś nastoletni zabijaka, oparł się niefrasobliwie o swój kawałek ściany, jakby znalazł się na swoim ulubionym rogu ulicy.

- Więc po co do nich strzelaliśmy?

- Dla pozorów. Kiedy po nas przyjdą, będziemy całkiem poważni - odparł Gallagher.

- A ty będziesz w piwnicy - dodał Simon, kiwając głową w stronę Tate.

Zignorowała go.

- To w co mam strzelać? Jeżeli mają kamizelki, mam celować w głowę?

- Jest w tym dobra - powiedział Simon do Gallaghiera.

- W ten sposób załatwiła Barkera.

- Czy kiedykolwiek ta kobieta zastanawiała się nad wyborem zawodu w sądownictwie? - zapytał Gallagher, uśmiechając się pod nosem.

- Raczej wy dwaj powinniście pomyśleć o zmianie zawodu - odparowała. - Spartoliliście całą robotę od samego początku.

- A jaka przy tym taktowna! - Gallagher uważniej przyjrzał się sytuacji za oknem. - Podchodzą bliżej - zakomunikował.

Simon zerknął ze swojego kąta, Tate ze swojego. W miejscu, które wskazał Gallagher, zauważyła trzy nienaturalnie poruszające się gałęzie drzew.

- Wtargną tutaj?

- Najprawdopodobniej.

Zastanowiła się, czy gdyby to się stało, którekolwiek z nich miałyby jakąkolwiek szansę przeżycia? Tamci, przy takim uzbrojeniu i kuloodpornym ubraniu, mogą przypuścić ostateczny, morderczy szturm. Podczas gdy ona, Simon i Gallagher mają do dyspozycji tylko garść nabożów do podziału.

Nadal się zastanawiała, kiedy zorientowała się, że przy niej jest Simon. Na razie nikt do nikogo nie strzelał. Wątpiła, żeby to był dobry znak.

- Czy możesz na chwilę przestać grać twardego faceta? - zapytał dosyć łagodnie Simon.

Odszukała wzrokiem Gallaghera, który jak na złość patrzył w inną stronę.

- Nie zejdem na dół! - rzuciła Simonowi.

- Czy ty nic nie rozumiesz? Jeżeli podejda do nas, bede się o ciebie niepokoił i nikomu nic z tego nie przyjdzie.

Chciała mu powiedzieć, żeby się odczepił, ale był tak autentycznie przejęty, że wołała zamilczeć.

- Może jesteś lepszy w tej robocie niż sądziłam. Kiedy trzeba, wiesz, co powiedzieć.

Odsunął jej włosy z policzka i odchrząknął.

- Może nie dość jasno to powiedziałem, więc nie zapamiętałaś. Powiem to jeszcze raz, nawet gdyby to niczego nie zmieniło. Kocham cię.

Zaniemówiła i tylko wytrzeszczyła na niego oczy.

- Czyżby było aż tak źle? - zapytała w końcu.

- Za dobrze to nie wygląda.

- Większość ludzi modli się i wypowiada ostatnie życzenie przed śmiercią.

- Właśnie to zrobiłem. Zdobyła się na uśmiech.

- Wiedziałam, że trzeba będzie czegoś zupełnie wyjątkowego, żebyś wyznał, że mnie kochasz.

On także zdobył się na uśmiech.

- Na przykład trzęsienia ziemi.

- Będę znacznie bardziej przerażona na dole niż tutaj z wami.

- Gdy będziesz na dole, będę znacznie mniej przerażony i będę znacznie lepiej strzelał.
Objęła go, on zaś pocałował ją z całym uczuciem, którego nie umiał wyrazić słowami.

Po czym odsunął ją od siebie.

- Tylko nie zostaw za sobą żadnych śladów.
- Moglibyśmy wszyscy zejść na dół. Dopiero byliby wściekli.
- Jeśli wszyscy znikniemy, będą nas szukać, aż nas znajdą.
- Simon...

Nie dał jej dokończyć.

- Już cię tu nie ma! Wyciągnęła do niego swój rewolwer.
- Weź go.
- Może ci się przydać.
- Jeżeli mnie znajdą, nawet nie zdążę oddać strzału. Wziął jej rewolwer.
- A teraz zmykaj.
- Ja też cię kocham. - Odwróciła się i ruszyła w stronę sypialni.

Simon patrzył za nią, dopóki nie zniknęła.

- Mam nadzieję, że nie czujesz się aż taki zdesperowany, jakby można sądzić po twoim głosie - rzucił Gallagher.

- Możesz się tak bardzo nie martwić o swój tyłek. Zamierzam powystrzelać do ostatniego tych drani.

- Wyjątkowa z niej kobieta.
- Zawsze potrafisz znaleźć odpowiednie słowa!
- Czy dobrze usłyszałem, że ją kochasz?
- Tylko jeżeli podsłuchiwałeś.
- Owszem.
- Więc usłyszałeś, co usłyszałeś.
- Czy to prawda?

W odpowiedzi Simon rzucił mu jedno ze swoich morderczych spojrzeń.

- Będzie śliczną królową, gdyby uczynili cię gdzieś królem - powiedział ze śmiechem Gallagher. - Musiałeś chyba ulec jakiemuś emocjonalnemu wstrząsowi?

- Pierwsze mądre słowa, jakie wypowiedasz od czasu naszego jakże wzruszającego spotkania!

- Nigdy bym cię nie zdradził. - Gallagher już się nie śmiał.
- To, co zrobiłeś, było równie parszywe - odparł Simon, złowrogo mrużąc oczy.
- To była konieczność.

- Mogłeś mnie wcześniej wyciągnąć.

- I co byś wtedy zrobił? Gdybym nie czuwał nad tobą, dałbyś się zabić. Jesteś dobry w tym, co robisz, Simon, ale nie na tyle, żeby bez niczyjej pomocy poradzić sobie z Knappami. Nie jesteś nieomylny. Nigdy nie byłeś, nigdy nie będziesz.

- Wiem.

- Czyżby?

- Wiem - syknął Simon.

- A jednak ta kobieta czegoś cię nauczyła. - Gallagher znów skoncentrował całą uwagę na lesie, i obaj mężczyźni zamilkli.

W piwnicy nie było nic widać ani słyszeć. Przy zamkniętych podłogowych drzwiach Tate czuła się jak ostatni żyjący na świecie człowiek. Przypuszczała, że właśnie taką rolę Miliard wyznaczył tej piwnicy. Po cóż bowiem innego byłaby aż tak uszczelniona i odizolowana? Była jak schron przeciw artyleryjski, czas zamknięty w pigułce wypełnionej wszystkimi wzbogacającymi życie tradycjami. Jedyne dziedzictwo tego żyjącego w górach człowieka.

Teraz, na dobrą sprawę, muzeum szalonego Miliarda może przypadkowo ocalić życie jego córce, co do istnienia której nie miał nigdy pewności. Poza jedyną lampą, którą postanowiła zapalić, nie ruszała niczego. I niczego nie czuła do ojca poza wdzięcznością.

Niestety, nic z tego, co się tutaj znajdowało, nie mogło ocalić życia tym dwóm na górze. Nic nie mogło powstrzymać trzech uzbrojonych po zęby mężczyzn, którzy z rozboju uczynili sposób zarabiania na życie. Do czego mogą przydać się cymbały i pieczołowicie przechowywane dzienniki wobec morderczej mocy półautomatycznej broni? Mogłaby śpiewać każdą melodię i wers z leżącego na starych organach zbioru hymnów, ale czy uchroniłoby to Simona od śmierci?

Powiedział, że ją kocha. Może tak, a może powiedział to po to, żeby ściągnąć ją do piwnicy, ale jakie to ma teraz znaczenie? I tak znajdzie sposób, żeby mu pomóc. Ostatni raz, kiedy siedziała spokojnie i czekała, że ktoś się nią zajmie, była malutka i zamknięta w kojcu.

Energicznie zabrała się za przeglądanie półek. Może cymbały i śpiewnik nie przydadzą się na nic, ale przecież coś musi się znaleźć. I znajdzie to na pewno.

- Sądzę, że teraz wykonają swój ostatni ruch. - Gallagher przykucnął przy oknie, by móc lepiej celować i lepiej się osłonić.

- Nadchodzą z różnych stron.

- Do diabła! Potrzebujemy czegoś, co by zrobiło na nich wrażenie.

- Może jakaś blondynka?

- A może jakieś zombi?

- A co byście powiedzieli na to? - Tate dołączyła do Simona kucającego przy oknie. Najlepszy dowód, jak bardzo byli skoncentrowani, że nie usłyszeli, kiedy wróciła.

- Powiedziałem ci... - Simon mocno chwycił ją za ramię i potrząsnął nią.

- Żebym była grzeczna. Więc byłam. Będąc tam na dole, próbowałam pomyśleć, jak uratować wam życie.

- Tate dźgnęła go staroświecką butelką, wypełnioną wyprodukowaną przez ojca whisky. Szyjka była zatkana jej majtkami bikini, wyjętymi z szuflady w sypialni. - Naprawdę wolelibyście blondynkę?

- Co to jest, do diabła?

- Widać żaden z was nie znajdował się nigdy w takim miejscu na świecie, gdzie toczą się zawzięte walki.

- Uważasz, że to coś jest koktajlem Mołotowa?

- To jest bomba. Prymitywna, nie przeczę, ale przydatna. Nie zdążyłam tylko wpuścić tam cząsteczek atomu.

- Co to takiego?

- Destylat whisky, równie łatwopalny jak benzyna. Knot ze stuprocentowej bawełny.

- Nie knot, a twoje majtki! - syknął Simon.

- Kupię sobie nowe - odpowiedziała, wzruszając ramionami.

- Masz dla mnie jedną? - zapytał Gallagher.

- Mam po jednej butelce dla każdego z nas. Więcej nie zdążyłam zrobić.

- Możesz je przynieść?

- Jeżeli Simon mi pozwoli. - Wyrwała ramię z uścisku Simona.

- Pozwól jej - nakazał Gallagher. - Jest mała szansa, żeby zadziałały, ale nie zaszkodzi spróbować.

- Nie masz czasu, żeby mnie zaciągnąć do piwnicy.

- Położyła dłoń na ręku Simona. - A skoro tu jestem, zostanę i rzucę w nich moją butelką.

- A potem tam wrócisz?

- Obiecuję. - Nie dodała, że zejdzie do piwnicy po to, aby wrócić z kolejną porcją butelek. Wołała z nim nie żartować.

Pochyliła się i podała jedną z butelek Gallagherowi.

Następnie wróciła do okna Simona i zajęła miejsce tuż obok niego.

- Nasączyłam wszystkie majtki w górskiej rosie Miliarda - powiedziała. - Chwyć ogień.

Gallagher powąchał zawartość butelki. Odezwał się dopiero wówczas, gdy przestał kaszleć.

- Tyle zmarnowanej kukurydzianej whisky!

- Sztuczka może się udać, jeżeli to się rzuci we właściwym momencie. Nie za wcześnie, bo wtedy knot wypali się w połowie drogi. I nie za późno, bo wybuchnie w rękę. Powiem ci, kiedy masz zapalić i kiedy rzucić. Gdy będą już dość blisko, celuj na ziemię, tuż pod ich nogi - instruował ją Simon.

Tate popatrzyła na niego ze zgrozą.

- W każdej chwili mogą ruszyć do ataku - stwierdził.

- Więc zjawiłam się w samą porę.

- To już jest twój punkt widzenia.

- Nie wariuj.

- A ty nie bądź głupia.

- Będę ostrożna.

- Już to widzę!

Poruszenie wśród drzew przerwało rozmowę. Poleciała cała seria, po której Jeden po drugim, wyłonili się trzej mężczyźni.

- Zejdź na dół.

- Jestem na dole. - Tate przycupnęła pod oknem, podobnie jak Simon i Gallagher.

Modliła się, żeby orzechowe belki zatrzymały śmiertelne kule.

- Jak daleko potrafisz rzucić? - zapytał ją Simon.

- W „Zajeździe” byłam rzucającą w żeńskiej drużynie baseballa.

- Dziwne, ale jakoś wcale mi się od tego nie zrobiło lepiej. Nie wiesz dlaczego?

- Bo nigdy nie widziałeś, jak rzucam. - Tate popchnęła pudełko zapalek w jego stronę.

Nie odważyła się wyrzucić przez okno.

- O rany, ci faceci są ubrani jak najlepiej wyposażona antyterrorystyczna grupa! - mruknął.

- Co robią?

- Zbliżają się do wejmutek. Poleciała kolejna seria ognia.

- Gdzie są teraz? - zapytała.

- Prawie w zagajniku.

- Osobiście sadziłam te drzewka!

- Nakrzyycz na nich, jeżeli nadepną chociaż na jedno.

- Czasami miewasz naprawdę świńskie zagrania. - Tate wyjęła zapałkę. Wiedziała, że tamci muszą znajdować się w połowie drogi do ganku, żeby mogła rzucić. Ale wolała być gotowa.

Simon popchnął po podłodze rewolwer, którego wcześniej używała.

- Masz. Na wszelki wypadek.

Czekała, starając się nie dopuszczać myśli, że w ciągu paru minut w chacie wszystko może przestać istnieć. Musi wierzyć, że domowej roboty bomby pozwolą im zyskać na czasie, a może nawet położą jednego albo dwóch skradających się do nich mężczyzn.

Gallagher pierwszy uprzedził o ostatecznym natarciu.

- Okej, przygotujcie się.

Reakcja Simona była błyskawiczna. Potarł zapałkę, przytrzymał ją w pewnej odległości od knota i czekał. Tate zrobiła to samo.

- Pal - warknął.

Majtki zajarzyły się jak ognie sztuczne w dniu Święta Niepodległości. W niecałą sekundę zajęły się całe.

- Rzucaj!

Tate uniosła się i jednym wdzięcznym ruchem zamachnęła się, po czym z całej siły cisnęła płonąca butelkę przez okno. Kucając z powrotem, wsłuchiwała się w radosną dla ucha melodię wybuchających naraz trzech butelek. Jak triumfalnie grzmiąca perkusja, tak i ta muzyka mogłaby się stać centralnym tematem jakiejś symfonii.

Simon zreasumował wyniki.

- Jeden człowiek leży. I raczej się nie podniesie. Tate zachwycił jego cudownie spokojny głos.

- Drugi ucieka. Trzeci... - Podniósł rewolwer i strzelił. Także Gallagher zaczął strzelać. Tate usłyszała strzały z zewnątrz. Zerknęła przez okno, z rewolwerem w ręku. Jeden z mężczyzn znajdował się prawie na ganku, twarzą do ziemi. Potrwało trochę, zanim dostrzegła pozostałych. W końcu zlokalizowała ich w zagajniku wejmutek.

- Jak długo będą tam stać? - zapytała.

- Aż skończy się nam amunicja... i whisky.

- Nie jesteśmy w Alamo! Ktoś w końcu musi usłyszeć strzelaninę i pojawić się tutaj.

- Jest sezon na jelenie. Nikt nie będzie zwracał uwagi na strzały.

- Will zwróci.

- To dopiero była kanonada! - Simon przestał jej szybki uśmiech. - Dzięki tobie zyskałiśmy trochę na czasie - powiedział, zanim zdążyła się odezwać. - A jednak może ktoś się zjawi.

Tate wiedziała, że wkupiła się w ich łaski.

- A ty co? - powiedziała, odwracając się do Gallaghera. - Powinieneś mieć walkie - talkie czy coś w tym rodzaju. Nie możesz wezwać pomocy?

- Moje radio jest warte... - Zatrzymał się w porę. - Nie działa w górach.

- Partacze, zarówno jeden, jak i drugi.

- Idź i sprawdź, czy siedzisz w piwnicy - odciął się Simon. - Popartaczymy tu sobie sami, bez twojej pomocy.

Poszła kolejna seria strzałów.

- Nie kłóćcie się - uspokoił ich Gallagher. - Klnę się na pieprzyk mojej świętej pamięci babki, że te strzały padły z dubeltówek. Spodziewacie się czyjejś wizyty?

- Niech mnie kule biją! - Simon opuścił rewolwer. - To Will!

Zamiast pytać, co się stało, Tate wołała zobaczyć to na własne oczy. A jedno spojrzenie było warte tysiąc wyjaśnień Simona. Opłacało się ryzykować, żeby to ujrzeć.

Na pozór nic się nie zmieniło. Dwóch mężczyzn wciąż stało w zagajniku wejmutek, jeden leżał przy ganku. Popatrzyła dalej, ku horyzontowi. W pewnym momencie zauważyła sylwetki, które powoli zbliżały się do chaty.

Uzbrojone sylwetki.

- Will... - Znów przywarła plecami do ściany.

- Will i około dziesięciu jego przyjaciół. - Również Simon przywarł do ściany. - Chcesz obwieścić im nowinę, czy ja mam to zrobić? - zapytał Gallaghera.

- Pozwól mnie. - Gallagher usunął się z linii ognia. - Mówi Josiah Gallagher z Departamentu Sprawiedliwości. Rzućcie broń! - zawołał. - Jesteście otoczeni!

Chrzęst dziesięciu gwintówek, który poniósł się po lesie, potwierdził jego słowa.

- Wiemy, kim jesteście, i kto was tu nasłał! - wołał Gallagher, na wypadek gdyby pierwsza informacja nie była dość jasna. - Nie wyjdziecie stąd żywi, chyba że położycie broń na ziemi, a ręce na głowach.

Cisza była tak głośna, jak poprzednie serie strzałów.

- To trochę potrwa - powiedział Simon po pełnej napięcia chwili. - Zwalają cały arsenał.

- Co? Rzucają broń? - Tate, zapominając o ostrożności, wyrzała przez okno. - Rzucają broń!

- Nie wiedzą, kto do nich strzela. Podejrzewają pewnie, że to gliny albo chłopaki Gallaghery.

- Woleliby, żeby to były gliny. Z gliną można się porozumieć. A z moją rodziną niekoniecznie, ale trzeba przyznać, że chłopaki mają tupet, no nie? - z dumą powiedziała Tate.

- Góralski wymiar sprawiedliwości.

- Uratowali wam życie.

- Od początku miałem szczęście, że poznałem klan Carterów, może nie? - Nie czekał na odpowiedź. - Jesteś gotów, Josiah?

- Nie sędzę, żeby blefowali, ale na wszelki wypadek bądźmy gotowi do strzału. - Gallagher przesunął się do drzwi, gdzie już stał Simon. - Ukucnij, Tate. Przynajmniej do czasu, dopóki nie zbierzemy ich broni.

Z rewolwerami wycelowanymi w ludzi na skraju zagajnika Simon i Gallagher jednocześnie wypadli na ganek. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wynajęci przez Knappów zabójcy wychylili się zza drzew, z rękami nad głową, na szeroko rozstawionych nogach.

Po paru minutach było po wszystkim. Wnet cała rodzina Tate, kobiety i mężczyźni, wynurzyła się zza drzew. Tate rozpoznała Willa i Dovey, Andy'ego i kaznodzieję z ich kościoła. Wybiegła z chaty i znalazła się w objęciach ludzi, których nawet nigdy nie spotkała. Na koniec wylądowała w ramionach Willa.

- Uratowałeś nam życie - powiedziała.

- Jesteś dziewczyną Miliarda. On by zrobił to samo dla którejś z moich.

- Zrobiłby?

- No pewnie!

- Może opowiesz mi coś więcej o Miliardzie?

- Czekałem tylko, kiedy mnie o to poprosisz. Uścisnęła go z całej siły i podeszła do Dovey, która badała puls leżącego mężczyzny. Tate odszukała wzrokiem Simona, który stał z boku i rozmawiał z Gallagherem. Zanim do niego dotarła, odległe wycie syreny uciszyło podekscytowany, samozwańczy oddział strzelców. Dźwięk syreny szybko przybliżał się, odbijając się głośnym echem od otaczających wzgórz.

Kiedy pojawił się szeryf, Tate stała u boku Simona.

- Nikt w to wszystko nie uwierzy - powiedziała, chwytając go za ramię. - A jeżeli będą cię chcieli zabrać z powrotem do High Ridge?

- O to nie musisz się martwić. - Przykrył ręką jej dłoń, ale nie spojrzał na nią.

Monroe Howard wysunął się z samochodu i zlustrował tłum otaczający leżących na plecach mężczyzn, ze złożonymi jak do modlitwy rękami. Mruknął coś do zastępcy, który wysiadł za nim. Wyglądali na zawiedzionych, jakby żałowali, że ominęła ich cała zabawa.

- Może ktoś mi powie, co się tutaj stało? - zapytał Monroe. Will wysunął się do przodu.

- Coś długo to trwało, zanim tutaj dotarłeś, Howardzie. Czyżbyście stracili łączność radiową?

- Byliśmy na południe stąd... - zawiesił głos na widok Simona.

Gallagher odszedł od reszty grupy i sięgnął do kieszeni, by mignąć szeryfowi swoją odznaką. Monroe kiwnął tylko głową.

- Wiem, kim pan jest. Może pan to sobie schować. Działa pan na tym terenie na wprost legalnie. I może jeszcze pan powie, że ten tutaj nie jest tym, na kogo wygląda? - Ruchem głowy wskazał na Simona.

- Pracuje dla mnie.

Monroe przewrócił oczami. Przewracał nimi jeszcze parę minut po tym, jak Gallagher skończył swoje krótkie wyjaśnienia.

- Skąd pan wie o czymś, o czym mnie nikt nie poinformował? To tak wygląda współpraca federalnych z miejscową policją? Wszystko to nie ma najmniejszego sensu!

- Nie chcieliśmy, żeby cokolwiek dotarło do Shawa. Teraz, dzięki świadectwu Simona, możemy go postawić w stan oskarżenia. Nie chcielibyśmy także dawać mu kolejnej okazji do powiększenia obciążającego go materiału.

Monroe nadal sprawiał wrażenie niezadowolonego.

- Shaw nie jest moim przyjacielem. Niczego się ode mnie nie dowie.

- Potrzebujemy waszej pomocy, żeby bezpiecznie wydostać stąd Vandergriffa. Mógłbym go wywieźć w bagażniku, ale jest ranny w nogę, więc wolałbym tego nie robić.

- Nie ma sprawy, mogę się tym zająć. Kiedy chcecie odjechać?

- Gdzieś tutaj powinien leżeć mój człowiek z potwornym bólem głowy. A tymi trzema trzeba się zająć. - Gallagher wskazał na mężczyzn leżących na ziemi. - Jeden z nich jest poparzony, ale tutejsza pielęgniarka powiedziała, że to nic groźnego.

- Załadujemy ich do mojego wozu. - Monroe dał znak zastępcy, który w otoczeniu licznych członków rodziny Carterów zaczął odczytywać bandytom przysługujące im prawa.

- Kiedy ustała strzelanina, posłałam kogoś do szopy po Barkera - powiedziała Tate. - Miał pójść na skróty, więc lada moment powinien tu być. - Trzymając za rękę Simona, podeszła z nim do Gallaghera i do szeryfa.

Monroe spojrział na nią wymownie.

- Carter w każdym calu.

- Dziękuję.

- Nie dziękuj mi. To może okazać się ciężkim krzyżem do uniesienia.

Uśmiechnęła się.

- Myślę, że sobie poradzę.

- Wygląda na to, że problem został rozwiązany. - Gallagher wskazał głową na leśną przecinkę.

Barker i jakiś młody człowiek wyłonili się zza drzew. Barker wyglądał jak debiutujący na ringu zawodnik, który poniósł swoją pierwszą porażkę.

Po chwili obaj mężczyźni podeszli do nich.

- Gdybyś poczekał chwilę i nie rozwalił mi głowy - zaczął Barker, zwracając się do Simona - wyjaśniłbym ci, o co chodzi.

- Poczekaj - zauważył Simon. - To ona nie czekała.

- Wskazał na Tate.

Rozpierała ją duma. Co prawda Simon nie patrzył na nią, ale nadal trzymał ją za rękę. Zastanawiała się, co on w tej chwili czuje.

- Przepraszam, że pana walnęłam - odezwała się do Barkera. - Wówczas wydawało się to najwłaściwszym posunięciem.

Barker potarł tył głowy i uśmiechnął się do niej ponuro.

- Barker pojedzie z wami do miasteczka - powiedział Gallagher do szeryfa. - Byłbym wdzięczny, gdybyście potrzyimali naszych przyjaciół za kratkami, dopóki nie dopełnimy formalności.

- Z wielką przyjemnością. - Monroe wyciągnął rękę i przywitał się z nowo przybyłym.

- Nie dowiedziałem się jeszcze, w jaki sposób chciał mi pan pomóc w wydostaniu stąd Vandergriffa - powiedział Gallagher.

- Rzeczywiście, nie powiedziałem - przytaknął Monroe. I nadal tego nie zrobił. Zamiast tego pomaszerował do samochodu i przez otwartą szybę wyjął swoje radio. Poszeptał coś, po czym nastawił je na tyle głośno, żeby wszyscy mogli go słyszeć.

- Posłuchaj, połącz mnie z centrum dowodzenia, z wydziałem śledczym. Myślę, że w końcu przygwoździliśmy Petersena. Tak, dobrze słyszysz, Petersena. - Czekać na połączenie, oparł się o samochód. - Centrum dowodzenia to po prostu garaż Glena Austina w miasteczku - poinformował Gallaghera. - Musimy tak ich nazywać, żeby uszczęśliwić tych pańskich federalnych... Tak, tu szeryf Howard. Nareszcie nastąpił zwrot. Zgadza się. - Szeryf

chwilę posłuchał monotonnego kobiecego głosu i szybko przerwał. - Przestań truć, kobieto. W ciągu ostatnich dziesięciu minut dwukrotnie namierzono Petersena. W starych kamieniołomach na południe stąd. Tak, koło Two Chimneys. Tak, on strzelał. Wygląda na to, że, aby go dostać, trzeba będzie zmobilizować więcej ludzi.

Zaczekał, aż głos po drugiej stronie zamilknie ponownie.

- Tak jest. Trzeba tam wszystkich ściągnąć. Kogo się da. Powiedz im, żeby usunęli z drogi blokady. Niech się wszyscy zabawią. - Po skończonej rozmowie wyłączył radio.

- Za dziesięć minut drogi będą bezpieczne - zapowiedział. - Mam tylko nadzieję, że nikt się nie zabije, pędząc do Two Chimney's.

- Gdzie to jest?

- Z osiemdziesiąt kilometrów na południe stąd. Wy zaś pojedźcie na północ.

Gallagher kiwnął głową.

- Zaparkowałem samochód na drodze. Zabiorę go. Potem wrócę po Vandergriffa.

Szeryf kiwnął głową.

- Wszystko powinno być idealnie zgrane w czasie. Tate zauważyła, że sąsiedzi wycofują się stopniowo i wracają tam, skąd przyszli. Pobiegła za nimi, żeby jeszcze raz podziękować i pożegnać się, obiecując, że złoży każdemu wizytę, gdy tylko wszystko wróci do normy. Na końcu pocałowała Willa w policzek i wyściskała Dovey.

- Nie mogę zapamiętać wszystkich imion - przyznała.

- Czy ci ludzie naprawdę są moimi krewnymi?

- Jedni bardziej, inni mniej. A niektórzy żyją ze sobą na kocią łapę - powiedziała Dovey. - Ty też będziesz żyła z Simonem na kocią łapę?

- Ja... nie wiem...

- Nie wsadzaj nosa w nie swoje sprawy - ofuknął żonę Will.

- Gdybym go nie wsadzała dziś rano, to ta dziewczyna mogłaby już nie żyć.

- Dovey pierwsza usłyszała strzały - wyjaśnił Will.

- Złapała za telefon i zadzwoniła do wszystkich w promieniu mili, jeszcze zanim mnie obudziła.

- Troszczymy się o swoich. - Dovey kiwnęła głową w stronę Simona. - Ale dla tego tutaj to chyba nic się nie da zrobić?

- Sam się o siebie troszczy. Na ogół - potwierdziła Tate.

- No już, chodźmy. Zgłodniałem od tej strzelaniny. - Will wziął Dovey pod rękę i porozumiewawczo mrugnął do Tate.

Stała jeszcze i patrzyła, jak idą lasem w stronę swoich domów.

Za nią prychnął, zawarczał, a wreszcie zaskoczył silnik. Odwróciła się. Zobaczyła Howarda, jego zastępcę, Barkera i tylne siedzenie pełne potulnych jak baranki bandytów, stłoczonych w samochodzie szeryfa. Żadnemu z nich nie zazdrościła podróży do miasteczka.

Został tylko Simon i też tylko na parę minut. Podeszła do niego.

- Gallagher poszedł po swój samochód.

- A więc odjeżdżasz. - Nie wiedziała, co powiedzieć w tak krótkim czasie. - Masz wszystko, co potrzeba?

- Jedyne, czego teraz potrzebuję, to sprawnej dyskietki. - Wyłowił ją z kieszeni koszuli i trzymał w ręku. - Trzeba sprawdzić, może nie uległa zniszczeniu? Chociaż bardzo wątpię. Możesz zachować kajdanki, ale chyba Conney chciałby odzyskać swój rewolwer.

Spotkali się wzrokiem.

- Jest coś, co chciałabym wiedzieć - powiedziała półgłosem. - Czy to, co powiedziałaś mi rano, jest prawdą?

- Tate...

- Bez bujdy, Simon. I bez obietnic. Po prostu chcę wiedzieć.

- Wszystko, co tu się wydarzyło, było nierealne.

- I to, co powiedziałaś, również?

Widziała, jaką toczy walkę, jak się zмага - ze sobą, z odpowiedzią, z sekundami, które im pozostały.

- Masz przed sobą całe życie - powiedział w końcu.

- Każdy ma zawsze życie przed sobą. Aż do ostatniej sekundy, w której umieramy. Pytam cię, czy mnie kochasz. Winien mi jesteś jakąś odpowiedzią.

- Co z tego dobrego wyniknie? Jeżeli powiem „tak”, będziesz czekała na mój powrót.

- Nie prosiłam cię, żebyś wrócił.

- Jesteś piękną kobietą, masz wszystko, czego mężczyzna może pragnąć...

- Daruj sobie te komplementy. - Założyła ręce na piersiach i odwróciła się w stronę chaty. - Masz rację, że ten tydzień był nierealny. Przez długi czas nawet nie wiedziałam, kim jesteś. Może nadal nie wiem.

Poczuła jego ręce na swoich ramionach. Mocne, szczupłe palce.

- Wiesz, kim jestem. Sama mi to powiedziałaś. Jestem człowiekiem, który się stale ukrywa.

- Nie, prawdziwą odpowiedź usłyszałam z twoich ust. Jesteś człowiekiem, który bawi się w bohatera. A teraz powiem ci, kim naprawdę są bohaterowie. To ludzie, którzy nie

szukają przygód. To kobiety i mężczyźni uczciwi w swoich uczuciach, którzy zobowiązują się żyć razem i dzielić wszystko, co im los przyniesie. To ludzie tacy jak Will, tacy jak Jess.

Stała twarzą do niego.

- Wiem, choć nigdy wcześniej o tym nie pomyślałam, że ty i Miliard macie ze sobą wiele wspólnego. On też, w pewnym sensie, uważał się za bohatera. Żył w swoim drewnianym sanktuarium poświęconym przeszłości, opowiadając ludowe baśnie i dokumentując każdy fragment, każdy skrawek kultury wyżyny Ozark. Zakochał się w mojej matce, ale nie zadał sobie trudu, żeby ją odnaleźć. A gdyby tak za wszelką cenę nie pragnął zostać ludowym bohaterem, odnalazłby ją i nie miałby wątpliwości co do mojego istnienia. Wtedy wszystko byłoby inaczej!

- Ja nie jestem twoim ojcem.

- Jasne, że nie! Ale jesteś do niego podobny. Jesteś żywym dowodem na to, że moja matka i ja miałyśmy jednak coś wspólnego. Obie trafiłyśmy na podobnych mężczyzn.

Wsadził ręce w kieszenie, wzrok miał nieprzenikniony, tajemniczy.

- Chciałam wiedzieć, czy mnie kochasz - powiedziała, gdy nie odpowiadał. - Okazuje się, że nie powinnam pytać. Ale gdyby moje życie znalazło się w niebezpieczeństwie, gdybym potrzebowała kogoś, kto porwałby samolot albo wywołał rewolucję, nie wątpię, że mogłabym liczyć na ciebie.

Niebieski sedan wtoczył się na ostatnie wzniesienie i zahamował na drodze obok. Wsiadł z niego Gallagher i ruszył w ich stronę.

- Gotowy? - zapytał Simona, poklepując go po plecach. - Musimy się stąd szybko wydostać.

- Gotowy. - Simon nie odrywał oczu od Tate.

- Szerokiej drogi - powiedziała, patrząc na Gallaghera.

- Zaopiekuję się nim.

- Jeśli na to pozwoli. - Ponownie spojrzała na Simona, który nadal nie spuszczał z niej wzroku.

- Jeśli w ogóle warto.

Zrobiła wielkie oczy i pokręciła głową.

- Tylko ty jeden wiesz, ile to jest warte, Simon. Zanurzył rękę w jej włosach i przyciągnął ją do siebie.

Pocałunek był mocny i szybki, po czym pozwolił jej odejść. Nie odezwała się słowem, kiedy pokuśtykał do samochodu. Odwróciła się i zaczęła wspinać po zboczach w stronę chaty.

Cinn, który przeleżał strzelaninę w bezpiecznym punkcie obserwacyjnym, zawył żałośnie na widok odjeżdżającego Simona.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Tate otworzyła dziennik Miliarda i zaczęła głośno czytać:

„Kiedy o północy jedna błyszcząca gwiazda, podobna do Gwiazdy Betlejmskiej, którą zaświecił na niebie sam Bóg, zawiśnie na naszym granatowym niebie, tutejsi ludzie zawsze nazwą ją gwiazdą mędrcza. Nie widzę powodu, żeby ją nazywać inaczej. Nawet najmądrzejsi z nas potrzebują czasami pomocy w odnalezieniu swojej drogi.

Jak długo żyję - a czasami mam wrażenie, jakbym żył wiecznie - zawsze w Wigilię Bożego Narodzenia pojawia się gwiazda mędrcza. Jest tu, przypominając mi, że gdzieś, poza tym miejscem, znajduje się coś, co trzeba odkryć.

Mędrcy nie byli aż takimi mędrkami, ale byli odważni. Trzeba bowiem odwagi, żeby udać się na poszukiwanie nowo narodzonego dzieciątka w stajence. Nie bali się, że się zgubią. Nic podobnego! Trzeba było odwagi, żeby odnaleźć dziecko, które miało przemienić świat i życie ludzi, a właśnie ów maleńki Syn Boży miał tego dokonać.

Syn człowieczy - czy córka - także mogą tego dokonać.

Wystarczy popatrzeć na dzieciątko w stajence albo na chore dziecko w szpitalu, albo na głodne maleństwo w budzących litość wychudłych ramionach głodującej matki, aby także twoje życie na zawsze się odmieniło. Niektórzy z nas nie potrafią znaleźć swoich wielbłądów, żeby udać się na poszukiwanie. Siedzimy w domu i zamiast tego wypatrujemy gwiazdy. A kiedy zawiśnie wysoko na wigilijnym niebie, to tak, jakbyś dowiedział się, że nie jesteś w pełni taki, jaki powinienes być.

Ale czyż i bez tego gwiazda mędrcza, która idzie przed nami i świeci, nie jest cudowna? Świeci w każdą Wigilię Bożego Narodzenia. Może właśnie w ten sposób Bóg próbuje nas zachęcić? A może w tej formie mówi nam, że nas kocha, bez względu na wszystko, nawet jeżeli pozostawiliśmy w tym roku nasze wielbłądy na pastwisku?

Chciałbym, żeby tak było, a ty?”

Tate przestała czytać i zamknęła dziennik ojca. Jedynie trzask palącego się drewna zakłócił na chwilę ciszę.

Siedząca obok na sofie Krista położyła rękę na dłoni Tate.

- Przekazał ci cudowną spuściznę. Niewielu z nas wie, co nasi rodzice naprawdę myśleli na różne tematy.

- Masz rację. - Tate uśmiechnęła się do Kristy i do Jessa, który stał za żoną. Ciemnowłosy Jess, nadal opalony po pracowicie i pożytecznie spędzonych tygodniach na Bliskim Wschodzie, stanowił idealne tło dla jasnoskórej, złotowłosej piękności.

- Tu wszystko jest zadziwiające - powiedział Jess. - Chata, ziemia, piwnica Miliarda. Ale jego dzienniki są szczególne. Są bezcenne i wszyscy powinni je poznać.

- Wiem. Nie odrywam się od nich. Miał tyle do powiedzenia! O wszystkim. Przypuszczam, iż żyjąc tu w samotności, miał dużo czasu do przemyśleń. Podobno był w tym dobry.

Will mówi, że gdy o coś pytał Miliarda, to ten bywał przeważnie pogrążony w myślach, i pytanie docierało do niego dopiero po tygodniu, a przez następny tydzień zastanawiał się nad odpowiedzią. Jess roześmiał się.

- Wygląda na to, że ekwilibrystyka słowna nieobca jest w rodzinie Carterów.

- Sama żyję w strachu, iż pewnego dnia obudzę się i zacznę recytować wiersze i opowiadać bajki.

- Prawdę mówiąc ta o Simonie Vandergriffie była niezła jak na początek - odezwała się Krista, gładząc rękę Tate.

Tate poczuła przeszywający ból. Zdobyła się na lekki ton głosu.

- I nawet miała przepisowe szczęśliwe zakończenie, prawda? Kapitan Shaw czeka w więzieniu na proces, a Simon, jak wynika z tego, czego dowiedział się Jess, wrócił do Waszyngtonu i odgrywa tam Jamesa Bonda.

Krista, zanim odpowiedziała, spojrzała na Tate zaniepokojonym wzrokiem.

- Sądzę, że ważniejsze jest, czy... ty jesteś szczęśliwa?

- Zatoczyła ręką ruch, pokazując na wnętrze chaty.

Ustrojone wstążkami zielone gałęzie tworzyły wdzięczne girlandy nad paleniskiem, wokół okien i drzwi. W rogu stała ogromna, sięgająca do sufitu sosna, ozdobiona wiechami kukurydzy i jemiołą, a także liczącymi ze sto lat zabawkami i ozdobami, które Tate wygrzebała z pudła w piwnicy.

- Ta chata rzeczywiście jest zadziwiająca - ciągnęła.

- A sposób, w jaki ją przystroiłaś na święta, jest po prostu cudowny. Ale czy to ci wystarcza? Nie czujesz się samotna?

- Mniej niż ci się wydaje. Teraz, gdy Carterowie upewnili się, że chcę należeć do rodziny, zawsze ktoś mnie odwiedza. A od dzieciaków i psów nie mogę się opędzić... - Ciągnęła, nim Krista zdążyła cokolwiek wtrącić. - W zimie niewiele mogę zrobić wokół domu, ale gdy przyjdzie wiosna, posadzę więcej wejmutek i wezmę się za ogród. A na razie

zajmę się przeglądaniem i selekcją dzienników Miliarda pod kątem wydania niektórych z nich.

- Dobry pomysł - przyznał Jess. - Chciałem ci to zasugerować.

- Skoro tak, to na pewno pomysł jest dobry - uśmiechnęła się Tate. - Udzielisz mi paru rad?

- Nie tylko, załatwię ci też parę kontaktów.

- Mogłabyś je wziąć ze sobą, wrócić na zimę do Wirginii i tam popracować nad nimi - odezwała się Krista, wyrażając głośno swoją troskę.

- Kris, ja mam prawie dwadzieścia dwa lata. Przyjmij to do wiadomości. - Objęła Kristę i na chwilę przytuliła policzek do jej blond loków. - Nie jestem już obszarpanym dzieciakiem z nowoorleańskiej ulicy.

- W ogóle już nie jesteś dzieciakiem, koniec i kropka - wtrącił Jess. Położył ręce na ramionach ich obu. - Jestem z ciebie dumny, że tu mieszkasz i że robisz coś z tym miejscem.

- A te wszystkie dziury po kulach w zewnętrznych belkach! - wzdrygnęła się Krista.

- Ale żadna nie siedzi we mnie. - Całe szczęście, że Krista nie widziała domu przed wstawieniem nowych szyb i naprawą schodków na ganku, pomyślała Tate.

- W ostatnim czasie Kris jest trochę zbyt macierzyńska - usprawiedliwił żonę Jess.

Tate uściskała Kristę. Jeszcze dzień wcześniej słowa Jessa byłyby dla niej niezrozumiałe, tajemnicze. Ale wczoraj, tuż po ich przyjeździe, Jess i Krista wystrzelili korek z butelki szampana, żeby obwieścić, iż jej pozycja jedynaczki wkrótce się zmieni.

- Wciąż trudno mi uwierzyć, że mogę mieć jeszcze większą rodzinę - powiedziała Tate. - Carterowie, Cantrellowie, że nie wspomnę o Claytonach. Kiedy to się skończy?

- Planujemy co najmniej dwoje dzieci, może troje, jedno po drugim - uprzedziła Krista. - Zalejemy cię siostrzyczkami i braciszkami, i nie będziesz miała wymówki, żeby nie przyjeżdżać i ich nie odwiedzać.

- A dopóki tu mieszkam, będziecie je przywozić na każde Boże Narodzenie.

Jess zerknął na zegarek.

- Skoro o tym mowa, to czy już nie czas, żeby zjawili się Claytonowie?

Tate podniosła się z miejsca. Także Anna, siostra Kristy, lada chwila miała się tutaj pojawić wraz z mężem i synem.

- Will powinien już wkrótce przywieźć ich z lotniska. Dovey chce, żebyśmy przyszli do nich i tam na nich poczekać. Zaprosiła część rodziny Carterów, żeby was z nimi poznać. Szykuje na kolację knedle z mięsem wiewiórek.

Krista przetłknęła głośno.

- A dla osób wrażliwych i wybrednych kurczaki - zapewniła Tate.

- Śnieg pada. - Jess podszedł do okna, podziwiając nową szatę przyrody. - Idealna Wigilia.

Tate chciałyby w to wierzyć. Jess i Krista są tutaj, Anna z rodziną wkrótce się zjawia. Z jednym wyjątkiem, wszyscy ludzie, których kocha najbardziej na świecie, będą razem z nią świętować Boże Narodzenie.

Z jednym wyjątkiem.

- Ruszmy się więc i chodźmy do Carterów. - Jess odwrócił się od okna. - Czujesz się na siłach, Kris?

- Marzę o spacerze. - Podniosła się z miejsca. - Tate, poprowadzisz nas?

Tate próbowała otrząsnąć się, zrzucić z siebie smutek, który ją ogarniał, ilekroć myślała o Simonie.

- Wytłumaczę wam, jak macie iść. Później do was dołączę. Muszę jeszcze coś przygotować. Poza tym chcę się przebrać. A wy pójďte na romantyczny spacer wśród drzew beze mnie.

Opisała im dokładnie, jak dojść do chaty Willa, dopilnowała, żeby pozapinali zimowe płaszcze. Jess owinął szyję Kristy żółtym szalem, delikatnie unosząc przy tym jej włosy. Na widok takiej czułości Tate poczuła skurcz żołądka. Nie dlatego, że Krista i Jess tak się kochają, ale dlatego, że jej samej brakowało tego w życiu.

Pożegnała ich i obserwowała z ganku, czy wybrali właściwą ścieżkę. Robiło się już ciemno, nie chciała, żeby zgubili drogę i błędzili.

Nie dziwiło jej, że krajobraz jest już poproszony śniegiem. Dym z komina kłębił się od rana, a zgodnie z tym, co przeczytała w jednej z książek Miliarda, był to pewny znak, że można spodziewać się śniegu. Dzięki tej samej książce mogła po wielkości płatków określić, ile go mniej więcej spadnie. Tylko nie mogła sobie przypomnieć, czy prawdziwą śnieżycę oznaczają małe czy duże śnieżynki.

Kiedy wreszcie wszystko dookoła przestanie jej przypominać Simona? Niecałe dwa miesiące temu nawet go nie znała. Dlaczego więc nie może powrócić do czasu sprzed jego przybycia? Wtedy i ona patrzyłaby z zachwytem na padający śnieg i podziwiała otaczający świat w jego nowym, wspaniałym wydaniu.

Nie zapomniwała dotyku jego ramion ani smaku jego pocałunków. A czy mogłaby zapomnieć, jak splątani ze sobą, leżeli przed paleniskiem?

I były jeszcze inne rzeczy, których nie zapomniała, których nie mogła zapomnieć, nawet gdyby chciała. Jego długie, wysmukłe palce. Ciepło jego jasnoszarych oczu. Królewski, a jakże naturalny sposób noszenia głowy. Szerokie, muskularne ramiona.

Krista nigdy się nie dowie, jaką pokusą była zachęta do wyjazdu stąd i powrotu do Wirginii. Tutaj, w chacie, było zbyt wiele wspomnień, a mimo wszystko jeszcze nie była gotowa, żeby się z nimi rozstać. Nie zamierza tu mieszkać do końca życia. Przyjdzie taki dzień, kiedy chata zamieni się w domek letniskowy, schronienie przed pędzącym w szalonym tempie światem. Ale teraz to jest jej muzeum pamięci, jak wcześniej był to hołd złożony przez Miliarda dziedzictwu tej ziemi.

Gdy Krista i Jess zniknęli jej z oczu, Tate wróciła do środka. Wystarczył krótki pobyt na ganku, żeby poczuć, jak zimna będzie ta noc. Nauczyła się żyć bez centralnego ogrzewania, ale prymitywne urządzenia sanitarne na zewnątrz i kuchnia opalana drewnem mogą być kłopotliwe dla gości. Przed pójściem do Willa musi jeszcze dorzucić do paleniska naręcz drewna i podnieść w ten sposób temperaturę.

Włożyła kurtkę i buty robocze. Poza drewnem trzeba jeszcze przytaszczyć wodę i podsypać ziarna gęsiom. A także, jeśli Cinn nie pobiegł za Jessem do Willa, nakarmić tego psa szowinistę.

Dzięki zajęciom, od których pęka krzyż i które nigdy się nie kończą, łatwiej przetrwała pierwsze tygodnie po wyjeździe Simona i Gallaghery. Także teraz nie miała nic przeciwko czekającej ją ciężkiej pracy.

Simon powoli torował sobie drogę wśród drzew. Pamiętał tamten, jeszcze nie tak odległy w czasie wieczór, kiedy przedzierał się przez ten sam las przy świetle olbrzymiego bursztynowego księżyca. I podobnie jak wtedy, bolała go noga. Tym razem z powodu pogody. Choć była już wyleczona, to jednak ciągle reagowała na zmianę temperatur. Tygodnie terapii przyniosły wyraźną poprawę, ale upłynie jeszcze wiele miesięcy, nim o niej zapomni.

Ale o innych sprawach nie da się tak łatwo zapomnieć.

Zastanawiał się, czy nie jest na fałszywym tropie. Jakim prawem sądzi, że Tate jest tutaj i czeka na niego? Nie napisał do niej ani nie próbował nawiązać kontaktu przez Willa czy przez szeryfa. Nie czuł potrzeby zapewniania jej o swoim bezpieczeństwie.

Opuścił ją przed sześcioma tygodniami, nie próbując nawet oglądać się za siebie. Uważał, że tak będzie najlepiej. Miał niewiele do ofiarowania jakiegokolwiek kobiecie, a już na pewno zbyt mało kobiecie tak głęboko przeżywającej i tak żarliwej jak Tate. Jej potrzebne jest pełne oddanie, stabilizacja i wiele miłości. Tylko to może na dobre oddalić od niej

poczucie samotności i traumę z dzieciństwa. On zaś bardziej jest doświadczony w ratowaniu ludzi niż w kochaniu ich.

Zabawne, ale czy przypadkiem takich rzeczy nie wmawia sobie człowiek, który się boi?

I chyba z tego samego powodu zaparkował samochód na drodze, zamiast podejść prosto pod drzwi. Przez to teraz uprawia tę karkołomną wędrówkę przez pole i las. Ale nie czuł się zbyt pewnie i być może zależało mu na kilku dodatkowych minutach w lodowatym górskim powietrzu, żeby sobie powtórzyć to, co ma jej powiedzieć. A nawet, niewykluczone, że powinien dobrze się zastanowić, czy w ogóle ma to powiedzieć.

Wiedział, że znajduje się już bardzo blisko miejsca, skąd dojrzy zarówno chatę, jak i płynącą daleko w dół rzekę. Wczoraj Aaron poinformował go, że w rzece znajdują się wspaniałe okonie i pstrągi. Odgrażał się nawet, że przyjedzie i pokaże Simonowi - o ile zatrzyma się tutaj na jakiś czas - jak się je łowi.

Simon powiedział mu, żeby się jeszcze nie szykował do drogi.

Liście i delikatnie proszący śnieg chrzęściły pod nogami. Księżyc wyjrzał właśnie zza drzew, ale jego blask był tylko śmieszną namiastką niewiarygodnie jaśniejącej gwiazdy nad kominem chaty. Przystanął i delektował się sceną jak z najwspanialszej bożonarodzeniowej pocztówki. Blasany komin chaty był biały od śniegu, który iskrzył się jak miliony diamentów. Dodający otuchy dym z komina kłębił się i falował, ale znikąd nie dochodziło światło.

Była Wigilia Bożego Narodzenia. Tate może być wszędzie, w kościele, w miasteczku, z krewnymi. Koło chaty parkował nieznany samochód. Może pokazywała swoim gościom widoki? A może jej gościem jest jakiś mężczyzna?

Zmrużył oczy, jakby rozważał różne możliwości. Co tak naprawdę o niej wie? Przecież tak krótko się znali. Nie rozmawiali o innych miłościach. Przyszła do niego jako dziewczyna, ale nie jest aż tak głupi, by sądzić, że jest pierwszym mężczyzną, który szuka jej towarzystwa. Teraz nawet Gallagher i Barker ją wspominają, i to przy każdej niemal okazji, jak jacyś dwaj zadurzeni idioci. Zaczynał nawet podejrzewać, że są zazdrośni o tarapaty, które go doprowadziły do niej, choć przecież mógł wtedy zginąć.

Było za zimno, żeby tak stać i zastanawiać się, co ona robi i z kim. Może zawrócić i napisać do niej list albo iść dalej i otrzymać odpowiedź na swoje pytania.

Po raz pierwszy od sześciu tygodni nie miał trudnego wyboru.

Tate jeszcze raz szarpnęła Cinna, ale i tak jej się wyrwał. Najwyraźniej miał swoje plany na noc, które nie zakładały spania w stodole. Łypnął na nią obojętnie, po czym podniósł łeb do księżyca i zawył.

Tate wytarła ręce o dzinsy i uznała walkę za przegraną. Od wyjazdu Simona Cinn ani razu nie spał w domu, ale przy Jessie, Gradym i Rynie może się skusi na dywan przed paleniskiem. Dla psa, uznającego wyłącznie mężczyzn, byłaby to prawdziwie psia rozkosz. I rzeczywiście, popędził teraz w stronę chaty, jakby czytał w jej myślach.

Przydzwigała wodę i zrobiła, co trzeba przy gęsiach. Pozostało już tylko załadować drewno na taczkę. W pierwszych, pełnych rozpaczonych dniach po wyjeździe Simona narąbała go tyle, żeby wystarczyło na całą zimę.

Gdy je załadowała, pociągnęła taczkę pod górkę z tyłu domu. Dotarłszy do ganku, zaczęła wnosić bierwiona po schodkach. Kiedy ułożyła cały stos, wzięła jedną naręcz, otworzyła drzwi i ruszyła w stronę paleniska.

Stojącego na środku pokoju mężczyznę oświetlała jedynie słabiutka, złocista poświata księżyca. Przystanąła, ale popłoch, w jaki wpadła, był niepodobny do tego, jakiego doświadczyła, gdy zobaczyła go pierwszy raz.

- Simon!

- Zamierzasz dorzucić drewna do paleniska... czy rzucić nim we mnie?

Trzymane drewno zaczęło jej ciążyć, ale przyciskała je jak jakiś drogocenny ładunek.

Miał teraz dłuższe włosy. Ubrany był w ciemne wełniane palto, miał lekko przewiązany kaszmirowy szalik i eleganckie szare spodnie, których nogawek nie musiał już podwijać. Wydawał się wyższy, stał bez trudu na obu nogach, jak gdyby pozbył się już bólu. Był nieskazitelnie elegancki, wyglądał jak pretendent do jakiegoś cudzoziemskiego tronu, a nie mężczyzna, w którym się zakochała.

- Potrafisz zakradać się do domu - powiedziała wreszcie. Chciała przejść i podejść do paleniska, ale zagroził jej drogę, biorąc od niej część drewna, żeby jej ulżyć.

Kiedy musnął jej ramię, cofnęła się gwałtownie.

- Widziałem na zewnątrz jakiś samochód - powiedział. - Jest tu jeszcze ktoś poza tobą?

- Jess i Krista, ale są teraz u Willa. Spodziewam się większego towarzystwa. - Rzuciła drewno obok paleniska. - Do licha, Simon, nie spodziewałam się ciebie! Ani razu nie próbowałeś się ze mną skontaktować. I nagle zjawiasz się jak gdyby nigdy nic, oczekując, że ucieszę się na twój widok.

- A cieszysz się? - Rzucił drewno i odwrócił jej twarz ku sobie.

- Nie wiem.

- Nie przestawałem o tobie myśleć.

- Rzeczywiście, niejednokrotnie dałeś temu wyraz! - Założyła ręce na piersi i hardo zadarła głowę. - Domyślam się, że przebywałeś w Europie, pełniąc swoje królewskie powinności albo wykradałeś czyjeś zakodowane w komputerze tajemnice, albo dawałeś się znowu gdzieś postrzelić.

- Byłem w Waszyngtonie. Wiedziałaś, gdzie jestem, ponieważ poleciłaś Jessowi Cantrellowi, żeby mnie wysledził.

Jeszcze wyżej podniosła głowę.

- Niejeden raz nadstawiałam dla ciebie karku. Pomyślałam, że mam prawo wiedzieć, czy twoja głowa jest nadal na swoim miejscu.

- Kazałaś mnie śledzić, ponieważ troszczysz się o mnie?

- Nigdy nie bierz na siebie żadnej odpowiedzialności. Czy nie tego was uczyli, kształcąc na szpiegów?

- Zdziwiłabyś się, wiedząc, czego się nauczyłem. Na przykład.... - Wsunął rękę pod jej rękaw, dotykając łokcia. Delikatnie rozplótł skrzyżowane ramiona Tate, po czym ściągnął jej rękawiczki. - Masz zimne ręce.

Spróbowała mu się wyrwać.

- Na dworze pada śnieg.

- Tak, ale twoje rękawiczki są na futrze. Zimnem nie wytłumaczysz tego, że drżą ci ręce. - Zamknął jej dłonie w swoich.

Poczuła, jak ich ciepło przepływa przez nią, ale starała się nie zwracać na to uwagi.

- Drżą, bo mnie śmiertelnie przestraszyłeś.

- Rzeczywiście musisz się mnie bać. A ja boję się ciebie. Kiedy jestem z tobą, nie wiem, kim jestem.

- Mogłeś rozwiązać ten problem, nie wracając tutaj. Podniósł jej rękę do ust i pocałował jej palce, jeden po drugim. Zacisnęła powieki i stłumiła absurdalną potrzebę wyłakania się na jego ramieniu.

- Chcę już przestać uciekać - powiedział, przykładając jej rękę do swojego policzka.

Z trudem przełknęła ślinę.

- Ja też musiałam się tego nauczyć. Ale czy ty potrafisz? To nie takie łatwe, Simon.

- Właśnie w tej chwili uciekasz. Zapytałem cię, czy ucieszyłaś się na mój widok, a ty uciekłaś przed odpowiedzią.

Wziął ją w ramiona.

- Chciałem wrócić. Codziennie chciałem. Nie mogłem napisać, bo nie wiedziałem, co powiedzieć.

- Nigdy cię nie prosiłam, żebyś cokolwiek mówił! - Zapalczywie podniosła głowę. - O nic cię nigdy nie prosiłam. Jeżeli tu jesteś, bo uważasz, że jesteś mi coś winien...

- Jestem tutaj, bo chcę tutaj być! - Uniemożliwił jej odpowiedź pocałunkiem, po którym przez długą chwilę w ogóle nie mogła znaleźć słów.

Szalik Tate zdobił podłogę, dopóki nie przykryła go jej kurtka. Po chwili palto i marynarka Simona poszły w ślad za jej ubraniem.

- Planowałem, że zrobię to z odrobinę większą finezją - wyszeptał, zanurzając palce w jej włosach, całując czoło i policzki.

- Nie pragnę finezji, pragnę ciebie.

- Obiecuję ci jedno i drugie. Pewnego dnia. - Kończył ją rozbierać z pośpiechem dziecka zdzierającego papier z prezentu świątecznego.

Próbowała zdjąć z niego ubranie, ale zbyt się niecierpliwił, żeby pozwolić jej skończyć. Dywanik przed paleniskiem powitał ich jak starych znajomych.

Zastanawiała się wcześniej, czy na pewno jej pamięć nie wyolbrzymiła rozkoszy, jaką przeżyła z Simonem, a tymczasem okazało się, że jej pamięć była tylko żalonym substytutem tego, co teraz odczuwała. Niemożnością byłoby przywołanie na pamięć czegoś równie rozkosznego i doskonałego. Każda chwila nieodwołalnie nakładała się na następną. Czy można to zapamiętać - to powolne wznoszenie się, intensywność niemożliwych do zniesienia doznań, tęsknotę za dalszymi, sięganie po nie, i wreszcie szczyt, niemal jak koniec świata?

Wiła się i poruszała, jak tancerka tak bardzo pochłonięta swoją doskonałością, iż przeszła samą siebie. Wszystko w nim było takie znajome, a jednocześnie inne. Zachłysnęła się żarem jego ciała, gładkością jego skóry, cudownym odczuciem jego warg na swojej piersi. Wyczuła napięcie mięśni jego pleców, zanim, tracąc kontrolę, odwrócił ją na plecy.

Wpatrywała się w niego, kiedy powoli stawali się jednym ciałem. Pamięć może pochwyć jedynie żdźbło prawdy, ale w tej chwili wiedziała, że nigdy nie zapomni tego, co mówiły jego oczy, kiedy zaczynał się w niej poruszać.

- Nie wiedziałam, czy cię jeszcze zobaczę - powiedziała później Tate, nadal leżąc w objęciach Simona. - Ale powiedziałam sobie, że gdyby tak się stało, będę miała na sobie sukienkę. Widujesz mnie tylko we flanelowej koszuli i w dzinsach.

- W sukience mógłbym cię nie poznać. Jeszcze bym się zapatrzył, a potem miałbym wyrzuty sumienia wobec pewnej kobiety, którą kocham, tu w stanie Arkansas. Zadrzała, udając, że to z zimna.

- Czy czasem sobie czegoś nie wmawiasz? - zapytała lekkim tonem.

Nie dał się zwieść tonowi jej głosu. Odwrócił ją na plecy i zajrzał jej w oczy.

- W końcu, dlaczego nie miałbym ci powiedzieć? Jest pewna kobieta, którą kocham, tutaj, w Arkansas. Chcę ją kochać zawsze. Tylko czy ona mnie zechce, jak myślisz?

- A czy zdoła cię przed tym powstrzymać?

- Nie powstrzyma mnie przed kochaniem jej. Ale może nie zechce, żebym z nią został.

- Dlaczego miałyby nie chcieć? - Tate podniosła rękę i odgarnęła mu włosy z czoła.

Trwało trochę, zanim odpowiedział. Uważnie dobierał słowa.

- Wciąż jestem tym samym człowiekiem. Prawdopodobnie umrę, starając się zostać bohaterem. Na razie odkładam to na stare lata, ale... - Potrząsnął głową, a znaczenie tego ruchu było jednoznaczne.

- Nie zamierzasz zmienić się dla mnie? Powiedziała to spokojnym głosem. Nie był pewny, co naprawdę myśli.

- Chcę, żebyś była w moim życiu. To jest egoistyczne podejście. Wiem, że chcę zbyt wiele. Ale wreszcie uświadomiłem sobie, że decyzja należy do ciebie. Nigdy już nie ucieknę od ciebie, ale odejdę, jeśli każesz.

Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

- Jak to? Żadnej pracy od dziewiątej do piątej? Żadnego domu w eleganckiej podmiejskiej dzielnicy?

W miarę, jak zaczynał rozumieć, uśmiech rozjaśniał mu twarz.

- Nic z tych rzeczy. Tylko mężczyzna, który cię kocha. Mężczyzna, który obiecuje, że nie będzie w idiotyczny sposób narażać życia.

- I nie zostanie dyrektorem banku? Ani drużynowym skautów?

Zastanawiał się.

- Mógłbym ewentualnie nauczyć jeden czy dwa zastępy, jak wiązać węzły.

- I jak otwierać wytrychem zamki. - Kolejny raz odgarnęła mu z czoła ten sam kosmyk włosów. - Nie oczekuję, a nawet bym nie chciała wieść z tobą normalnego życia. Nie umiałabym. Nie chcę też więcej przykuwać cię łańcuchem. Czy nie moglibyśmy omawiać szczegółów, w miarę jak będą się pojawiały?

- Chcę, żebyś była ze mną! - Nie uśmiechał się. Tate potrafiła docenić, jak wiele znaczą dla niego te słowa i jak trudno mu prosić, żeby dzieliła z nim życie.

Objęła go ze wszystkich sił.

- Więc przyjadę i zostanę z tobą.

- A co z chatą?

- Will i Dovey dopilnują jej. Powiedziałam Willowi, żeby używał ziemi tyle, ile zechce, więc będzie tu często zaglądał. A my będziemy tu spędzać wakacje.

- Co zamierzasz robić w Waszyngtonie?

- Poproszę Gallaghera o pracę. Popatrzył na nią zdumiony.

- Gallaghera?

Obawiał się, że Tate wie, co mówi i wcale nie żartuje, i że nie chodzi tu o biurową pracę. Pokazała, że praca w terenie jest jej mocną stroną.

- Nigdy nam nie zabraknie tematu do rozmowy - dodała, kiedy nie odpowiadał. - Uważasz, że tylko ty jeden na świecie lubisz przygody?

- Będziemy omawiać szczegóły w miarę, jak będą się pojawiały.

- A jeżeli nie dojdziemy do porozumienia?

- Potrafię pójść na kompromis. A ty?

- Pewnie. - Uśmiechnęła się. - Jeśli postawię na swoim.

- Obawiam się, że nie żartujesz. - Nachylił się i pocałował ją.

- Nie poszlibyśmy oznajmić twojej rodzinie, że wychodzisz za mąż? - zapytał na koniec.

- Za mąż? Kto mówi o małżeństwie, Simon!?

- A niby o czym dotąd mówiłem?

- O przeprowadzce do Waszyngtonu i byciu z tobą.

- Nie miałaś zwyczajnego życia, prawda? - Ujął jej twarz w dłonie. - A ja nie chcę niczego na próbę, kochanie. Chcę cię na zawsze. Ludzie pobierają się, bo tego chcą. Nawet niedoszli bohaterowie i bohaterki.

- Powiedziałam, że nie chcę cię przykuwać łańcuchem.

- Małżeństwo to przecież naturalna i dobrowolna więź. Nie czujesz różnicy?

Ogarnął ją jakiś miły niepokój.

- A ty czujesz?

- Kiedy wreszcie przestałem uciekać, zacząłem rozumieć, czym jest miłość. To ona domaga się małżeństwa. Jeśli naprawdę kochasz, to chcesz się ożenić.

Gdy ją znów pocałował, przytuliła go mocno do siebie. Będzie czas na omawianie wszystkich szczegółów. Najważniejsze, że żadne z nich nie chce już więcej uciekać. Nie oglądając się za siebie, będą podróżować wszędzie, gdziekolwiek rzuci ich los. Razem.

Zadumała się nad tym, co wyczytała u Miliarda: czy właśnie to miał na myśli, mówiąc o podążaniu za gwiazdą mędrca?

- Miliard byłby szczęśliwy, gdyby wiedział, że się odnaleźliśmy - szepnęła.

- Twój ojciec był mądrym człowiekiem.
- W jakimś sensie to on nas skojarzył.
- Bardzo mądry człowiek. Uśmiechnęła się, wiedząc, że ma rację.

EPILOG

- Anna, umocuj jej wianek, bo ja nie mogę bliżej podejść! - Krista cofnęła się i oparła rękę na biodrach.

Anna, mniejsza, bardziej żywiłowa wersja starszej siostry, wzięła od Kristy wianek z białych róż.

- Czy nie wydaje ci się, Tate, że ona jest trochę podenerwowana? - zapytała.

- Czuję się w tej sukni jak księżyc w pełni - usprawiedliwiła się Krista, odciągając z niesmakiem fałdy żółtego materiału jak najdalej od ciała.

- Wyglądasz jak kobieta, która w każdej chwili może urodzić - powiedziała Tate, trzymając nieruchomo głowę, gdy Anna zaczęła jej przypinać wianek spinkami.

- Dopiero za sześć tygodni. A ty dlaczego jesteś taka spokojna?

- Po prostu wychodzę za mąż. - Tate przyglądała się sobie, gdy ze zwyczajnej osoby przeobrażano ją w nadzwyczajną. Miała suknię z białego delikatnego jedwabiu, której elegancja polegała na prostocie. Medalionik z szafirami zdobił jej dekolot. Ten sam, który Krista miała na swoim ślubie. Wówczas Tate była jej druhną, a dzisiaj taki sam zaszczyt spotkał Kristę.

- Po prostu wychodzisz za mąż? Czyżbyś nie wyglądała przez okno? Dwieście osób zadeptuje twoje dziko rosnące kwiatki. A wśród nich jest nawet jakaś księżna - powiedziała Krista, wymownie ścisząc głos. - A w całym domu nie uświadczysz ani jednej łazienki.

- Simon twierdzi, że wszyscy jego krewni są niesłychanie opanowani i nie okazują niczego. A większość moich gości mieszka w promieniu pięciu kilometrów i nie potrzebują łazienki. Są przyzwyczajeni do braku wygód.

- Krista za wiele naczytała się na temat tego, jak być idealną matką panny młodej - zadrwiła Anna, wsuwając ostatnią spinę. - Ale po co te nerwy?

- Ktoś musi się denerwować. Tate po prostu promienieje ze szczęścia!

Tate stała i poprawiała dół sukni. W dużym lustrze, które dostała od Dovey w prezencie ślubnym, rzeczywiście wyglądała promiennie. W ciągu ostatnich pięciu miesięcy Simon często widywał ją wystrojoną, ale wątpiła, by zdawał sobie sprawę, że może aż tak wyglądać.

Podobnie jak nie domyśla się, co ona czuje w tej chwili. Zresztą chyba nikt się nie domyśla. Simon jest pewnie gdzieś na zewnątrz z Aaronem i Gallagherem. Podejrzewała, że mogą być za stodołą, gdzie popijają napar Miliarda. Co znaczy holenderska odwaga!

Determinacja Simona, żeby ją poślubić, nigdy nie osłabła. Ale co czuje teraz? A może marzy mu się ucieczka? W końcu wniosła coś w jego życie, czego nigdy nie chciał. Czy nie żałuje, nie czuje się osaczony?

Przez ostatnie pięć miesięcy starała się utrzymywać go w przeświadczeniu, że może być nadal wolny i jednocześnie ją kochać. Odkładała termin ich ślubu, upierając się, że chce, by w tym dniu kwitły na wyżynie Ozark polne kwiaty. Teraz zastanawiała się, czy nie powinna była się upierać przy spadających jesiennych liściach.

Nie dlatego, żeby nie chciała tego ślubu. Ich losy jeszcze bardziej się ze sobą splotyły, ich miłość stała się doskonalsza. Była zachwycona Waszyngtonem i swoją pracą w Departamencie Sprawiedliwości. Zajmowała się sprawami zaginionych dzieci. Nawet Cinn zdawał się być zadowolony z nowego domu, ale pod warunkiem, że mógł spać na podłodze, przy łóżku, po stronie Simona.

Nie wyobrażała sobie, że można być aż tak szczęśliwym. A jednak co jakiś czas powracała natrętna myśl, zmuszająca ją do zastanowienia, czy małżeństwo nie zabije miłości Simona do niej.

Odwróciła się i zobaczyła, że zostały same z Kristą.

- Anna poszła dać znak muzykom.

W sprawie muzyki Tate i Simon poszli na kompromis. Będzie szła pokrytym kwiatami zboczem wzgórza, skąd roztacza się widok na rzekę, przy dźwiękach kwartetu smyczkowego, który Simon sprowadził z Waszyngtonu. Potem zaś, na przyjęciu, będą im przygrywać miejscowi muzycy, z udziałem jednego czy dwóch Carterów.

- Jesteś gotowa? Jess już czeka na zewnątrz. - Krista wzięła z nocnego stolika bukiet z róż i konwalii.

Tate zastanawiała się, co by zrobiła, gdyby Simon nie czekał na nią, gdy dotrze na szczyt wzgórza.

- Jestem gotowa - oznajmiła.

- Jesteś piękna, kochanie. - Krista nachyliła się i pocałowała Tate w policzek. - Kocham cię. Będę płakała przez całą drogę na wzgórze. - Na dowód tego pociągnęła nosem.

- Ani się waż! Nikt z „Zajazdu dla Dylizansów” nie zaprosi cię na swój ślub, jeżeli będziesz płakała na moim. - Tate również pociągnęła nosem.

- No, to ruszajmy. - Krista posłała jej łzawy uśmiech. Podeszły do drzwi. Krista wyszła pierwsza. Will czekał na ganku, żeby jej towarzyszyć na wzgórze, a Dovey stała na trasie, na wypadek, gdyby Krista zaczęła rodzić po drodze. Kiedy odeszli spory kawałek, Jess otworzył drzwi i podał ramię Tate.

- Chodź, córeczko.

Omam nie powiedziała „nie”. Dostrzegł jej pobladłą twarz i uśmiechnął się łagodnie.

- On cię kocha - powiedział. - Nie martw się. Spojrzała mu w oczy.

- Nic nie poradzę, że się martwię.

- Ja wiem. Domyśliłem się. Ale nie masz powodu. Patrzyła na mężczyznę, który był jedynym ojcem, jakiego kiedykolwiek znała. Na chwilę wzrok jej się zmacił i ujrzała fotografię ojca, którego nigdy nie znała, zrobioną, gdy był mniej więcej w wieku Jessa. Przez ułamek sekundy, zwirowanej, zapierającej dech w piersi sekundy, miała wrażenie, że Jess to Miliard.

- Chodź, córeczko - powtórzył Jess.

- Miliard? To ty?

Przekrzywił głowę, nie rozumiejąc pytania.

Uśmiechnęła się niepewnie i potrząsnęła głową. Wyciągnęła rękę do Jessa, wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

Droga zdawała się nie mieć końca. Jeszcze nigdy słońce nie świeciło tak jasno, jeszcze nigdy powietrze nie pachniało tak słodko. Gdy szli, zrozumiała, dlaczego Miliard nigdy nie opuścił swoich gór.

Droga zakręciła, a Tate skierowała wzrok na gości, tworzących gęsty szpaler na zboczu wzgórza. Niektórzy ocierali oczy, inni uśmiechali się radośnie. Grupa dziewcząt z „Zajazdu” wpatrywała się w nią tak, jakby nagle stała się kimś obcym. Gallagher i Barker swoim starym zwyczajem rozglądali się po tłumie. Anna i Grady trzymali za ręce Ryana. Po ich prawej stronie czekała Krista, starając się nie płakać.

Tate nie chciała spojrzeć na Simona, bojąc się tego, co może zobaczyć.

Zwolniła kroku. Muzyka wzmagająca się, słońce świeciło jeszcze promiennie. W końcu nie miała wyboru. Byli z Jessem na tyle blisko, że już nie wypadało dłużej unikać wzroku Simona. Wiedziała, że jeżeli czuje się złapany w pułapkę, jeżeli żałuje, pozna to po jego oczach.

Podniosła wzrok i zobaczyła go stojącego obok najbliższego mu człowieka - pomarszczonego od słońca, łysiejącego Aarona. Simon nie odrywał od niej oczu. Powitał ją uśmiechem. Po czym, nie bacząc na tradycję, zszedł ku niej. Wyciągnął do niej rękę, jakby już nie mógł doczekać się, kiedy podejdzie jeszcze tych parę kroków i stanie u jego boku. A gdy ją przyciągnął do siebie, oddalił na zawsze jej wszystkie wątpliwości.

- Opiekuj się nią - powiedział Jess, pochylając się i całując Tate w policzek. Następnie uściskał dłoń Simona i odszedł, by zająć miejsce przy Kriście.

Tate wpatrywała się w Simona. On zaś, jakby znając jej obawy, pochylił się i pocałował ją długo i namiętnie.

- Zdaje się, że miałeś z tym poczekać, aż będziemy po ślubie - powiedziała, a wokół rozległ się śmiech.

Wsunął jej rękę pod swoje ramię i poprowadził ją do pastora.

- Więc się pobierzmy i zrobmy to jeszcze raz. I tak też zrobili.